

KAŻDA JEGO KSIĄŻKA TO ŚWIATOWY BESTSELLER!

NELSON DEMILLE



ODYSEJA TALBOTA

Hipnotyzująca powieść, rewelacyjny szpiegowski thriller.
Publishers Weekly

DEMILLE NELSON

Odyseja Talbota

NELSON DEMILLE

Dom Wydawniczy REBIS poleca m.in. thrillery:

Richard North Patterson

WYROK OSTATECZNY

MILCZĄCY ŚWIADEK

OCZY DZIECKA

Minette Waltera

RZEŹBIARKA

WĘDZIDŁO SEKUTNICY

Nelson DeMille, Thomas Błock

MAYDAY

Paul Lindsay

PRAWO DO ZABIJANIA

Patrick Robinson

HMS UNSEEN

David Hood

SZACHIŚCI

thrillery medyczne:

Robin Cook

EPIDEMIA

ZARAŻA

MUTANT

CHROMOSOM 6

INWAZJA

TOKSYNA

GORĄCZKA

ŚMIERTELNY STRACH

NOSICIEL

ZABÓJCZA KURACJA

SZKODLIWE INTENCJE

DOPUSZCZALNE RYZYKO

COMA

UPROWADZENIE

NELSON

DEMIUI

Przełożyła

Małgorzata Klimek

DOM WYDAWNICZY REBIS

Poznań 2001

PODZIĘKOWANIA

Szczególne wyrazy wdzięczności należą się Judith Shafran za jej precyzyjną i doskonałą redakcję tekstu.

Chciałbym również podziękować Josephowi E. Persico za to, iż dzielił się ze mną swoją wiedzą na temat Biura Służb Specjalnych, Danielowi Starerowi za wnikliwe zbieranie informacji, a Herbertowi F. Gallagherowi i Michaelowi P. Staffordowi za jego uwagi dotyczące palestry prawniczej.

Jestem zobowiązany Ginny Witte za jej wiarę, Bernardowi Geisowi za pokładane we mnie nadzieje. Danielowi i Ellen Barbierom za ich hojność, a wielebnemu D. Noonanowi za rozgrzeszenie.

OSOBY I MIEJSCA WYDARZEŃ

Wszyscy bohaterowie tej książki są postaciami całkowicie fikcyjnymi. Osoby publiczne występują tylko w sytuacjach dla nich odpowiednich.

Mężczyźni i kobiety z Biura Służb Strategicznych, żyjący czy zmarli, wspomniani są tylko mimochodem, aby wzmocnić wrażenie prawdopodobieństwa wydarzeń. Ci mężczyźni i te kobiety, którzy występują w powieści jako żywi ludzie, żyli w czasie pisania książki. Weterani Biura Służb Strategicznych nawet w najmniejszym stopniu nie pomagali przy powstawaniu powieści. Przedstawiona na kartach tej książki organizacja BSS w żaden sposób nie reprezentuje wzmiankowanej wyżej, a faktycznie istniejącej organizacji weteranów.

Dom weekendowy rosyjskiej misji dyplomatycznej przy ONZ w Glen Cove na Long Island został opisany z dbałością o szczegóły, choć pozwoliłem sobie na odrobinę literackiej swobody. Miasteczko Glen Cove i jego okolice przedstawiłem z dużą wiernością, ale i tu czasem pozwoliłem sobie na odrobinę wyobraźni.

PIERWSZY MAJA

PROLOG

–W taki właśnie sposób skończy się świat – powiedział Wiktor Androw. – Nie wybuchem i nie skowytem, lecz miarowym bip, bip, bip.

Z grymasem na twarzy zrobił gest w kierunku elektronicznych konsoli, które ciągnęły się szeregiem wzdłuż ścian długiego, słabo oświetlonego poddasza.

Wysoki, starzejący się Amerykanin stojący za nim zauważył:

–Właściwie nie skończy się. Zmieni się. I w końcu będzie bezkrwawy.

Androw skierował się w stronę schodów. Jego kroki rozlegały się głuchym echem na strychu.

–Tak, oczywiście – przytaknął.

Odwrócił się i w półmroku przyglądał się Amerykaninowi.

Jak na swój wiek był ciągle przystojny, z jasnoniebieskimi oczami i bujną czupryną białych włosów. Jego sposób bycia i noszenia się był jednak odrobinę zbyt arystokratyczny jak na gust Androwa.

–Chodź, mam dla ciebie niespodziankę. Twój stary przyjaciel. Ktoś, kogo nie widziałeś od czterdziestu lat – powiedział Androw.

–Kto?

–Sklepiarz. Czy zastanawiałeś się kiedyś, co się z nim stało? Jest teraz kapitalistą.

– Skinął głową w stronę klatki schodowej. – Idź za mną. Schody są źle oświetlone.

Ostrożnie. – Krępy Rosjanin w średnim wieku prowadził w dół wąską klatką

schodową aż do małego pokoju wyłożonego boazerią i skąpo oświetlonego ściennym

lampionem. – Szkoda że nie możesz przyłączyć się do naszych pierwszomajowych

obchodów – powiedział. – Ale, jak co roku, zaprosiliśmy kilku zaprzyjaźnionych

Amerykanów. I kto wie? Nawet po upływie tylu lat jeden z nich mógłby cię rozpoznać.

– Amerykanin nie zareagował.

Andrew mówił dalej: – W tym roku zaprosiliśmy weteranów

Brygady Abrahama Lincolna. Zanudzą wszystkich historyjkami, jak to udało im się pół wieku temu uśmiercić faszystów w Hiszpanii.

–Zostanę u siebie.

–To dobrze. Przyślemy ci trochę wina i jedzenia. Jedzenie jest tutaj dobre.

–O tym już się przekonałem.

Androw poklepał się jowialnie po wydatnym brzuchu.

–Za rok Moskwa będzie sprowadzać amerykańską żywność na bardzo korzystnych warunkach. – Uśmiechnął się w nikłym świetle. Później otworzył drzwi ukryte w boazerii. – Wejdzmy.

Przeszli do dużej kaplicy w stylu elżbietańskim.

–Tędy proszę.

Amerykanin przeszedł przez kaplicę, która pełniła teraz funkcję biura, i usiadł w fotelu. Rozejrzał się wokół.

–Twoje biuro?

–Tak.

Amerykanin pokiwał głową. Ponieważ nie mógł sobie wyobrazić, żeby w jakiegokolwiek rezydencji mogło się znajdować większe i bardziej eleganckie biuro, doszedł do wniosku, że nawet radziecki ambasador przy Organizacji Narodów Zjednoczonych nie dysponuje podobnym pomieszczeniem. Wiktor Androw, główny rezydent KGB w Nowym Jorku, był bez wątpienia grubą rybą.

–Już wkrótce będzie tutaj twój stary przyjaciel. Mieszka niedaleko. Zostało jednak jeszcze trochę czasu na małego drinka – powiedział Androw.

Amerykanin spojrzał w stronę odległego końca kaplicy. Ponad miejscem, w którym kiedyś był ołtarz, wisały portrety „czerwonej trójcy”: Marksa, Engelsa i Lenina. Spojrzał ponownie na Androwa.

–Czy wiesz, kiedy nastąpi Uderzenie?

Androw nalał sherry do dwóch kieliszków.

–Tak. – Podał kieliszek Amerykaninowi. – Koniec nadejdzie tego samego dnia, kiedy to wszystko się zaczęło. – Podniósł swój kieliszek. – Czwartego lipca*. Na zdrowie.

–Na zdrowie – odwzajemnił się Amerykanin. * 4 lipca 1776 r. – data uchwalenia Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

Patrick O'Brien stał na tarasie widokowym na sześćdziesiątym dziewiątym piętrze budynku RCA w Rockefeller Center i spoglądał na południe. W oddali drapacze chmur przechodziły jak górski grzbiet w dolinę niższych budynków, później wspinały się znowu spadzistymi wieżycami na Wali Street.

Nie odwracając głowy, O'Brien odezwał się do stojącego za nim mężczyzny:

–Kiedy byłem chłopcem, anarchiści i komuniści rzucali bomby na Wali Street. Zabili paru ludzi, przeważnie robotników, urzędników i gońców. W większości ludzi podobnych do nich, pochodzących z tej samej klasy. Nie wierzę, żeby kiedykolwiek dostali kogoś ważnego i przerwali choćby na pięć minut transakcje handlowe.

Stojący za nim Tony Abrams, którego rodzice byli komunistami, uśmiechnął się z przymusem.

–Ich działanie miało raczej wymiar symbolu.

–Przypuszczam, że tak można to dzisiaj określić. – O'Brien spojrzał na Empire State Building widniejący w odległości trzech czwartych mili. – Tu, w górze, jest bardzo cicho. To pierwsza rzecz, którą zauważa człowiek przywykły do Nowego Jorku. Tę ciszę. – Spojrzał na Abramsa. – Lubię tu przychodzić wieczorem po pracy. Czy był pan tutaj przedtem?

–Nie.

Abrams od ponad roku współpracował z firmą prawniczą O'Brien, Kimberły i Rosę, której biura mieściły się na czterdziestym czwartym piętrze budynku RCA. Rozejrzał się po opustoszałym tarasie. Miał kształt podkowy obejmującej od południa, zachodu i północy powierzchnię kryjącą pion windy. Taras był wyłożony czerwoną terakotą. Jego skraj zdobiły posadzone w doniczkach sosny. Garstka turystów, w większości ze Wschodu, stała przy szarej żelaznej balustradzie, pstrykając zdjęcia oświetlonego miasta, którego widok rozciągał się poniżej.

–I muszę przyznać, że nie byłem ani na szczycie Statuy Wolności, ani na Empire State Building – dodał Abrams.

–Ach tak, prawdziwy nowojorczyk.

Milczeli przez chwilę. Abrams zastanawiał się, dlaczego O'Brien poprosił go, aby mu towarzyszył podczas wieczornego spaceru.

Był urzędnikiem sądowym ślęczącym po nocach, aby uzyskać stopień naukowy i nigdy nie widział nawet biura O'Briena, nie mówiąc już o tym, że nie zamienił z nim nawet tuzina słów.

Wydawało się, że O'Brien jest zaabsorbowany widokiem rozpościerającym się w kierunku zatoki. Przeszukał kieszenie, a nie znalazłszy tego, czego szukał, zapytał Abramsa:

–Czy ma pan ćwierć dolara?

Abrams podał mu monetę. O'Brien podszedł do elektronicznego aparatu widokowego umieszczonego na słupie i wrzucił monetę. Maszyna zaszumiała. O'Brien spojrzał na spis widoków.

–Numer dziewięćdziesiąt siedem. – Przesuwał obrazy do momentu, gdy wskazówka aparatu zatrzymała się na wybranym numerze. Przyglądał się przez pełną minutę, później powiedział: – Ta dama w porcie ciągle budzi we mnie dreszcz. – Wyprostował się i spojrzał na Abramsa. – Czy jest pan patriotą?

Abrams uznał to pytanie za podchwytliwe i zbyt osobiste.

–Nie byłem dotychczas w sytuacji, w której mógłbym to sprawdzić – odpowiedział.

Z wyrazu twarzy O'Briena nie wynikało, czy aprobuje tę odpowiedź, czy też nie.

–Proszę, chce pan spojrzeć?

Aparat zazgrzytał i przestał szumieć.

–Chyba skończył się czas – stwierdził Abrams.

–Trzy minuty jeszcze nie minęły. Niech pan wyśle skargę do „Timesa”, Abrams.

–Tak jest.

–Robi się zimno. – O'Brien włożył ręce do kieszeni.

–Może wejdziemy do środka? O'Brien zignorował propozycję.

–Czy mówi pan po rosyjsku, Abrams? – zapytał.

Abrams spojrział na niego. To nie był ten rodzaj pytania, które się stawia, nie znając odpowiedzi.

–Tak. Moi rodzice... O'Brien pokiwał głową.

–Ktoś mi mówił, że pan zna ten język. Mamy pewną liczbę klientów mówiących tylko po rosyjsku. Na przykład żydowskich emigrantów w Brooklynie. Zdaje się, że to pańscy sąsiedzi.

Abrams potaknął.

–Nie mówię już tak dobrze jak kiedyś, ale na pewno mógłbym się z nimi porozumieć.

–Dobrze. Czy nie wymagałbym zbyt wiele, gdybym poprosił pana o wyszlifowanie rosyjskiego? Mogę panu dostarczyć taśmy z Departamentu Stanu.

–W porządku. O'Brien przez kilka sekund spoglądał na zachód, później powiedział:

–Kiedy był pan detektywem, pańskim obowiązkiem była ochrona Radzieckiej Delegacji przy ONZ na Wschodniej Sześćdziesiątej Siódmej.

Abrams spojrział na O'Briena.

–Jako warunek mojego odejścia ze służby podpisałem przysięgę milczenia o moich dawnych obowiązkach.

–Naprawdę? Ach tak, był pan przecież w wywiadzie policyjnym, zgadza się? Czerwony Szwadron.

–Ta nazwa się zmieniła. To brzmi zanadto...

–Zanadto oddaje faktyczny stan rzeczy. Na Boga, żyjemy w wieku eufemizmów, prawda? Jakiej nazwy używaliście między sobą, gdy w pobliżu nie było szefów?

–Czerwony Szwadron. – Abrams uśmiechnął się. O'Brien także się uśmiechnął i mówił dalej:

–Prawdę mówiąc, wcale pan nie chronił Radzieckiej Delegacji, raczej szpiegował ją pan. Wiedział pan dużo o głównych postaciach Radzieckiej Delegacji przy ONZ.

–Możliwe. ' i^A co z Wiktorem Androwem?

–Co z nim?

–Właśnie. Był pan kiedyś w Glen Cove?

Abrams odwrócił się i przez chwilę przyglądał się zachodowi słońca nad New Jersey. W końcu odpowiedział:

–Byłem jedynie miejskim gliną, panie O'Brien. Nie Jamesem Bondem. Moja władza kończyła się na granicy miasta. Glen Cove leży w hrabstwie Nassau.

–Ale z pewnością był pan tam.

–Możliwe.

–Czy robił pan jakieś zapiski na temat tych ludzi?

–Moim zadaniem nie było śledzić ich w taki sposób, w jaki robi to FBI – odpowiedział niecierpliwie Abrams. – Mój zakres odpowiedzialności był ściśle ograniczony do obserwowania ich kontaktów z grupami lub pojedynczymi ludźmi mogącymi stanowić zagrożenie dla miasta Nowy Jork i jego mieszkańców.

–Na przykład?

–Ciągłe te same zgraje. Portorykańskie grupy wyzwolenicze, Czarne Pantery, Pochmurne Podziemie. Tylko tym się interesowałem. Proszę zrozumieć, nie obchodziłoby mnie, nawet gdyby Rosjanie chcieli ukraść wzory chemiczne z miejskiego laboratorium albo jakąś inną tajemnicę. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

–Ale obchodziłoby to pana jako obywatela i doniósłby pan o tym FBI, co zresztą zrobił pan w kilku wypadkach?

Abrams spojrział na O'Briena w gasnącym świetle dnia. Ten człowiek wiedział za dużo. A może tylko snuł domysły? O'Brien był doskonałym adwokatem i to było w jego stylu.

–Czy jest pan przygotowany do lipcowej obrony? – zapytał O'Brien.

–A pan był?

–To było tak dawno. Warunki były wtedy zupełnie inne.

Abrams słyszał, że Patrick O'Brien miał niepokojący zwyczaj zmieniania tematu, podobnie jak szuler, który tasuje talię kart, zanim rozda sobie karciany sekwens.

–Czy miał pan zamiar zapytać o „bombardowanie” na Wali Street? – spytał Abrams.

–Właściwie nie – odpowiedział O'Brien. – Tylko że mamy dzisiaj pierwszy dzień maja. Pierwszy maja. Przypomina mi to uroczystości pierwszomajowe, które kiedyś widziałem na Union Square. Brał pan udział w którejś z nich?

–W wielu. Rodzice mnie zabierali. Chodziłem też, kiedy byłem w policji. Parę razy w mundurze. Przez ostatnie kilka lat w przebraniu. O'Brien nie odzywał się przez jakiś czas.

–Niech pan spojrzy – powiedział po chwili. – Finansowe centrum Ameryki. Właściwie całego świata. Jaki byłby skutek użycia bomby nuklearnej małego rażenia na Wali Street?

–Mogłoby przerwać handel na pięć minut.

–Chodzi mi o poważną odpowiedź.

–Setki tysięcy zabitych – stwierdził Abrams, zapalając papierosa.

O'Brien skinął głową.

–Najtęższe finansowe mózgi wyparowałyby. Skutkiem byłaby ruina ekonomiczna milionów ludzi. Narodowy chaos i panika.

–Możliwe.

–Doprowadziłoby to do niepokoju społecznego, zamieszek ulicznych, politycznej destabilizacji.

–Dlaczego mówimy o broni nuklearnej na Wali Street, panie O'Brien?

–To taka radosna pierwszomajowa myśl. Ekstrapolacja małego, śniadego, ubranego na czarno anarchisty lub komunisty ciskającego jedną z tych bomb w kształcie kuli do kręgli z zapalonym lontem. O'Brien wyciągnął cynową buteleczkę i nalał łyk płynu do nakrętki. Wypił.

–Jestem przeziębiony.

–Wygląda pan na zdrowego.

–Oczekują mnie u George'a Van Dorna na Long Island.

Wygląda na to, że przeziębienie nie pozwoli mi wziąć udziału w przyjęciu.

Abrams skinął głową. Wiedział, że współudział w małych oszustwach, zwłaszcza tych z udziałem partnera O'Briena, George'a Van Dorna, mógł prowadzić do oszustw na większą skalę. O'Brien po raz kolejny napełnił nakrętkę i podał ją Abramsowi.

–Koniak. Niezły gatunek.

Abrams wypił i oddał nakrętkę. O'Brien pociągnął jeszcze jeden łyk, po czym schował buteleczkę. Wydawał się pogrążony w myślach. W końcu powiedział:

–Informacja. Nasza cywilizacja opiera się prawie wyłącznie na informacji, jej wytwarzaniu, gromadzeniu, przetwarzaniu i rozpowszechnianiu. Dotarliśmy do takiego punktu rozwoju, w którym nie potrafimy funkcjonować jako społeczeństwo bez bilionów bitów informacji. Niech pan pomyśli o tych wszystkich kontraktach i transakcjach giełdowych, kursach towarów i metali, bilansach rachunków gotówkowych i oszczędnościowych, transakcjach z użyciem kart kredytowych, międzynarodowym przepływie pieniędzy, zbiorowych zestawieniach. O większości tych rzeczy decyduje się właśnie tam, na dole. – Machnął ręką w stronę miasta. – Niech pan sobie wyobrazi miliony ludzi starających się udowodnić, co stracili.

Stalibyśmy się narodem biedaków.

–Czy znów mówimy o użyciu broni atomowej na Wali Street? – zapytał Abrams.

–Być może. O'Brien przemierzył taras i zatrzymał się przy balustradzie na jego wschodnim krańcu. Spojrzał w dół na budynki Rockefeller Center.

–Niewiarygodne miejsce. Czy słyszał pan, że na dachach tych budynków mieści się ponad czterysta akrów ogrodów?

Abrams podszedł do niego.

–Nie, nie słyszałem.

–To będzie pana kosztowało jeszcze jedną dwudziestopięciocentówkę. O'Brien wziął monetę od Abramsa. Wrzucił ją do aparatu.

Pochylił się i spojrział przez obiektyw. Przesunął obraz i dopasował ogniskową.

–Glen Cove leży około dwudziestu pięciu mil stąd, a to już kawał świata. Próbuję zobaczyć pirotechniczne występy Van Dorna – powiedział.

–Pirotechniczne występy?

–To długa historia, Abrams. Ale w skrócie... To właśnie Van Dom, który mieszka niedaleko Rosjan, prawdopodobnie ich nęka. Być może czytał pan o tym?

–Chyba tak. O'Brien przestawił obraz i jeszcze raz dopasował ogniskową.

–Mają zamiar go zaskarżyć w sądzie hrabstwa Nassau. Są oczywiście zobowiązani do zatrudnienia miejscowych prawników. Niech pan spojrzy.

–Na miejscowych prawników?

–Nie, panie Abrams, na Glen Cove.

Abrams pochylił się nad aparatem i wybrał ogniskową. Równiny Hempstead ciągnęły się w kierunku północnego krańca wyspy, strefy bogactwa, przywilejów i tajemnicy. Choć z tej odległości nie widać było wielu szczegółów, Tony Abrams wiedział, że patrzy na inny świat.

–Nie widzę czerwonego blasku rakiety – skomentował.

–Jestem pewien, że nie widać też bomb wybuchających w powietrzu. Nie dojrzy pan również naszej flagi powiewającej nad fortem Van Doma. Ale zapewniam pana, że

ciągle tam jest.

Abrams wyprostował się i spojrzął na zegarek.

–No cóż – powiedział O'Brien – nawet Drakula potrzebował dobrego adwokata. Biedny Jonathan Harker. Zbyt późno zrozumiał, że odwiedzając stare, ponure zamki, można wpaść w pułapkę.

Abrams wiedział, że powinien być pod wrażeniem tej sytuacji i rozmowy z szefem, ale rozważania O'Briena niecierpliwiły go trochę.

–Nie jestem pewien, czy nadążam za tokiem pańskich myśli – powiedział.

–Niewielu moich pracowników przyznałoby się do tego. Zwykle uśmiechają się i potakują, czekając, aż dotrę do sedna sprawy – stwierdził O'Brien z uśmiechem.

Abrams oparł się o poręcz. Dookoła spacerowało kilku turystów. Niebo było różowe, a widok przyjemny. O'Brien wrócił do aparatu, ale ten już się wyłączył.

–Cholera. Czy ma pan jeszcze jedną monetę? O'Brien rozpoczął spacer z powrotem drogą, którą przyszli.

–A zatem chodzi o to, że mogę pana zwolnić pod koniec miesiąca. Zostanie pan wynajęty przez Edwardsa i Stylera, którzy są adwokatami w hrabstwie Nassau. Garden City. Reprezentują Rosjan w procesie przeciw Van Domowi.

–To brzmi raczej nieetycznie, zważywszy na fakt, że pracuję teraz dla pana i pana Van Doma. Nie uważa pan?

–Rosjanie w końcu spełnią życzenie Edwardsa i Stylera i pozwolą im odwiedzić swoją posiadłość podczas wyczynów Van Doma. Mimo prośby Huntingtona Stylera nie zezwolili na wizytę dziś wieczór, ale prawdopodobnie zgodzą się następnym razem, kiedy Van Dom urządzi swoje kolejne przyjęcie. Możliwe że będzie to podczas Dnia Pamięci*. Będzie pan towarzyszył adwokatom Edwardsa i Stylera, a później złoży mi pan raport na temat przebiegu rozmów.

–Proszę posłuchać, jeśli George Van Dom rzeczywiście nęka Rosjan, to zasługuje na to, żeby go zaskarżyć i żeby przegrał proces. W tym czasie Rosjanie powinni zdobyć nakaz przeciw niemu, aby położyć kres jego wyczynom.

–Pracują nad tym ludzie Edwardsa i Stylera. Ale sędzia Barshian, przypadkowo mój przyjaciel, nie może podjąć decyzji. Pomiedzy świadomym wzniecaniem niepokoju a świętym i zagwarantowanym konstytucyjnie prawem Van Doma do wydawania przyjęć jest bardzo subtelna granica. * Dzień Pamięci – ang. Memoriał Day – Decoration Day (30 maja) – dzień ku czci poległych na polu chwały (przyp. tłum.).

–Przykro mi, ale z tego co czytałem, wynika, że Van Dom nie jest dobrym sąsiadem. Działa pod wpływem niskich pobudek, małostkowości, urazy i źle rozumianego patriotyzmu. O'Brien uśmiechnął się lekko.

–Tak to ma wyglądać, Abrams. W rzeczywistości to coś więcej niż sprawa cywilna.

Abrams zatrzymał się i spojrzał nad północnym krańcem Manhattanu, w kierunku Central Parku. Oczywiście, że to coś więcej niż sprawa cywilna. Pytania o język, patriotyzm, jego służbę w Czerwonym Szwadronie i cała ta pozornie niespójna i nieważna rozmowa w rzeczywistości wcale nie była taka nieważna. To był styl gry O'Briena.

–No dobrze – powiedział. – Co mam robić, kiedy już znajdę się w ich domu?

–Dokładnie to samo co Jonathan Harker robił w domu Drakuli. Niech pan będzie wścibski.

–Jonathan Harker umarł.

–Gorzej. Stracił nieśmiertelną duszę. Ale skoro zamierza pan być adwokatem jak Harker, może to mieć duże znaczenie dla pana dalszej kariery.

–Co jeszcze może mi pan powiedzieć?

–Teraz nic więcej. Upłynie trochę czasu, zanim znowu porozmawiamy. Nikomu nie wolno o tym mówić. W dalszym toku sprawy będzie się pan kontaktował bezpośrednio ze mną i z nikim więcej, nawet jeżeli ktoś będzie twierdził, że działa w moim imieniu. Zrozumiano?

–Zrozumiano.

–W porządku. Tymczasem dostarczę panu te taśmy z rosyjskim. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, przynajmniej poprawi pan swój akcent.

–Dla pańskich żydowskich emigrantów?

–Nie mam takich klientów.

Abrams skinął głową.

–Muszę przygotować się do egzaminu adwokackiego.

–Panie Abrams, w lipcu może nie być żadnego egzaminu. – Głos O'Briena

nieoczekiwanie zabrzmiał bardzo ostro.

Abrams przyglądał się szefowi w przyćmionym świetle. Wydawało się, że O'Brien mówi poważnie, ale Abrams wiedział, że nie ma sensu prosić o wyjaśnienie tego zdumiewającego stwierdzenia.

–W takim razie może rzeczywiście powinienem popracować nad rosyjskim. Może mi się przydać.

Uśmiech O'Briena przypominał grymas.

–Bardzo możliwe, że przyda się panu już w lipcu. Dobranoc, panie Abrams.

Odwrócił się i poszedł w kierunku windy. Abrams spoglądał za nim przez sekundę, później odpowiedział:

–Dobranoc, panie O'Brien.

2

Peter Thorpe spojrział w dół z wynajętego helikoptera. Poniżej trzystuletnia wioska Glen Cove leżała jak w gnieździe na Long Island Sound. Na horyzoncie pojawiła się siedziba Radzieckiej Delegacji przy Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Był to budynek w stylu elżbietańskim, o granitowych ścianach, spadzistych dachach oraz oknach dzielonych kamiennymi słupkami. Została zaprojektowana w kształcie litery T na planie dwóch wielkich skrzydeł, z dodatkiem trzeciego, mniejszego skrzydła dobudowanego do południowego końca podstawy budynku. Posiadłość nazywała się Killenworth, a zbudowana została przez arcykapitalistę Charlesa Pratta, który założył dla jednego z synów to, co później przekształciło się w Standard Oil. Dom miał ponad pięćdziesiąt pokoi i był położony na małym wzgórzu otoczonym przez trzydzieści siedem akrów la-su.

Kilka innych posiadłości na Złotym Wybrzeżu Long Island rozciągało się pomiędzy rozwijającymi się przedmieściami, włączając w to pięć czy sześć dalszych majątków Pratta, z których jeden przeznaczony był na dom starców. Peter Thorpe był tam kilka razy, ale nie po to, aby odwiedzić pacjentów. W dole, w miejscu, które kiedyś należało do Gatsb/ego, widać było sporą grupę demonstrantów stojącą przed bramami radzieckiej posiadłości.

Thorpe spojrział znów na drapacze chmur na Manhattanie i przyglądał się przez chwilę siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych.

–Czy przewoził pan kiedyś Rosjan? – zapytał pilota.

Pilot skinął głową.

–Raz. Ubiegłego lata. Co za niewiarygodne miejsce. O Boże!

Hej, który to pański zamek?

–Ten na północ od siedziby Rosjan.

–Okay. Już widzę.

Rój gwiazd rozprysł się nagle z lewej strony helikoptera.

–Co, u diabła?! – krzyknął zdumiony pilot. Pociągnął za drążek sterowy. Helikopter skręcił nagle na prawą burtę.

Thorpe zaśmiał się.

–To tylko fajerwerki. Mój gospodarz zaczyna swoją coroczną antypierwszomajową zabawę. Zrób zwrot i podejdź od północy.

–W porządku.

Helikopter zmienił kurs. Thorpe spojrzał na ruch na Dosoris Lane. Wiedział, że miejscowy burmistrz nie lubi Rosjan i przewodzi swoim wyborcom w walce przeciw niepożądanym sąsiadom. Faktem było, że Glen Cove prowadziło walkę z Rosjanami od momentu, gdy po drugiej wojnie światowej kupili tę posiadłość. W latach pięćdziesiątych policjanci zatrzymywali każdego przejeżdżającego lub przechodzącego przez bramy i wypisywali mandaty za najdrobniejsze naruszenie prawa, choć nikt tych mandatów nigdy nie płacił. Był też okres rozejmu odpowiadający okresowi radziecko-amerykańskiego odprężenia, ale polowanie na czarownice z lat pięćdziesiątych najwyraźniej wróciło, nie tylko w Glen Cove, ale i w całym kraju.

W ostatnich latach, kiedy burmistrz tymczasowo zakazał Rosjanom wstępu do obiektów rekreacyjnych w miasteczku, Moskwa zabroniła amerykańskim dyplomatom wstępu do Moskva River czy czegoś równie idiotycznego. „Prawda” zamieściła na pierwszej stronie długi artykuł potępiający Glen Cove jako bastion „antyradzieckiego delirium”. Ten artykuł, którego tłumaczenie Thorpe przeczytał w dowództwie CIA w Langley, w Wirginii, był równie idiotyczny jak poprzedzające go wywody burmistrza Dominica Parioliego.

Thorpe pomyślał z rozbawieniem, że Glen Cove przysparza bólu głowy również Departamentowi Stanu. Ubiegłego lata rząd federalny zgodził się wypłacić miasteczku sto tysięcy dolarów rocznego podatku od własności, pieniądze stracone do tej pory dla mieszkańców z powodu nieopodatkowania radzieckiej posiadłości. W odpowiedzi burmistrz Parioli zgodził się zaprzestać dalszych działań. Ale z miejsca, gdzie znajdował się teraz Thorpe, dwanaście tysięcy stóp nad miasteczkiem, nie wyglądało na to, że Glen Cove dotrzymywało postanowień układu.

Thorpe znów się zaśmiał.

–Co się tam w dole, u diabła, dzieje? – zapytał pilot.

–Ludzie korzystają ze swojego prawa do wolności słowa i wolności zgromadzeń – odpowiedział Thorpe.

–Stąd wygląda to jak pieprzona wolna amerykanka.

–Dokładnie tak.

Thorpe pomyślał, że trzeba jednak oddać sprawiedliwość miasteczku i że okoliczności zmieniły się od czasu porozumienia na linii Glen Cove-Waszyngton. W prasie często pojawiały się reportaże na temat wyszukanych elektronicznych urządzeń szpiegowskich w radzieckiej siedzibie. Miejscowi rezydenci narzekali na ingerencję telewizji, która według nich była równie bulwersująca jak szpiegowanie, które ją spowodowało. Celem elektronicznego szpiegostwa nie był jednak poniedziałkowy football. Prawdziwy cel stanowił system obronny Long Island: Sperry-Rand, Grumman Aircraft, Republic Aviation i dziesiątki przedsiębiorstw. Thorpe wiedział, że Rosjanie podsłuchują także w środowiskach dyplomatycznych na Manhattanie i Long Island. Stawiano sobie pytanie: Skąd Rosjanie wzięli całe to szpiegowskie wyposażenie? Oficjalna odpowiedź Departamentu Stanu była zawsze taka sama: przychodziło w przesyłkach dyplomatycznych, często nawet w dużych ładunkach zwolnionych na mocy protokołów dyplomatycznych z kontroli celnej. Thorpe wiedział jednak, że prawda jest inna.

Prawie cały sprzęt używany do szpiegostwa w obiektach miejscowego przemysłu obronnego pochodził z tego właśnie przemysłu. Został zakupiony przez kilka fikcyjnych korporacji i dostarczony helikopterem prosto na dziedziniec radzieckiej posiadłości. Urządzenia, których nie można było kupić, zostały po prostu skradzione i przetransportowane w celowo skomplikowany sposób, ciężarówkami, łódkami, a także helikopterami.

Thorpe zwrócił się do pilota:

–Czy kiedy przewoził pan tutaj Rosjan, mieli ze sobą jakieś pakunki?

Pilot wzruszył ramionami.

–Tak, dość bagażu na dwuletnią wycieczkę po morzu. Całe paki jedzenia. Ani ja, ani urzędnik pocztowy nie wiedzieliśmy, że to Rosjanie. Miałem zabrać całe towarzystwo z East Side Heliport i przewieźć do posiadłości na Long Island. W każdym razie byli obładowani tymi pudłami i kuframi... Więc załadowali cały ten bałagan i kazali mi lecieć do Kings Point, co zrobiłem.

Wtedy, zanim wylądowałem, powiedzieli, żebym leciał do Glen

Cove, więc poleciałem. Później wskazali na to miejsce pod nami i wylądowałem. Czekala furgonetka. Gromada facetów bardzo szybko rozładowała helikopter i pomachała mi na pożegnanie.

Chryste, ciągle nie wiedziałem, że to Rosjanie. Dopiero miesiąc później zobaczyłem w „Timesie” zdjęcie lotnicze tego miejsca. Było jakieś zamieszanie wokół podatków i wstępu na plażę... Nawet nie dostałem napiwku.

–Co było napisane na furgonetce? – zapytał Thorpe.

Pilot rzucił mu szybkie spojrzenie.

–Nie wiem. Nie pamiętam.

–Czy ktoś rozmawiał z panem o przelocie?

–Nie.

Thorpe potarł podbródek. Pilot nie odpowiadał już tak chętnie, co mogło oznaczać kilka rzeczy.

–Nie zawiadomił pan FBI? Oni nie kontaktowali się z panem?

–Hej, dosyć pytań. Okay? – warknął pilot.

Thorpe wyciągnął portfel.

–CIA.

Pilot spojrział na kartę identyfikacyjną.

–Tak. No i co? Kiedyś w Wietnamie przewoziłem kupę ludzi z CIA. Nie byli tak wścibscy jak pan.

–Co panu powiedzieli? Mam na myśli FBI.

–Powiedzieli, że nie mam z wami gadać. Hej, nie mam zamiaru wdepnąć w jakieś gówno. Okay? Powiedziałem już za dużo.

–Zatrzymam to dla siebie.

–Okay. Wyjaśnij pan to sobie z nimi, jeśli chcesz się czegoś jeszcze dowiedzieć. Nie mów im jednak, że tyle gadałem. Nie wiedziałem, że jest pan z CIA. Jezu Chryste, co

za banda.

–Uspokój się. Leć dalej.

–Tak. Chryste. Czuję się jak taksjarsz, któremu ciągle trafiają się jakieś podejrzane typy. Ruskie, FBI, CIA. Kto następny?

–Nigdy nie wiadomo. – Thorpe usiadł wygodnie, kiedy helikopter schodził w dół.

Ta wojna pomiędzy miasteczkiem i Rosjanami miała w sobie coś z opery komicznej. Mniej komiczna była otwarta wrogość innej miejscowej osobistości, George'a Van Doma, gospodarza Thorpe'a w czasie tego weekendu. Peter Thorpe spojrział w dół. Dwie małe posiadłości połączone wspólną, na wpół uformowaną granicą, dwa światy tak różniące się polityczną filozofią, a wplątane w dziwną, średniowieczną wojnę oblężniczą. Po części było to śmieszne, ale tylko po części.

Fontanna kolorowych- kuł z rzymskiej świecy wyrosła na niebie ponad kabiną helikoptera.

–Wszystko w porządku, szefie – powiedział Thorpe.

Kłot zaklął.

–Robi się niebezpiecznie.

Thorpe wskazał mu oświetlony pas startowy, który był poprzednio kortem tenisowym. Van Dorn uważał tenis za sport dla kobiet i zniewieściałych mężczyzn. Thorpe, który grał w tenisa, sugerował mu, że mimo wszystko powinien być gościnny, ale na darmo. Ma korcie namalowano luminescencyjną farbą numery częstotliwości radiowej.

–Czy mam prosić przez radio o zgodę na lądowanie? – zapytał pilot z niedowierzaniem.

–Lepiej tak, szefie.

–Na miłość boską... – Pokręcił gałką częstotliwości i kiedy kołował, odezwał się do mikrofonu ukrytego w hełmie: – Tu AH 113. Proszę o instrukcje do lądowania. Odbiór.

Jakiś głos zatrzeszczał w słuchawce i Thorpe usłyszał go z głośnika.

–Tu stacja Van Doma. Widzimy cię. Kogo wiesz?

Pilot odwrócił się do Thorpe'a. Wyglądał na zaniepokojonego. Thorpe uśmiechnął się.

–Powiedz im, że to Peter. Sam i nie uzbrojony.

Pilot powtórzył pewnym głosem jego słowa.

–Podchodź na lądowisko. Odbiór – odpowiedział radiotelegrafista.

–Zrozumiałem. Schodzę. – Pilot włączył częstotliwość swojej kompanii, później zwrócił się do Thorpe'a: – Teraz wiem, że tych dwóch domów powinienem unikać.

–Ja też.

Thorpe widział teraz bardzo wyraźnie rezydencję Van Dorna. Długi, biały, oszalowany budynek w stylu kolonialnym.

Bardzo okazały, ale nie tak duży jak siedziba jego wroga. Thorpe poczuł cieplejsze powietrze bijące od ziemi i napływające do kabiny pilota. Poczł zapach świeżych kwiatów. Z pustego, ale oświetlonego basenu dwóch mężczyzn odpalało rakiety. Jak załoga moździerza, pomyślał Thorpe. Okopana przeciw ewentualnemu atakowi.

–Gdyby Rosjanom udało się uzyskać pozwolenie na fajerwerki, to mogliby się rewanzować – powiedział do pilota.

–Tak – warknął niespokojny pilot. – A gdybym ja miał swoją starą Kobrę, wykończyłbym gnojków i tych dupków też.

–Amen, bracie.

Helikopter siadł na korcie tenisowym.

3

Stanicy Kuchik poczuł pot spływający mu po plecach. Zastanawiał się, co by Rosjanie z nim zrobili, gdyby go złapali na swoim terenie. Był uczniem szkoły, która mieściła się przy Dosoris Lane, drodze biegnącej od posiadłości Rosjan. Przez dziesiątki lat uczniowie mijali posępne mury rezydencji w drodze do szkoły. Krążyły historie o tych, którym udało się przeniknąć do tego obcego świata, ale była to młodzież z odległej, bliżej nie określonej przeszłości. Niektórzy twierdzili, że wyzwaniu rzuconemu przez te szydercze ściany nie mogła sprostać ani odwaga, ani inicjatywa żadnego z tych chłopców i dziewcząt.

Ale teraz do akcji wkroczył Stanicy Kuchik, właściwa osoba we właściwym czasie i na właściwym miejscu. Dziś wieczorem zamierzał udowodnić, że nawet jeśli nie jest najsilniejszy w klasie, to w każdym razie najdzielniejszy. Dziesięciu jego druhów widziało, jak wspinał się na płot pomiędzy terenem YMCA a posiadłością Rosjan, i obserwowało, jak zniknął między drzewami. Jego zamiar był jasny: zdobyć niezбитy dowód głębokiego wniknięcia na terytorium wroga, po czym wrócić na spotkanie w pizzerii Sala jeszcze przed dziesiątą wieczorem. Wiedział, że gdyby nawalił, mógłby równie dobrze zacząć szukać miejsca gdzie indziej, ponieważ jego noga nie pozostałaby więcej w szkole w Glen Cove.

Stanicy podniósł lornetkę i skierował ją na wielki budynek około dwustu jardów od miejsca, w którym stał. Purpurowe cienie kryły szeroki północny taras, ale dało się zaobserwować pewien ruch wokół domu. Kilka osób siedziało na krzesłach ogrodowych i ktoś serwował drinki. Stanicy pragnął, żeby wszyscy weszli do środka. Sprawdził, czy marynarski nóż nie

wyśliznął się z pochwy, potem przesunął palcami po maskującym rysunku na twarzy wykonanym zielonymi cieniami do oczu jego matki, uzupełnionym kilkoma pociągnięciami brązowego ołówka do oczu. Makijaż trzymał się dobrze przy każdej pogodzie, nawet teraz, gdy było naprawdę gorąco i Staniey mocno się pocił. Chłopiec miał na sobie tygrysi mundur z Wietnamu wujka Steve'a i swoje czarne trampki.

Skończył balonik, wepchnął opakowanie do kieszeni torby i wyciągnął następny. Zamarł. W odległości dziesięciu jardów dwóch mężczyzn szło w jego kierunku zwirową ścieżką. Nasłuchiwał, czy nie ma psów, i odetchnął z ulgą, gdy ich nie dostrzegł.

Nawet gdyby mężczyźni go zauważyli, mógł im uciec. Zawsze biegał sto jardów w ciągu dziesięciu sekund i wiedział, że mógłby poprawić ten wynik, gdyby goniło go kilku Rosjan.

Stanicy leżał nieruchomo, kiedy dwie postaci wyłoniły się pomiędzy roślinami na ścieżce. Rozpoznał jednego z nich – niskiego, grubego z oczami jak pluskwy. Żaba. Kilka razy widział go w mieście i raz na plaży. Żaba nawet przemawiał parę lat temu na powitanie uczniów pierwszego roku. Zajmował się sprawami kultury czy czymś podobnym i całkiem dobrze mówił po angielsku. Kiedy Rosjanom wolno było grać w tenisa na kortach miasteczka, rzadko który z nich ruszył się, żeby odrzucić piłkę, która wyszła poza ogrodzenie. Jedynie Żaba ruszał swoim kaczkowatym krokiem, uśmiechał się szeroko i oddawał piłkę. Żaba był okay. Stanicy usiłował przypomnieć sobie jego nazwisko. Anzoff... Andrew czy coś takiego. Tak. Andrew. Wiktor Andrew.

Drugi mężczyzna był jednym z tych ulizanych typów: włosy zaczesane do tyłu, garnitur przypominający stare ubranko Stanleya do pierwszej komunii świętej i ciemne okulary. Facet wyglądał jednak na twardziela. Prawdopodobnie goryl, pomyślał Stanicy.

Mężczyźni paplali po rosyjsku i Staniey ciągle wychwytywał słowo „amerikanski”. Podniósł się lekko, otworzył szeroko torbę i wyciągnął kieszonkową minoltę i zrobił trzy szybkie zdjęcia. Włożył aparat z powrotem do torby i poczekał minutę, aż Rosjanie zniknęli z widoku. Wtedy zdecydował się wstać. Nasłuchiwał. Było cicho. Rzucił się na przelaj przez otwartą przestrzeń; pięćdziesiąt jardów pokonał w mniej niż sześć sekund.

Dał nura w mały, zarośnięty zielskiem dół i przywarł nieruchom» do ziemi. Wiedział, że nic go nie chroni, ale wokół nie było "mego miejsca do ukrycia się. Rozejrzył się za podsłuchowymi

wona flaga z żółtą pięcioramienną gwiazdą, młotem i sierpem załopotowała w nagłym porywie wiatru. Zrozumiał, że nie może zrezygnować.

Nagle rozległ się hałas przypominający wystrzał z karabinu i Stanicy prawie stracił kontrolę nad swoim pęcherzem. Wyczekiwał, leżąc w wilgotnych zaroślach. Nad jego głową rozległ się następny huk i fontanna isker – czerwonych, białych i niebieskich – spłynęła w dół. Kolejne rakiety wybuchały nad głową i Stanicy roześmiał się cicho. Stary wariat Van Dom znów dokłada Rosjanom. Nie miał już wątpliwości, na co zwrócone są oczy wszystkich Rosjan. Z łatwością przeciął sznur i ciężar materiału wyciągnął linę z bloków. Flaga spłynęła w dół. Najpierw wolno, a potem coraz szybciej; wręcz rosła w oczach.

Była uszyta z lekkiego materiału. Oczekiwał czegoś cięższego.

Pachniała też zabawnie. Najważniejsze, że ją zdobył. Nie tracił czasu. Odciął flagę, skręcił ją mocno w linę i owinął bezpiecznie wokół pasa. Ześliznął się po ślepej strome żywopłotu, daleko od tarasu, potem wstał, gotów przebiec przez trawnik. Wtedy zapaliły się światła reflektorów. O Chryste. Chociaż pierwszą zasadą patrolu było nie wracać nigdy tą samą drogą, którą się przyszło, Stanicy odwrócił się i wolno poczołgał w stronę drenu burzowego. Szybko zagłębił się w szybie i naciągnął kratę na swoje miejsce. Okay... Okay... Miałeś szczęście.

Gdy był już w połowie pionowego szybu, usłyszał, jak ktoś wrzeszczy za nim:

–Stop! Zatrzymać się! Będziemy strzelać.

Silny strumień światła omiół ściany szybu. Staniey zeskoczył dziesięć stóp w dół i spadł na błotniste dno. Dał nura w otwór drenu głową naprzód, kiedy usłyszał, jak ktoś podnosi kratę. Matko Święta... Zdał sobie sprawę, że znajduje się w rurze prowadzącej do posiadłości. Nie miał wyboru – musiał posuwać się naprzód.

Ruch na Dosis Lane został zablokowany. Kar! Roth pomyślał, że jest po temu dobry powód. W powietrzu wisiał międzynarodowy incydent i każdy chciał go zobaczyć, a nawet

30

wziąć w nim udział. Podjechał swoją starą furgonetką kilka jardów, a potem odezwał się z lekkim środkowoeuropejskim akcentem:

–Spóźnimy się.

Maggie Roth, jego żona, spojrzała na tył furgonetki.

–Mam nadzieję, że jedzenie się nie zepsuje. – Ona także miała akcent, który był czarujący dla jej amerykańskich sąsiadów, ale przez londyńczyków odbierany jako żydowski z Wapping Lane.

–Gorąco, jak na pierwszy maja.

Wskaźnik temperatury silnika ciężarówki zaczął się podnosić.

–Cholera. Skąd się biorą te wszystkie samochody?

–To są samochody wyzyskiwanej klasy robotniczej, Kari – odpowiedziała Maggie. – Jadą z kortów tenisowych, pól golfowych i jachtklubu – roześmiała się. – Oprócz tego Van Dom urządza następne odwetowe przyjęcie.

Kari Roth zmarszczył brwi.

–Androw dał znać, że ma dla nas niespodziankę. 'ii-Mógł nam zrobić niespodziankę, płacąc te swoje cholerne rachunki, nieprawda? – zażartowała Maggie.

–Proszę, bądź dla niego uprzejma. Prosił, żebyśmy zostali Btt drinka. To jest dla nich wielka uroczystość.

"-Mógł nas zaprosić na całe przyjęcie – odburknęła. – Zamiast tego wchodzimy wejściem dla służby jak żebracy i pomagaliBy w kuchni. I to ma być bezklasowe społeczeństwo. ^Zostalibyśmy zanotowani przez FBI, gdybyśmy zostali atbyt długo – zdenerwował się Roth.

–Zanotowali już twoje wyjazdy i przyjazdy. Mówię ci, że coś podejTzewają.

–Nie mów tak. Nie wspominaj o tym Androwowi – warknął Roth.

–Tym nie musisz się martwić. Czy sądzisz, że mam zamiar titAczyć jak Carpinowie?

–Daj spokój! furgonetka posunęła się parę jardów dalej. Nagle rakietą ^toczyła łuk w gęstniejącym mroku i eksplodowała czerwono-niebiesko-białą fontanną iskier, która oświetliła purpurowe niebo. Kilka osób wiwatowało na ulicy, a klaksony samochodów zaczęły trąbić.

–Jeszcze jedna prowokacja. To z posiadłości Van Doma, tej "Akcyjnej świni – zadrwił Roth.

–Płaci rachunki – zauważyła Maggie. – Czemu nie poszukamy pracy na jego przyjęciu, Kari? Dalibyśmy sobie radę i tu, i tam. Van Dom cię lubi. Tylko czemu tak się cholernie przed nim płaszczysz, Kari? Tak, panie Von Dom, nie, panie Von Dom. Nie Von, tylko Van Dom. Być może zdaje sobie sprawę, że wężysz dookoła, gdy tam jesteś. A może po prostu myśli, że latasz za pokojówkami – zaśmiała się. – Gdyby wiedział, kim naprawdę jesteś...

Kari Roth westchnął z irytacją. Maggie musi na siebie uważać, pomyślał. Furgonetka znowu posunęła się do przodu. Teraz rozległy się wściekłe krzyki w górze ulicy. Samochody policyjne były zaparkowane po prawej stronie, a po lewej zobaczył ogromną, zdobną, kutą w żelazie bramę radzieckiej posiadłości. Pikietujący blokowali wejście, a policja starała się utrzymać porządek. Z umieszczonego wysoko punktu obserwacyjnego Roth zauważył kilka limuzyn starających się przejechać przez bramę. Policja zatrzymywała każdego i sprawdzała prawa jazdy i dowody rejestracyjne.

–Coraz większy bałagan – powiedział Roth. – Gdzie jest nasz dowód rejestracyjny? Nie chcę żadnego mandatu. My nie mamy immunitetu dyplomatycznego.

–Tam. W przegródce na rękawice. Mój Boże, co za bałagan!

Następna rakietka zakreśliła łuk w powietrzu i eksplodowała z głośnym hukiem. Maggie zachichotała.

–Pan Van Dom chce, żeby wybuchaly nad Rosjanami.

–Dlaczego uważasz, że to zabawne?

–Bo tak jest. Nie sądzisz?

–Nie.

–Czy zdajesz sobie sprawę, że jedzenie, które im dostarczyliśmy przez ostatnie kilka miesięcy, wystarczyłoby na przetrwanie długiego oblężenia? – Zapytała po chwili milczenia. Nie odpowiedział. – 1 wszystkie te puszki, i suchy prowiant. Te dranie kupują tylko to, co najlepsze i najświeższe, a teraz chcą puszki i suchy prowiant. Kari, o co w tym wszystkim chodzi? – Znow nie odpowiedział. Jej głos zabrzmiał ostro: – Te pieprzone żebraki planują trzodą wojnę światową. O to im chodzi. Ale Glen Cove jest bezpieczne, prawda, Kari? Przecież nie zrzuciliby bomby na swoich ludzi.

–Zamknij się.

**–Mam nadzieję, że ten cholerny majonez się zepsuł i wszyscy się potroją –
wymamrotała i popadła w posępne milczenie.**

Stanicy Kuchik leżał na plecach w drenie, z ramionami nad elewa unieruchomioną pod metalową kratą. Jego oczy napełniły się łzami.

–Głupi... kretyn... Staniey, ty idioto... – powiedział do siebie.

Spojrzał w górę na kratę. Tylko ona oddzielała go od piwnicy Myślał, czy nie zawrócić, ale wyobraźnia podpowiadała mu, że mógłby utknąć gdzieś niżej, umrzeć tam i zgnić, a jego smród byłby okropny. Pewnie wezwaliby hydraulika i... nie!

Wiedział, że Rosjanie będą na niego czekać w sitowiu i zaraz odkrycia że ruszył w przeciwnym kierunku. Wkrótce tu będą, wyciągną go stąd i zastrzelą. Jezus, Maria... Pod wpływem gniewu i frustracji zacisnął dłonie w pięści i uderzył nimi w kratę. Zaszlochał i łzy popłynęły mu po twarzy Usłyszał coś, co zabrzmiało jak ostry brzęk i ucichło. Spróbował popchnąć kratę i udało mu się ją unieść. Wzniósł ramiona i wyrzucił je w górę jak atleta, odrzucając kratę w powietrze z siłą, o jaką się nigdy nie podejrzewał. Upadła z łoskotem na betonową podłogę kilka stóp dalej. Zanim poczuł, jak zmęczenie paraliżuje mu wszystkie mięśnie, chwycił brzegi otworu ^podciągając się i wierzgając jednocześnie nogami, wydzwignął się z dziury i upadł na podłogę. Leżał tak na zimnym betonie 1026(5 kilka sekund, oddychając ciężko, czując drżenie mięśni.

Dieiagnął głęboko powietrze i niepewnie stanął. No, nie było tak źle. n Stanicy otrzepał się, wygładził ubranie i sprawdził, czy czegoś nie zgubił. Wszystko było na swoim miejscu, razem z flagą -ciasno owiniętą wokół pasa. Rozejrzał się szybko dookoła»J Był w kotłowni. Trzy ogromne piece stały w poprzek pomieszczenia wraz z trzema zbiornikami na gorącą wodę i zbiornikiem na olej. Otworzył drewniane, nie wykończone drzwi i przeszedł do następnego, nie oświetlonego pomieszczenia. Pociągnął przełącznik znajdujący się nad jego głową i zapalił nie ostomętą żarówkę. Rozejrzał się dookoła. Wielkie stopy pudeł wypełnionych żywnością w puszkach stały w rzędach w taki sposób, że tworzyły długie korytarze. Chryste, wystarczy tego dla całej armii.

Włączył latarkę i przeszedł przez cały magazyn, odczytując znajome nazwy towarów, aż znalazł się przy drzwiach. Nasłuchiwał, lecz nie doszedł go nawet szmer. Wszedł do pokoju,

który od podłogi po sufit wypełniony był metalowymi szafkami.

Wybrał jedną na chybił trafił i otworzył silnym szarpnięciem. Wewnątrz w rzędach stały kartoteki. Przesunął latarką po fiszkach zapisanych grażdanką. Wyciągnął plik kartek i przyglądał się leżącej na wierzchu. Przeklęty, zwariowany język. Wepchnął cały plik do torby i poszedł dalej.

Widział umieszczone w niszach okna sutereny, ale wszystkie były zakratowane. Zrozumiał, że musi znaleźć drzwi prowadzące na zewnątrz. Z pokoju na górze dochodziły słabe odgłosy muzyki, rozmów i śmiechu. Szedł dalej, rozglądając się po zagraconym pomieszczeniu. Nagle zauważył coś na ścianie.

Zatrzymał się, a następnie podszedł bliżej. Przesunął strumień światła i zlokalizował trzy duże elektryczne tablice rozdzielcze. Otworzył jedną z nich. Wewnątrz znajdowały się dwa rzędy nowoczesnych wyłączników. Wszystkie były oznakowane w języku rosyjskim, co podsunęło Stanicy myśl, że nie zostały zainstalowane przez amerykańskiego elektryka. Stanicy wyciągnął minoltę i nastawił obiektyw na zbliżenie. Stał dokładnie na wprost tablicy i napiął pasek aparatu, aby odmierzyć pięćdziesiąt centymetrów. Wykadrował tablicę i nacisnął spust migawki. Błysnęło światło. Podszedł do pozostałych tablic i zrobił jeszcze dwa zdjęcia. Teraz miał dowód swojego pobytu w posiadłości.

Znowu przesunął strumień światła dookoła i zauważył coś na podłodze na prawo od tablic. Szybko podszedł bliżej i uklęknął. Była to ogromna prądnica amerykańskiej produkcji, przymocowana do betonu nad jeszcze jednym drenem w podłodze.

Zmierzył wzrokiem jej ogrom. Nie pracowała i Stanicy domyślił się, że włącza się automatycznie, gdy słabnie napięcie prądu. Poświecił dalej wzdłuż ściany. W rogu natrafił na wielki zbiornik oleju, prawdopodobnie paliwa do prądnicy. Chryste, ci ludzie nie zaniedbują niczego.

Stał i wodził światłem dookoła, później przeszedł przez pokój. Z podłogi wyrastała elektryczna pompa studzienna połączona dwucalową rurą z główną rurą wodociągową biegnącą nad jego głową. Pompa także nie działała i Stanicy zrozumiał, że włącza się razem z prądnicą lub w razie odłączenia dopływu wody z miasteczka. Podrapał się po głowie z namysłem. Żywność... paliwo... elektryczność... woda... Co za spryciarze...

Gotowi na wszystko. Znowu rozpoczął przechadzkę. Przeszedł przez otwór w drewnianej ścianie i znalazł się w pomieszczeniu z meblami ogrodowymi i narzędziami. Omiótł ściany światłem latarki i w końcu zauważył kamienne schody prowadzące do drzwi. Okay, Stanicy, czas do domu.

Pacisnął klamkę i popchnął lewe skrzydło drzwi. Otworzyło się ze zgrzytem i Staniey wyszedł w chłodne nocne powietrze, wprost na kępkę cykuty. Wyciągnął ostatni batonik, był to jego ulubiony migdałowy Cadbury, bardzo drogi. Żuł z namysłem, oceniając wzrokiem sto jardów jasno oświetlonego trawnika. Za nim ciągnął się szeroki pas drzew. Skończył czekoladkę, oblizał i wytarł usta i palce i skulił się w pozycji sprintera. Odczekał chwilę, rozejrzał się, nasłuchując, wziął głęboki oddech i wymamrotał do siebie:

–Okay, stary, do dzieła.

Wyskoczył z przysiadu i popędził co sił przez otwartą przestrzeń trawnika aż do drzew. Był już mniej niż pięć jardów od ataju lasku, gdy usłyszał ujadanie psa zakończone przeciągVffaa. warczeniem. *;- Zatrzymać się!

M-Aha, od razu. •{W Przebił się z trzaskiem przez poszycie. Natrafił na prawie jtóBftowe wzniesienie terenu i pokonał je trzema długimi susami. Gdy biegł, zwisające z drzew gałęzie klonów chłostały go po 1||liarzy i ramionach i poczuł głębokie cięcie nad prawym "jałsiem. Konar sosny trzasnął go w usta. Staniey stłumił okrzyk l^u. Pieprzyć to! Jezu Chryste, nigdy więcej... nigdy... s ""^edna z rzymskich świec Van Dorna wystrzeliła w powie'tt(K®.'Staniey zauważył, skąd ją wystrzelono, i pobiegł w tym tEwunku. Droga prowadząca do posiadłości Van Dorna nie ll^sa najłatwiejsza, ale za to najkrótsza, więc najlepsza. Ściśle ,| wie miał słomkowy kapelusz z opuszczonym rondem. Całości' dopełniała pasująca do krawata chusteczka w kieszeni mary-1 narki i czarno-białe skórzane buty. Wygląda, pomyślała Ka-'| therine, jak gdyby był w drodze do jednej z okolicznych posiadłości, aby zagrać w filmie z lat dwudziestych. Uznała, że George Van Dom nie doceni całej tej elegancji. Choć musiała przyznać, że w pewien nieokreślony sposób Pembroke roztaczał jednak urok męskości.

–Pan O'Brien cieszy się zwykle doskonałym zdrowiem – powiedziała. – Rok temu wyskoczył na spadochronie z helikoptera i wylądował na korcie tenisowym George'a.

Uśmiechnęła się.

Pembroke spojrział na jasnowłosą towarzyszkę. Była szalenie ładna. Dobrze skrojona, zwykła, fiołkoworóżowa suknia podkreślała bladość jej cery. Na nogach miała sandały i zauważył, że skóra jej stóp jest zgrubiała. Przypomniawszy sobie, że po amatorsku trenuje maraton. Oceniał jej profil. Znamionował to, co w armii nazywano osobowością przywódczą. Słyszał, że jest niezła na sali sądowej, i nie wątpił, że to prawda.

Podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie. Nie odwróciła

skromnie głowy, jak to zwykle robią kobiety, ale patrzyła na mego w taki sam sposób, w jaki on patrzył na nią.

–Może drinka? – zaproponował Pembroke.

–Proszę.

Pembroke spojrział na atrakcyjną młodą parę na przednim siedzeniu. Joan Grenville ubrana była w białe spodnie i granatową bluzkę z wycięciem w łódkę. Jej mąż Tom nosił niebieski, urzędowy garnitur mile widziany u pracowników firmy O'Brien, Kimberły i Rosę. Pembroke, który nie był pracownikiem tej firmy, zastanawiał się, czy Tom Grenville ma zamiar nosić ten przygnębiający uniform przez cały weekend, by zdobyć uznanie Van Dorna, starszego wspólnika tej firmy.

–Czy macie ochotę na drinka? – zapytał.

–Jeśli o mnie chodzi, nie dam się dwa razy prosić – odrzekła Joan.

Tom Grenville uśmiechnął się z przymusem.

–Moja żona nigdy nie odmawia.

–Naprawdę?

–Przygotuję drinki. Szkocka dla wszystkich? – Grenville pochylił się nad małym barem.

–Powinniśmy byli polecieć z Peterem – stwierdziła Joan rozdrażnionym głosem.

–Nawet jeśli leci helikopterem, na pewno pojawi się dużo później – odpowiedziała Katherine.

Marc Pembroke uśmiechnął się do niej.

–Nie powinnaś mówić w ten sposób o swoim narzeczonym.

Katherine zdała sobie sprawę, że była odrobinę zbyt szczera i że Pembroke stara się jej dokuczyć.

–Miałam na myśli to, że zwykle przyjeżdżam za wcześnie, a później mam do niego żal za spóźnienie.

–Teorię względności czasu sformułowano, obserwując czekających na siebie

mężczyzn i kobiety – powiedział Pembroke.

Nie, pomyślała Katherine, nie chce mi dokuczyć, lecz raczej sprowokować. Nie chciała na to pozwolić temu czarująco przebiegłemu mężczyźnie.

–Temperatura także jest względna – powiedziała. – Mężczyznom zwykle jest zbyt ciepło w przeciwieństwie do kobiet. Dlaczego nie zdejmiesz marynarki?

–Wolę ją mieć na sobie.

I to nie bez powodu, pomyślała. Zauważyła, że pod marynarką ma pistolet.

Lira przejechała kilka metrów. Grenville rozdał di -Mopodobnie jesteście jednymi ludźmi w okolicy cel| nfffiDzień Lojalności. Mówią też Międzynarodowy Dzień trawy, o coś w tym rodzaju. – Ssał kostkę lodu. – No ta i^asi gości Van Doma to prawnicy i większość z nasjt .(abiflc wygląda na to, że wszystko się zgadza. – Rozgr; ffitkf. i - how tak. Boże, jaki okropny weekend nas czeka. Dla cigoMom urzęda takie przedstawienie? – spytała JOEU ispojalina Pembroke'a. „, – hyślam się, że pan Van Dom nie pominie żadnej okazji iizepiilnunor swoim sąsiadom – odpowiedział.

JoalCienyille wypła swoją szkocką jednym długim łykiem itó,tópnriedziała, nie było skierowane do nikogo w szczegól ..;-• j :K1. i znowu zamiar na nich wrzeszczeć? Boże, jak mnitj sobie wyobrazić ich ból głowy – zaśmiał się Tom',

–Inszystko jest takie małostkowe. George zachowuje pijji»(iich możliwości – powiedziała Katherine.

Joal Grenville skinęła głową. – t przepuści tej okazji. Dzień Pamięci. Później znowilf (nartilipca. Ach, Tom, wyjedźmy z miasta. Nie mogę znieść^] ligotłBthiwania flagami, wojskowej muzyki i fajerwerków. 1b^| mlieiipBwdę nie bawi. – Odwróciła się znowu do Marca. – AnA ^icyinthowywaliby się w ten sposób, prawda? Mam na myślU| li, zijisitsde narodem cywilizowanym. | pAte skrzyżował nogi i spojrzał śmiało na Joan. Od-| Bijtria spojrzenie i uśmiechnęła się po raz pierwszy tego" lieć Patrzyli na siebie przez kilka sekund, w końcu Joan1 »ift)(!)'la: -fc jesteście cywilizowani czy nie?

Prinke potarł dolną wargę i powiedział: -li ale dopiero od niedawna. Zostajecie na weekend?

Nasinmiana tematu zaskoczyła ją. – 6. Właściwie tak. Być może zostaniemy. A ty?

Singlową. Ałnaio się, że Tom Grenville nie śledzi wymiany zdań U^mSj i Anglikiem. Nalał sobie jeszcze jednego drinka.

Ifaglibś mocno zapukał w okno stojącego teraz samochodu i firirili opuścił szybę. Policjant w kasku zajrzał do środka.

–Mań Doma czy do Rosjan? – zapytał.

–Do Van Dorna – odpowiedział Grenville. – Nie wyglądamy na kapitalistów?

–Jeśli chodzi o mnie, to wszyscy wyglądacie tak samo, bracie. Zjedźcie na pobocze i wyminiście cały ten bałagan.

Grenville wydał kierowcy polecenie przez wewnętrzny telefon i limuzyna wysunęła

się z linii wozów, posuwając się wolno po poboczu. Zanim dojechali do głównego wjazdu do posiadłości Rosjan, minęli YMCA. Należące teraz do związku korty tenisowe i kilka budynków były kiedyś częścią Killenworth.

–Tu właśnie stacjonuje FBI. CIA mieści się w Domu Opieki Glengariff- powiedział Grenville do żony.

–Kogo to obchodzi? – zapytała Joan.

–Skąd te informacje? – zainteresował się Pembroke.

Grenville wzruszył ramionami.

–Ludzie gadają.

Limuzyna zbliżyła się do głównego wjazdu na teren Rosjan, posuwając się wolno między policyjnymi samochodami i motocyklami. Katherine pomyślała, że w pikiecie bierze udział przynajmniej setka ludzi, pod przywództwem burmistrza Glen Cove, Dominica Parioliego w kapeluszu Wuja Sama, trzymającego ogromny głośnik.

Tom Grenville wskazał głową demonstrantów.

–Czwarta część tych ludzi to agenci FBI, kilku jest z CIA, kilku to przebrani policjanci z władz hrabstwa i stanu. Nie mówiąc o szpiegach z KGB. Gdyby nie ci wszyscy agenci, Parioli zebrałby najwyżej dziesięciu ludzi. – Cicho zachichotał.

Demonstranci zaintonowali *American*, a policja starała się utorować w tłumie przejazd dla pojazdów. Nad głowami wybuchały rakiety. W oddali dało się słyszeć, jak poplecznicy Van Doma także zaczęli śpiewać *Amerykę*. Oddzielna grupa demonstrantów, złożona z członków Ligi Obrony Żydów i żydowskich emigrantów ze Związku Radzieckiego, wykrzykiwała po rosyjsku antyradzieckie hasła przez głośnik. Grupa uczniów z miejscowej szkoły zaczęła przez płot kilku umundurowanych i groźnie wyglądających strażników.

–Błagam Boga, żeby wszyscy się uciszyli. To mi działa na nerwy – odezwała się w końcu Joan Grenville.

–Za minutę wyjedziemy z tego bałaganu – obiecał jej mąż.

–Myślę, że Joan chodziło o coś więcej. Na mnie działa to podobnie – wtrąciła się Katherine.

Pembroke skinął głową i odstawił drinka.

–Zdaje się, że słyszę wojenne werble – powiedział.

Z namysłem potarł obwisłe policzki.

–Wiecie co? Pokażę wam, jak działa komunizm. Daj mi nóż, chłopcze. Potniemy tę cholerną flagę na siedem kawałków i każdy dostanie część do podtarcia tyłka – roześmiał się.

Staniey wiedział, że to nie jest dobry pomysł. Stary Van Dom był jednak niesamowitym błaznem. Spojrzał na Rosjan.

Wydawało się, że podeszli bliżej. Staniey pomyślał, że są wściekli, gotowi na wszystko. Lepiej by było, gdyby Van Dom się zamknął i pozwolił Anglikowi negocjować.

–Weszliście na teren prywatny. Czy dociera do was, że w tym kraju istnieje własność prywatna? Zjeżdżajcie – powiedział Van Dom.

Wysoki Rosjanin stojący na czele zrobił krok naprzód i potrząsnął głową.

–Zabieramy flagę. Zatrzymujemy chłopaka. Wzywamy FBI.

–Spróbujcie tylko – ostrzegł Van Dom.

Zapadło długie milczenie, w końcu Marc Pembroke odwiązał flagę od pasa Stanieya.

–Przykro mi, chłopcze. Flaga należy do nich.

Pembroke wykonał gest, jak gdyby chciał ją rzucić Rosjanom, w końcu jednak wyciągnął rękę z flagą w ich kierunku.

Wysoki Rosjanin w mundurze podszedł do nich wąską ścieżką, zatrzymał się kilka stóp od Stanieya i popatrzył na chłopaka.

Staniey odwzajemnił spojrzenie i zauważył, że mundur Rosjanina jest zabrudzony, podarty i pokryty nasionami ostu. Uśmiechnął się. Rosjanin wyrwał flagę z ręki Pembroke'a. Pembroke odciągnął chłopca na bok.

–W porządku, sprawa zakończona. To był tylko kawał. Sami zajmiemy się ukaraniem chłopca.

Rosjanin nabrał pewności siebie.

–Poczekamy tutaj. Chłopiec zostaje. Wezwiemy FBI.

Pembroke potrząsnął głową.

–Idziemy, panowie, zabieramy chłopca. – 1 dodał sarkastycznie: – Przepraszam w imieniu obywateli Glen Cove, narodu amerykańskiego i rządu Jej Królewskiej Mości.

Van Dom, który do tej pory tylko przyglądał się, dodał niskim, groźnym głosem:

–Wynoście się z mojej posiadłości.

Podniósł obie ręce i wycelował w wysokiego Rosjanina ogromny rewolwer z długą lufą. Odbezpieczył.

–Jeśli jeszcze raz przejdziecie przez ten płot, weźcie ze sobą

kogoś do niesienia trumny. Macie dziesięć sekund na wycofanie się. Dziewięć, osiem...

Nikt nie ruszył się z miejsca. Wysoki Rosjanin odezwał się do Van Dorna:

–Kapitalistyczna świnia.

–Siedem, sześć.

Van Dom wypalił. Wszyscy oprócz niego padli na ziemię.

Echo wystrzału ucichło i znowu zapadło milczenie. Pembroke podniósł się na kolana. W jednej ręce trzymał pistolet, drugą przyciskał Stanieya do ziemi.

–To było ostrzeżenie. Ruszajcie się – powiedział Van Dom.

Czterej Rosjanie podnieśli się i szybko ruszyli w dół. Van Dom opuścił rewolwer i wsunął go do dużego futerału pod marynarką.

–Nie można pozwolić tym głupcom wodzić się za nos.

Pembroke schował swój pistolet i pomógł Stameyowi wstać.

Chłopak był najwyraźniej poruszony, ale wydawało się, że zgadza się z Van Domem. Pembroke wyglądał na zirytowanego.

–Za kogo ty się właściwie uważasz? Za komandosa? – powiedział ostro do Stanieya.

Staniey wymamrotał coś gburowato. Szok mijał i chłopak zaczynał odczuwać gniew i rozczarowanie. Van Dom potarł obwisłe policzki i zapytał pogodnym głosem:

–Hej, ja też mam radziecką flagę. Chcesz ją?

–Pewnie. Gdzie ją pan zdobył? – Staniey otworzył szeroko oczy.

Van Dom roześmiał się.

–Niedaleko Elby, w Niemczech, w 1945. To był podarunek, a nie wynik jakiejś szalonej eskapady. Myślę, że zasłużyłeś na to, aby ją mieć. Chodź. Dam ci coca-cole albo coś innego i każę oczyścić twoje ubranie przed powrotem do domu.

Zaczęli się wspinać ścieżką.

–Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

–Tak, proszę pana.

–Rozejrzałeś się po posiadłości?

–Pewnie.

Staney czuł się już dużo lepiej. Przypomniwał sobie zdjęcia i kartoteki w torbie. A gdyby jeszcze Van Dom dał mu flagę, mógłby ją wszystkim pokazać... Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że rzeczywistość jest ciekawsza. Obiecał sobie, że o tym pomyśli.

–Robieś to już przedtem? To znaczy, byeś już na ich tere^e? – zapytał Pembroke.

–Przeskoczyłem parę razy przez płot, ale nigdy przedtem [^]ie podszedłem blisko domu – odpowiedział ostrożnie Stanicy. – 1 pomyśleć, że gdybyśmy nie usłyszeli całego tego zgielku, pgów i krzyków, byłbyś teraz w ich rękach – zauważył Amerykanin.

Staney nie mógł uwierzyć, żeby z tak dużej odległości mogli cokolwiek usłyszeć, zwłaszcza przy dźwiękach tej ogłuszającej muzyki. Doszli do szczytu wzniesienia i ruszyli przez płaski yawnik. Na jednym z jego końców ustawiono rzędy ławek dla [^]idzów.

–To jest boisko do gry w polo. Zdaje się, że wiesz, prawda? [^]le nie jesteś chyba facetem, który kradnie moje pomidory?

–Nie, proszę pana.

Staney spojrział na boisko do polo. Po obu stronach ławek gtały słupy z głośnikami. Nie działały teraz, ale Stanicy zastanawiał się, czy kryją się w nich mikrofony skierowane w strofę posiadłości Rosjan. Może to właśnie dzięki nim wiedzieli, co gię działo? Po drugiej stronie trawnika zauważył wielki, jasno oświetlony dom.

Van Dom znowu dotknął policzków, zanim zapytał:

–Hej, co byś powiedział na pracę u mnie? W soboty. Po g[^]kole. Dobrze zapłacę.

–Pewnie.

–Możemy pogadać trochę o twoich przygodach?

–Czemu nie.

Van Dom niezręcznie położył rękę na ramieniu chłopca.

–Jak ci się udało podejść tak blisko? Myślę o budynku.

–Przewód drenowy.

Van Dom skinął głową z namysłem.

–Nie udało ci się dostać do domu, czy tak?

–Myślę, że nie jest to niemożliwe – odpowiedział Stanicy po chwili wahania.

Van Dom uniósł brwi.

–Co masz w torbie? – zapytał Pembroke.

–Różne rzeczy.

Szli przez chwilę w milczeniu, zbliżając się do domu, w któl-ym, jak zauważył Stanicy, odbywało się przyjęcie.

–Jakie rzeczy? – zapytał Pembroke.

–No wie pan. Rzeczy przydatne na patrolu.

–To znaczy? -No wie pan. Farba maskująca, latarka, aparat fotograficzny, czekoladki, mapy patrolowe.

Van Dom zatrzymał się. Spojrzał na Marca Pembroke'a.

Porozumieli się wzrokiem. Van Dom skinął lekko głową. Pembroke zaprzeczył w milczeniu. Van Dom skinął jeszcze raz, tym razem bardziej stanowczo. Stanicy obserwował ich. Miał zabawne uczucie, że to nie była jego ostatnia wizyta w posiadłości Rosjan.

LIST ELEANOR WINGATE

8

Katherine Kimberly czytała:

Droga panno Kimberly,

Do napisania tego listu skłonił mnie osobliwy, a być może fatalny w skutkach wypadek. Jak pani zapewne wie, podczas – wojny pani zmarły ojciec. Henry, był zakwaterowany tutaj, w Brompton Hall. Po jego śmierci zjawił się u nas jakiś amerykański oficer i zabrał jego rzeczy. Oficerowi temu bardzo zależało na tym, aby odnaleźć dokładnie wszystko, co należało do pani ojca. Stało się tak, przypuszczam, nie tyle z powołaniem, ale z szacunkiem dla rodziny majora Kimberly'ego, ile ze względu na bezpieczeństwo, ponieważ pani ojciec, czego jest pani zapewne świadoma, był w służbie wywiadowczej bardzo delikatnej natury.

Uklękła obok kominka i zapaliła gazowe palniki. Niebieskie płomienie zamigotały wokół wsadu ze skały wulkanicznej.

–Za jasno tutaj. Dla oczami. – Czy mogą ciągle tu być? – spytała przyciszonym głosem. – Wątpię. – Znowu się zastanowił. – W pewnym momencie Arnold pewnie poczuł, że jest w niebezpieczeństwie, i być może... – Abrams spojrzawszy szybko na biurko i przełożył niektóre papiery i naczynia na krzesło. – Nic tu nie ma... zauważyłby pewnie, gdyby próbował zostawić jakąś wiadomość. – Odwrócił ciało, i fachowo przeszukał kieszenie, buty, skarpetki i ubrania. – Niczego nie widzę... ? – Chodźmy, zanim przyjedzie policja. – Wyszli z pokoju i poszli szybko jasno oświetlonym korytarzem. Katherine poszła do stojącego blisko wind strażnika. – Czy ktoś jeszcze "Arnolda Brina" siedzi w tym korytarzu?

193

Strażnik zaprzeczył ruchem głowy.

–Są tu jednak jeszcze schody pożarowe.

Katherine zajrzała do księgi wpisów. Nad jej nazwiskiem i nazwiskiem Abramsa widniały cztery inne: Arnolda Brina i trzech prawników.

–Czy ci ludzie są jeszcze w swoich biurach?

–Myślę, że tak. Nie widziałem, żeby wychodzili.

–Dziękuję panu. – Patrzyła na Abramsa, gdy czekali na windę. – Arnold nie wpuściłby żadnego z nich.

–Nie jest chyba trudno przejść niepostrzeżenie obok strażnika. Znasz go?

–Tak. Jest tu od lat. To jednak wiele nie znaczy.

–To prawda – powiedział. Zastanawiał się przez chwilę. – Glina zadaje takie pytania: nowi pracownicy, nowa pomoc domowa, główni podejrzani. W waszej grze zatrudnia się ludzi na dwadzieścia lat przed tym, zanim w krytycznym momencie mają otworzyć drzwi czy zapalić światło.

–Trochę przesadzasz, ale...

–Tak czy inaczej Spinelli sprawdzi strażnika i tych trzech prawników.

Nadjechała winda i wsiedli do niej.

–Czuję się winna z powodu Arnolda. Nie byłoby go tutaj, gdybym go nie poprosiła, żeby przyszedł.

–Zgadza się.

Spojrzała na niego.

–Mógłbyś być bardziej życzliwy.

–To była głupia uwaga. Gdyby dzisiaj nie była sobota, to byłby piątek. Gdyby ojciec Hitlera używał prezerwatywy, Arnold nie pracowałby w brytyjskim archiwum z czasów drugiej wojny światowej w Rockefeller Center. Nic z tego nie wynika.

Nie chcę wpaść na Spinellogo w hallu – powiedział Abrams, zatrzymując windę na półpiętrze.

Poszli korytarzem, potem schodami i wyszli na Szóstą Aleję. Skierowali się na południe. Było ciepło i ruch ożywił się. Turyści z aparatami fotograficznymi zmierzali w kierunku Radio City Music Hall, a poranni biegacze przepychali się wśród przechodniów. Abrams spojrzał na znoszone juniorki Katherine.

–Biegasz?

–Tak.

–Zdarza się, że w Brooklynie?

–Tak. W Prospect Park. Czasami przez Brooklyn Bridge aż do Heights Promenadę.

–Daję radę przebiec dystans dwunastu mil przez Prospect Park. Spróbujmy kiedyś pobiegać razem.

–Co powiesz na poniedziałkowy ranek?

–Czy to znaczy, że będę miał wolny Dzień Pamięci?

–Pewnie. – Uśmiechnęła się. – No, a co teraz? – zapytała Katherine, gdy przeszli w milczeniu kolejny odcinek.

–Muszę wrócić do pensjonatu, zabrać smoking i oddać go do Murraya. Później pojedę do domu, żeby przejrzeć pocztę, spakuję trochę rzeczy, jeśli mam zostać na Trzydziestej Szóstej Ulicy i...

–To takie banalne, zwyczajne.

–Takie właśnie jest życie.

–Ale zginęło kilku ludzi. Narodowe bezpieczeństwo jest zagrożone.

–Napoleon w czasie kampanii w Austrii wysłał długi list do swojego krawca w Londynie z narzekaniami na krój bielizny. Życie toczy się dalej.

–Nie wątpię. Słuchaj, jem dzisiaj lunch z Nickiem. Przyi łącz się do nas. : -Nie mogę.

–Chciałabym omówić to, co się wydarzyło: Brompton Hali, śmierć Arnolda, zamach na twoje życie.

–Mówiliśmy już o tym aż za dużo. Poczekajmy lepiej na raporty Spinello i na informacje z Anglii. Wolałbym sam zastanowić się nad faktami.

–No dobrze, nie przychodzi ci do głowy nic, co można by w tym czasie zrobić?

–Mam też coś do odebrania z pralni. No i powinniśmy się starać, aby nas nie zamordowano. Spoglądaj często przez ramię.

Zatrzymali się przy Czterdziestej Drugiej Ulicy.

–Idę do pensjonatu. A ty dokąd się wybierasz?

–Jeśli ktoś chciał cię tam zabić, to dlaczego masz zamiar tam zostać?

–Czy myślisz, że byłbym bardziej bezpieczny u siebie?

–Nie.

–No więc? Nie przejmuj się tym, okay? Zadzwoń jutro, co z naszym bieganiem.

–Zaczekaj. – Wyciągnęła z torebki skrawek papieru. – Ar195 nold zapisał to w rejestrze osób przeglądających kartoteki. Nie jest to numer kartoteki. Czy to ci coś mówi? – zapytała.

Abrams przyglądał się kartce, na której widniał symbol JFE 78-2763, zapisany ręką Katherine.

–Wygląda znajomo. Nic mi jednak nie przychodzi do głowy.

–Mordercy pokpili sprawę, nie zaglądając do rejestru. Miałeś rację, Arnold zdawał sobie sprawę, że jest w niebezpieczeństwie, i chciał nam zostawić wskazówkę. Nie ma innego powodu, dla którego miałby wpisać te symbole na stronie, na której miałam złożyć swój podpis.

–Brzmi logicznie.

–Wiem, że rozpoznajesz te symbole, Abrams. Nie oszukasz mnie.

–Nie zapominaj, że jesteśmy na ty. – Uśmiechnął się i oddał jej kartkę.

–Zapomnę nie tylko o tym, jeśli zaczniesz ze mną jakąś grę. Jestem wobec ciebie uczciwa i oczekuję tego samego od ciebie.

–Okay. Uspokój się. To jest biblioteczna sygnatura.

–No tak. Chodźmy więc do biblioteki i sprawdźmy, jaką książkę oznacza.

–Do której biblioteki?

–Do najbardziej znanej. Chodź, skręcamy w lewo.

Skręcili w Czterdziestą Drugą Ulicę i szybko pokonali odcinek do Piątej Alei. Wspięli się na schody biblioteki. Przeszli przez ogromne spiżowe drzwi i weszli szeroką klatką schodową na trzecie piętro, gdzie mieściła się główna czytelnia.

Abrams podał bibliotekarce sygnaturę. Kobieta zniknęła między półkami.

–Opowiedz mi coś o twojej siostrze.

–Jest starsza ode mnie, trochę bardziej poważna i wykształcona, nigdy nie wyszła

za mąż.

–Nie szukam narzeczonej – przerwał szorstko. – Co robi?

Katherine rzuciła mu szybkie spojrzenie. To odwrócenie ról było trochę nieoczekiwane.

–Ann pracuje dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Szyfry, cyfry, kryptonimy i temu podobne. Szpiegostwo elektroniczne. Nie płaszcz i szpada, ale radio i satelity.

Zanim zdążył odpowiedzieć, ich sygnatura rozbłysła czerwonym światłem na ekranie wyświetlacza, więc podeszli szybko do biurka. Katherine wzięła do ręki masywne, oprawione

w zieloną skórę tomisko. Spojrzeli na złote, wytłoczone na okładce litery.

–Graecum est, non potest legere*. Wygląda mi to na grekę – powiedział Abrams.

–Miałam nadzieję, że nie powiesz nic takiego.

–Przepraszam. Wydawało mi się odpowiednie.

–Tak czy inaczej, nie trzeba znać greki, żeby zrozumieć tytuł. Hę Odysseiatou. To Odyseja Homera.

Otworzyła książkę i przekartkowała strony. Treść, podobnie jak tytuł, napisana była klasyczną greką. Na marginesach widniały liczne zapiski. Było tam też kilka skrawków papieru, które pozostawiła na swoich miejscach.

–Czy Arnold znał grekę? – zapytał Abrams.

–Widziałam kiedyś na jego biurku grecką książkę. To był jeden z powodów, dla których myślałam, że on nie jest zwykłym urzędnikiem w randze sierżanta. Zawsze podejrzewałam, że jest wyższym oficerem wywiadu, co oznaczałoby, że archiwum miało dużo większe znaczenie, niż myśleli niektórzy z nas.

–Cała książka nie jest wskazówką. Jeśli jest tu jakiś ślad, to jest nim tytuł, Odyseja. Albo autor, Homer. – Zastanawiał się przez chwilę. – Czy te nazwy z czymś ci się kojarzą? Może czyjś kryptonim?

–Nie...

–A główny bohater, Odyseusz, albo jego łaciński odpowiednik, Ulisses?
Zaprzeczyła.

–Więc może intryga? Po upadku Troi Odyseusz wyrusza do domu. Napotyka różne przeciwności losu... Kirke, syreny i inne. Wszyscy sądzą, że nie żyje, ale w końcu po dziesięciu latach wraca. Czy tak?

–Zasadniczo tak. I koniec historii. Po dziesięciu latach wojny i następnych dziesięciu spędzonych na tułaczce jego żona Penelopa nie rozpoznaje go. Ale tylko on może naciągnąć swój łuk pozostawiony w domu. Aby udowodnić swoją tożsamość, puszcza strzałę przez otwory w trzonach dwunastu siekier. – Zadumała się i potrząsnęła głową. – Nie rozumiem, co Arnold miał na myśli.

–Ale znasz wszystkie zamieszane osoby. Zastanów się nad tym. I radzę ci, z nikim o tym nie rozmawiaj.

Skinęła głową i spojrzała na zegarek.

–Lać. – Po grecku. Nie można przeczytać (przyp. tłum.).

–Zostało mi około godziny do lunchu. Pojadę z tobą.

–Do Brooklynu? Masz przy sobie paszport?

–Nie wysilaj się na żarty w stylu Petera.

Abrams oddał książkę i pomaszerował w stronę katalogu.

Katherine szła tuż za nim.

–Radziłeś sobie z nim całkiem dobrze. Staraj się go ignorować.

Abrams pomyślał, że ignorować Petera Thorpe'a to jakby nie zwracać uwagi na mroczny cień za oknem. Weszli do hallu i skierowali się w stronę klatki schodowej.

–Zgaduję, że twoje rzeczy są nadal w hotelu Lombardy.

Może pojedziemy tam, żeby je zabrać? – zapytał.

–Dobrze. Ale nie możesz wejść na górę.

–Nie możesz mnie tam wprowadzić?

–Nie.

–Może gdy nikogo tam nie będzie. Masz klucz?

–Nie.

–Może innym razem?

Zapadła cisza, na tyle długa, żeby zasygnalizować Abramsowi, że jej lojalność wobec Thorpe'a nie jest stuprocentowa.

–Pomyślę o tym – powiedziała. Przeszli przez recepcję i wyszli na skąpane w słońcu schody.

–Czy te brakujące kartoteki były bardzo ważne? – zapytał Abrams.

–Najwidoczniej tak. Inaczej Arnold Brin nie zostałby zamordowany.

–Logiczny wniosek. Ale zastanawiam się...

–Nad czym?

–Może wiedzą mniej niż my. Posiadają pewien sekret, znają tożsamość Talbota. My staramy się zdobyć ten sekret. Nie wiedzą dokładnie, jak blisko jesteśmy odkrycia. Dlatego muszą zabezpieczyć się z każdej strony.

–Właśnie. Powiedziałeś, że Talbot i jego przyjaciele znowu zabijają. – 1 to nie raz. Połowa morderców w Nowym Jorku zabija na oślep nawet tych, którzy nic nie wiedzą. Jest im łatwiej uderzać we wszystkie potencjalne źródła zagrożenia, niż podejść do problemu racjonalnie. Na przykład ja wiem bardzo mało, a jednak ktoś starał się usunąć mnie ze sceny.

–Mówiłeś, że to ci pochlebia.

–To było tylko gadanie. Ważny jest motyw. Jeśli znajdziesz motyw, znajdziesz też podejrzanego.

–O jaki motyw tu chodzi? Czy stanowisz dla nich zagrożenie?

–Ciągle myślę, że powód nie był polityczny, lecz osobisty.

–Osobisty?

–Ubiegłej nocy spotkałem twoich przyjaciół po raz pierwszy. Być może nadepnąłem komuś na odcisk.

–To mało prawdopodobne.

–Tylko w teorii. W praktyce ludzie, którzy zabijają, robią to z najbardziej nieprawdopodobnych i błahych powodów. Jeśli wejdiesz mordercy w drogę i zrobisz lub powiesz coś nie tak, to zaczniesz myśleć o tym, jak cię zabić. Będziesz jeszcze oddychać tylko dlatego, że trzeba mu trochę czasu, aby wszystko zaplanować. Wiedząc, że jest panem twojego życia i śmierci, żyje on wtedy niewiarygodnie intensywnie.

–Czy taką właśnie rolę odgrywaliśmy wczoraj?

–Jak wiesz, niektórzy mordercy są z pozoru czarujący, elegancy i dowcipni. Lecz wewnątrz siedzi w nich ktoś, kto jest bardzo wrażliwy na wymaginowane zarzuty i zagrożenia. Wpadają wtedy w psychozę, stają się mściwi i opanowują ich mordercze instynkty. Przejawia się to często nieszczerym przyływem serdeczności wobec wybranej ofiary. Czy zauważyłaś kogoś takiego ubiegłej nocy?

Nie odpowiedziała. Abrams rzucił papierosa.

–Wiesz co, gdybym podejrzewał kogoś, nawet gdybym nie był pewny, mógłbym postąpić zgodnie z ich zasadami i starać się ochronić siebie w najprostszy sposób, to znaczy eliminując zagrożenie. Po co ryzykować?

–Chyba będzie lepiej, jeśli sobie pójdę.

–Tak, ale bądź ostrożna.

Zaczęła schodzić po schodach, ale zawahała się i zawróciła.

Abrams zauważył, że jest bardzo blada.

–Słuchaj, jedyną rzeczą, której się nie robi w naszej firmie, jest podejmowanie pochopnych decyzji. Zanim zdecydujesz się na jakiegokolwiek działanie, spróbuj się ze mną porozumieć.

Skinął głową. Katherine odwróciła się i poszła Piątą Aleją.

Abrams usiadł na stopniach obok starego mężczyzny z butelką wina. , – Masz cztery dziesiątki? – zapytał pijaczek. Abrams włożył dwie ćwierćdolarówki w jego dłoń.

–Dzięki, chłopie. – Z poufałością właściwą ludziom z marginesu powiedział: – Mam na imię John. A ty?

Odyseusz albo Ulisses.

–Niezłe imię. Masz papierosa?

Abrams poczęstował go i podał mu ogień.

–Wiesz, John, ludzki umysł zdolny jest do niewiarygodnych rzeczy. Nawet twój umysł, John. W przeciwnym wypadku nie przetrwałbyś tak długo na tych ulicach.

–Dasz mi dolara? – zapytał staruszek, kiwając głową.

–Mówią, że Arnold Brin to był bystry facet. Zdaje się, że często tutaj przychodził. Tak jak ty. A jednak nie miał twojej zdolności przetrwania. Wiedział, że zbliża się śmierć, a jednak przezwyciężył swój instynkt przeżycia i zamiast starać się uciec, użył całej przytomności umysłu, żeby zostawić wiadomość, która mogłaby pomóc przetrwać innym.

Pijaczyna wstał, zakolysał się i usiadł powtórnie. Wokół rozbrzmiewały dźwięki z kilku odbiorników radiowych nastrojonych na różne stacje. Abrams pochylił się w stronę staruszka.

–Odyseja, John. Historia Odyseusza. Ujmując rzecz jednym zdaniem, jest to opowieść o wojowniku, który po wygranej wojnie i wielu latach wędrówki wraca do domu, gdzie uważa się go za zmarłego. Jak myślisz, John, co Arnold chciał nam przekazać?

Pijaczek znowu wstał i spróbował zrobić krok.

–Nie mam pojęcia.

–Nie starasz się, John.

–Nie mam pojęcia – powtórzył i skierował się na chodnik.

Abrams wstał. Po schodach wchodził znajomy detektyw z wydziału do spraw zabójstw. Towarzyszył mu mężczyzna, który nie był gliną, ale mógł być z FBI. Abrams pomyślał, że wprawne policyjne oko mogło dostrzec wskazówkę, ale jej znaczenie nie było takie oczywiste dla kogoś z zewnątrz. Abrams odwrócił się i pozwolił mężczyznom przejść, później zszedł na chodnik i skierował się na południe. Pomyślał, że Arnold pisał dla wtajemniczonych, dla ludzi, z którymi dzielił doświadczenia i sposób myślenia. Dla tych, którzy wiedzieli tyle, że mogli skorzystać ze swojej wiedzy, aby wyciągnąć odpowiednie wnioski. Zrobił to także Abrams, wydedukował przypuszczalne i logiczne wytłumaczenie wskazówki. Było ono logiczne, lecz tak nieprawdopodobne, że Abrams nie mógł sam uwierzyć w

rozwiązanie, które znalazł.

Stary, dwusilnikowy beechcraft wyrównał lot na wysokości piętnastu tysięcy stóp. Pilot Sonny Bellman sprawdził szybkościomierz: sto sześćdziesiąt węzłów.

–Pine Barrens prosto przed nami – powiedział do mikrofonu. – Około dziesięciu minut do miejsca skoku.

Patrick O'Brien wyjrzał przez okno. Byli około trzydziestu mil na zachód od Toms River w New Jersey. Za dziesięć minut będą przelatywać nad najbardziej odludnym obszarem na równinach. Noc była czysta. Jasny półksiężyc oświetlał gwiazdziste niebo i rzucał niebieskawą poświatę na rozciągający się poniżej teren. Nie była to noc na skoki taktyczne, ale nie była zła dla sportowca. Skrzyżował nogi i oparł się o ścianę kadłuba.

Te niedzielne wieczorne skoki były dla niego przeżyciem religijnym, hołdem dla poległych i rytuałem oczyszczającym.

Za chwilę wyląduje na dziewiczym obszarze Pine Barrens, rozpali małe ognisko i spędzi całą noc na rozmyśleniach, rozmowie z samym sobą, wspomnieniach i próbach zapomnienia.

Przed świtem przekaze swoją pozycję staremu przyjacielowi, emerytowanemu farmerowi, i ten wyjedzie po niego samochodem campingowym na wskazane miejsce. Weźmie prysznic w drodze i przebierze się w garnitur. Będzie już po goleniu i śniadaniu zjedzonym w lesie. Jak zwykle wypije filiżankę kawy ze swoim przyjacielem. Zanim dotrą do Holland Tunnel, O'Brien będzie już gotowy do walki. Wszystko to będzie ironicznym odwróceniem wojennego porządku zdarzeń. Całe ciało O'Briena, jego umysł i serce podpowiadały mu, że gdy upłynie lato, nie będzie więcej skoków. Dlatego smakował te umykające niedzielne wieczory jak starzec, który delectuje się wszystkim, co ma się wkrótce skończyć.

Obudził się z zamyślenia, słysząc i czując spadek mocy silnika. Wyczuwał, że osiągają odpowiednią przy skoku prędkość stu dwudziestu węzłów. Przesunął wzrokiem po ciemnej, puliStej kabinie, oświetlonej tylko czerwonym światłem lampki "oznaczającej, że powinien przygotować się do skoku. Wyobrażał itóbie, że w tajemniczym czerwonym blasku widzi szereg mężczyzn i kobiet ubranych na czarno, siedzących wzdłuż ścian ySabiny. Ich woskowobiałe twarze zwróciły się powoli w jego ;iteerunku i ujrzał błyszczące czerwono oczy. O'Brien zacisnął

powieki i potrząsnął głową. Po pewnym czasie spojrzął na przepierzenie oddzielające kabinę pilota od miejsca, w którym się znajdował, i spojrzął na zegarek. Za chwilę Bellman zapali zielone światelko.

Wstał, poprawił pasy spadochronu i podszedł do drzwi. Beechcraft został dostosowany do potrzeb nurkowania powietrznego i dlatego zamontowano przesuwane drzwi zamiast zwyczajnych na zawiasach. Usunięto także osiem miejsc siedzących, dzięki czemu mogło tam stać dwanaście osób. Beechcraft miał też automatycznego pilota, dzięki czemu pilot mógł puścić ster i zamknąć drzwi po skokach. Eliminowało to obecność drugiego członka załogi czy też trenera. O'Brien stanął przy drzwiach i wyrztał przez małe, owalne okienko. Samolot wszedł w zakręt, przechylił się w lewo i jak chmura przemknął na tle księżyca, rzucając ciemny cień na opustoszały krajobraz. Tu i ówdzie rozbłysło światło i O'Brienowi przypomniały się sygnały przekazywane z ziemi przez partyzantów. Nigdy nie było naprawdę wiadomo, kto kontroluje te sygnały. Pomyślał, że na pewno jednym z najbardziej przerażających doświadczeń człowieka w dzisiejszych czasach było startowanie z zaciemnionego pasa startowego w samolocie zrobionym z dykty, którego sprawność była zawsze wielką niewiadomą. Później przelot między dwoma szeregami nieprzyjacielskich myśliwców, czasami w ogniu artylerii przeciwlotniczej nad okupowanym terytorium; i w końcu, jeśli udało się przeżyć to wszystko, skok ze względnie bezpiecznego wnętrza samolotu w ponurą, niegościnną okolicę i o wiele za wolne opadanie bez gwarancji przyjaznego przyjęcia. Przeżywszy te wszystkie okropności, trzeba było jeszcze wykonać zadanie i wydostać się z tego piekła. Do tego wszystkiego dla tajnych agentów wpadka nie oznaczała obozu dla jeńców wojennych, lecz obóz koncentracyjny, tortury, przesłuchania i prawie zawsze świeżo wykopany dół, obok którego trzeba było klęczeć w oczekiwaniu na strzał w tył głowy. Na szczęście zawsze można było liczyć na kapsułkę z trucizną. Jemu udało się przeżyć, innym nie. Nie było na to recepty. Mając to wszystko za sobą, czuł, że ma do spłacenia dług wobec tych, którzy stracili życie w walce, w sali tortur, w dole czy też zdecydowali się na zażycie cyjanku po to, żeby zadanie zostało wykonane do końca. Zaraz po wojnie trzeba było wyrównać rachunki z niektórymi oficerami z gestapo i SS. Minął jeszcze rok, zanim on i jego towarzysz musieli się zmierzyć z superwrogiem: służbami bezpieczeństwa.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek: dziesiąta siedemnaście. Zdziwił się, że Bellman nie zapalił jeszcze zielonego światła. Sprawdził powtórnie swój ekwipunek: nóż, plecak i menażki. Zapytał sam siebie, ile skoków można wykonać, zanim los się odwróci.

Mówili, że wszystkie oprócz tego ostatniego.

Sonny Bellman zwrócił się do mężczyzny siedzącego po jego prawej stronie.

–Zbliża się czas skoku.

Mężczyzna skinął głową, wstał i przecisnął się za siedzeniem, żeby wziąć plecak ze spadochronem.

–Ciekaw jestem, czy będzie na mnie zły – powiedział Bellman.

–Pan O'Brien lubi niespodzianki – odpowiedział mężczyzna.

–Jednak lubi skakać samotnie. Ale chyba wszystko jest w porządku.

–Nikt ci tego nie weźmie za złe. Obiecuję.

Peter Thorpe uniósł ciężki młotek i uderzył nim zniecacka w podstawę czaszki pilota. Bellman wydał krótki okrzyk i opadł twarzą na pulpit kontrolny. Thorpe pociągnął go do tyłu i włączył automatycznego pilota. Samolot leciał dalej prosto, trzymając kurs, prędkość i wysokość. Thorpe spojrzał na zegarek i ziewnął.

–Chryste, co za weekend.

Zapiął pasy spadochronu, otworzył drzwi i wszedł do kabiny ^pasażerskiej. Światło z otwartych drzwi kokpitu poraziło oczy i O'Briena. Mrugając, spojrzał w ich stronę. Drzwi zamknęły się ^ponownie, pogrążając cabinę w ciemnościach rozświetlonych ;tylko pojedynczym, czerwonym światełkiem. Thorpe ruszył bez Słowa w stronę O'Briena.

–Bellman? Co się dzieje? ; Thorpe znowu ziewnął.

–Jezu, Pat, dlaczego zachciało ci się skakać nad Pine Barrens W niedzielną noc? – Zatrzymał się kilka stóp od O'Briena. – Większość ludzi w twoim wieku gra teraz w warcaby. h -Co ty tu robisz? – O'Brien położył rękę na rękojści noża. :': – Każdy ma swój shtick, to znaczy styl, mój nie zawsze jest do przyjęcia, więc pomyślałem, żeby się posłużyć twoim. – Zachichotał cicho. – Przeszkadza ci to?

–Przeszkadza mi, że nie zapytałeś o pozwolenie.

–Przepraszam, Pat. – Thorpe spojrział przez boczne okienko. – Niebieski księżyc. Za kilka tygodni będzie pełnia. Gwiazda spada. Pomyśl życzenie. O'Brien rzucił spojrzenie w kierunku drzwi. Thorpe odwrócił się szybko w jego stronę.

–Słuchaj, Pat. Niepokoi mnie ta sprawa z Talbotem. O'Brien nie odpowiedział. Warkot silnika wydawał się wypełniać całą kabinę. Światło księżyca przenikało przez okna, a postać Thorpe'a rzucała wydłużone cienie na ścianę.

–Tak naprawdę, Patrick, to ty mnie niepokoisz.

–Powinieneś być zaniepokojony. Depczemy ci po piętach.

–Naprawdę? Wątpię.

–Jakimi motywami się kierujesz? – spytał O'Brien opanowanym głosem.

Thorpe wzruszył ramionami.

–Nie jestem pewien. Nie politycznymi. Kto przy zdrowych zmysłach stanąłby po stronie tych głupców? Spotkałeś kiedyś taką beznadziejną, nudną bandę źle wychowanych gburów? Byłem w Moskwie dwa razy. Jezu, co za dziura.

–No więc dlaczego? – O'Brien odpiął ramię noża.

–Nawet o tym nie myśl, Pat – powiedział Thorpe, zauważywszy ten ruch.

–Po prostu wytłumacz mi, dlaczego.

–No tak, to skomplikowana sprawa. – Thorpe podrapał się w głowę. – Ma wiele wspólnego z niebezpieczeństwem. Niektórzy skaczą na spadochronach, inni ścigają się samochodami.

Ja popełniam zdradę. Gdy jesteś winny zdrady stanu, każdy dzień staje się przygodą. Kiedy wiesz, że każdy dzień może być ostatnim. Pamiętasz?

–Jesteś chory, Peter – powiedział O'Brien.

–Być może. I co z tego? Szaleństwo, podobnie jak narkomania, musi być podsycane. To prawda, że Firma dostarcza pewnej pożywki. To istna uczta dla niektórych podniebień. Ale nie dla mojego. Ja potrzebuję innej strawy. Potrzeba mi krwi całego narodu.

–Peter, posłuchaj, jeśli chcesz odwrócić bieg historii, a podejrzewam, że o to ci chodzi, pomóż nam lepiej pokrzyżować ich plany. Masz szansę stać się potrójnym agentem. To byłoby ukoronowanie...

–Och, bądź cicho. Zbyt gładko gadasz. Przeklęty prawnik.

Słuchaj, jak często ma się szansę unicestwienia narodu? Pomyśl o tym, Patrick. Wysoko rozwinięta cywilizacja stanie się ofiarą swojej własnej technologii. A ja będę obserwował to wszystko z góry. Upadek jednej epoki i początek następnej. Jak wielu ludzi w ciągu wieków miało sposobność spowodowania tak nagłego i katastrofalnego zwrotu w historii tej planety? O'Brien wsłuchiwał się w warkot silników i w końcu odezwał się, tak jakby akceptował to, co powiedział Thorpe, a chciał tylko wyrazić ostatnią, niepokojącą go myśl:

–W porządku, Peter. Ale co to będzie za świat? Czy będziesz umiał żyć w takim świecie? – Łatwo się adaptuję. – Zaśmiał się Thorpe i machnął ręką w geście lekceważenia.

–A co będziesz robił dalej? Nic dla ciebie nie zostanie. Nie będzie kogo zdradzać...

–Dość tego! O'Brien chciał zapytać o szczegóły, ale był przecież doświadczonym oficerem wywiadu i choć wiedział, że spogląda w twarz śmierci, nie pozwolił sobie na dziecinną ciekawość. I tak nie byłby w stanie zrelacjonować ani wykorzystać tych informacji, a wypytując Thorpe'a, zdradziłby, co naprawdę wie.

Wydawało się, że Thorpe czyta w myślach O'Briena.

–Jak daleko zaszliście, Patrick?

–Mówiłem ci już. Daleko. Nie wykręcisz się.

–Gówno prawda. – Thorpe potarł podbródek i dodał: – Katherine powiedziała mi kiedyś, a zresztą słyszałem o tym już wcześniej, że jesteś jednym z najlepszych wywiadowców. Nieważne, po której stronie. Jesteś odważny, pomysłowy, sprytny, masz wyobraźnię i jeszcze inne cechy... Wiem, że jesteś dobry, ale jak dobry? Jeśli naprawdę mnie podejrzewałeś, to dlaczego nie dobrałeś się do mnie, zanim ja dobrałem się do ciebie?

Powinniście byli mnie złapać, torturować i poddać przesłuchaniom przynajmniej rok temu. Tracisz tempo, staruszkule? Dlaczego pozwoliłeś wmieszać się w to Katherine? A może wcale mnie nie podejrzewałeś? Zdaje się, że tak. Tak naprawdę to nic nie wiesz.

–Wiem o tobie od lat, Peter.

–Nie wierzę.

Beechcraft wpadł w dziurę powietrzną i zakołysał się. Thorpe stracił równowagę i

ukłękł na jedno kolano. O'Brien, który liczył na coś podobnego, natychmiast rzucił się w kierunku drzwi. Thorpe wyciągnął broń, wycelował i wypalił. Ogłuszający huk wypełnił kabinę. O'Brien pochylił się naprzód, zderzył się z drzwiami i poleciał do tyłu, przewracając się na pokład.

Thorpe wystrzelił jeszcze raz. W kabinie rozległ się krótki trzask. O'Brien leżał rozciągnięty na plecach u stóp Thorpe'a. Rękę przyciskał do piersi. Peter ukłękł obok niego i skierował światło latarki na ranę w piersi.

–Odpręż się, Pat. Pierwszy nabój to był środek oszalamiający. Prawdopodobnie roztrzaskał ci żebro. Następny zawierał kapsułkę z pentotalem sodu – powiedział cicho.

Thorpe dotknął miejsca, gdzie żelatynowa kapsuła uderzyła w gruby, nylonowy pas spadochronu. Przesunął ręką pod koszulą O'Briena i poczuł wilgoć w miejscu, gdzie skóra została rozdarta.

–Myślę, że masz dosyć. – Podniósł się z kolan. – Mamy ze sobą do pogadania, mój przyjacielu, i muszą nam wystarczyć dwie godziny, bo na tyle mamy paliwa. Mam jeszcze sześć narkotyków, których użyję, jeśli taka będzie konieczność. O'Brien poczuł, że narkotyk maści mu umysł. Potrząsnął gwałtownie głową, chwycił nóż i ciął nim ku górze, kalecząc lewe nozdrze Thorpe'a. Ten upadł, zakrywając nos dłonią. Między palcami płynęła krew.

–Ty podstępny draniu... O'Brien zaczął się podnosić, ale zatoczył się do tyłu. Usiadł, opierając się o ścianę kadłuba z nożem ustawionym na sztorc przed sobą. Thorpe wycelował broń.

–Chcesz się przekonać, co jest w trzecim naboju? To nie jest ołów, choć będziesz błagał, żeby tak było.

Ramię O'Briena opadło, a nóż spoczął na piersi. Peter przycisnął chusteczkę do nosa i siedział tak przez chwilę.

–Lepiej się czujesz, Pat? No dobra, moja wina, że cię nie doceniłem. Nie mam żalu. Zaczynamy. Twoje nazwisko?

–Patrick O'Brien.

–Zawód?

–Prawnik.

–Niezupełnie, ale blisko.

Thorpe zadał jeszcze kilka pytań na rozgrzewkę i w końcu zapytał:

–Znasz człowieka imieniem Talbot?

–Tak.

–Jakich jeszcze nazwisk używa?

–Nie wiem – odpowiedział O'Brien.

–Podejrzywałeś mnie? – zapytał Thorpe z irytacją.

–Tak.

–Naprawdę? – Zastanawiał się przez chwilę i w końcu wyciągnął z kieszeni strzykawkę. – Zdaje się, że dostałeś jednak za małą dawkę. Spróbujmy czegoś nowego.

Podszedł ostrożnie do O'Briena, sięgnął wolną ręką i odrzucił nóż. Drugą ręką wbił mu strzykawkę w ramię i wstrzyknął O'Brienowi pięć centymetrów sześciennych suritalu.

–Okay, poczekamy minutę.

Znalazł papierosy i włożył jednego do ust. Z pistoletem ciągle wymierzonym w O'Briena wyciągnął zapalniczkę. Zapalając, zmrużył powieki, co wystarczyło O'Brienowi na wykonanie nagłego ruchu. Uniósł się, wyciągnął rękę i pociągnął za uchwyt u drzwi, które zaczęły się rozsuwać. Do środka wpadł silny strumień zimnego powietrza wraz z hukami silników.

Thorpe rzucił się na O'Briena, który toczył się w stronę otworu. Wczepił się w nogę mężczyzny, przekoziółkował razem z nim i zaczął go wciągać do środka. O'Brien zajączkał z bólu, ale spróbował wygiąć się w łuk i przenieść górną stronę ciała i ramiona w silny strumień zaśmigłowy. Thorpe zaparł się nogami po obu stronach otwartych drzwi i ciągnął z całych sił, przeklinając głośno.

–Ty stary draniu. Ty lisi synu... – Thorpe czuł, że przegry; wa. W końcu wrzasnął, przekrzykując huk silników: – W porządku, ty sukinsynu! Giń!

Trzymając ciągle kostkę O'Briena, odepchnął się stopami od progu i poczuł wciągający go strumień powietrza. Instynktownie spojrzał w górę i zauważył, że światła nawigacyjne samolotu znikają w rozświetlonej światłem księżycy ciemności.

Spadali obaj z prędkością stu dziesięciu mil na godzinę, stu sześćdziesięciu jeden stóp na sekundę. Mieli najwyżej osiemdziesiąt sekund na otwarcie spadochronów.

Thorpe trzymał kurczowo nogę O'Briena. W pewnej chwili zobaczył, jak tamten sięga prawą ręką do dźwigni spadochronu. Owinął obydwa ramiona wokół nogi O'Briena i

skręcił całe ciało szybkim obrotowym ruchem, powodując tym samym, że ich ciała zawirowały. Patrick nie zdążył sięgnąć ręką do dźwigni spadochronu. Thorpe sięgnął w górę, chwycił pasy biegnące w poprzek brzucha O'Briena i podciągnął się, aż znalazł się

z nim pierś w pierś. Otoczył jego ramiona i przycisnął go w niedźwiedzim uścisku. Spojrzał mu prosto w twarz.

–Wiesz, kim jest Talbot?! – krzyknął.

Patrick patrzył nieprzytomnie spod przymkniętych oczu.

Wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „tak”.

–Nazwisko Talbota! – krzyknął ponownie Thorpe.

Zauważył, że rysy Patricka O'Briena wykrzywił grymas bólu, a jego zęby przygryzły dolną wargę tak głęboko, że strumień krwi popłynął mu po brodzie. Atak serca.

Spojrzał w dół. Ocenił, że spadli już ponad dziesięć tysięcy stóp. Pozostała jeszcze jakaś mila. Thorpe spojrzał jeszcze raz na kredowobiałą twarz i upewnił się, że Patrick O'Brien nie pociągnie nigdy za dźwignię.

–Geronimo i całe to gówno! Szczęśliwego lądowania! – krzyknął mu do ucha.

Rozluźnił uchwyt i zaczęli spadać osobno. Thorpe wyciągnął ręce i popchnął go mocno. Popatrzył na ziemię, która zbliżała się coraz szybciej.

–O cholera.

Szarpnął za dźwignię i spojrzał w górę. Pomyślał, że za chwilę może być za późno. Wszystko zależało od tego, jak szybko otworzy się czasza spadochronu. Jeśli nie otworzy się wcale, było już za późno na spadochron awaryjny. Czarna, nylonowa czasza wystrzeliła w górę jak pióropusz dymu i zafalowała, wypełniając się powietrzem. Thorpe zmusił się, żeby spojrzeć w dół. Około trzystu stóp. Poczł szarpnięcie w górę i usłyszał trzask wypełnionej do końca czaszy. Chciał zobaczyć, gdzie upadł O'Brien, ale stracił go z oczu w ciemnej płataninie rozciągającego się poniżej lasu.

Wydawało mu się, że słyszy trzask łamanych gałęzi, po którym nastąpił głuchy łoskot.

Thorpe unosił się około siedemdziesięciu stóp nad ziemią.

Zauważył niewielką, piaszczystą polanę pośród sosen i pociągnął mocno regulator wysokości, schodząc w dół w kierunku pobliskiego skrawka otwartego terenu. Uderzył w ziemię podkurczonymi nogami. Przekoziółkował na ramiona, wstał i zwolnił zatrząsk spadochronu. Czasza odpłynęła kawałek w łagodnym powiewie wiatru.

Strzepnął piasek z rąk i twarzy.

–Nieźle. – Poczłł to niewiarygodne uczucie, które przychodziło po bezpiecznym lądowaniu. – Cholernie dobrze.

Składając spadochron, wrócił na chwilę myślą do O'Briena.

Ten facet był godnym przeciwnikiem. Oczekiwał większego

kłopotu ze strony pilota i mniejszego ze strony O'Briena, biorąc pod uwagę jego wiek. Ale stare lisy były twarde. Tylko dlatego dożywały takiego wieku. Zastanowił się, co powiedzą władze na katastrofę samolotu u stóp Pennsylvania Alleghenies. Nie było przecież żadnego ostrzeżenia, samolot zboczył z kursu, a zmasakrowane ciało pasażera zostanie znalezione w New Jersey. Jego śmiech zakłócił spokój wiosennej nocy.

Thorpe wepchnął spadochron do plecaka i rozłożył antenę radia. Usiadł na kopcu piasku, przyłożył chusteczkę do zakrwawionego nosa, otworzył torebkę z czekoladowymi batonikami i czekał na helikopter. Tej nocy miał na sumieniu dwie ofiary i jak rzeźnik musiał działać szybko, zanim stado owiec wpadnie w panikę. Pomyślał, że przynajmniej pomaga eliminować podejrzanych.

30

Mały helikopter wiozący Petera Thorpe'a wylądował na lotnisku Heliport przy Trzydziestej Zachodniej Ulicy niedaleko rzeki Hudson. Thorpe skończył przebierać się w sportową manynarkę, krawat i spodnie.

Pilot linii Lotus Air będącej własnością CIA nie znał ani nazwiska pasażera, ani jego zadania. Nie tylko nie zamienił 2 nim słowa, ale nawet na niego nie spojrział. Gdyby za tydzień lub za rok podano wiadomość p znalezieniu zwłok z zamkniętym spadochronem w Pine Barrens, to nawet powiązawszy ze sobą daty, pilot nie pisnąłby ani słowa. Helikopter uniósł się nad rzeką i zniknął w ciemności. Thorpe odprowadził go wzrokiem, wyciągnął plecak ze złożonym spadochronem i ubranie, obciążył je balastem i wrzucił do rzeki. Szedł przez ciemne, opustoszałe uliczki przy nabrzeżu, aż dotarł do budki telefonicznej. Wszedł do środka, wykręcił numer Princeton Ciub i poprosił o połączenie z Western. i -Jak się masz, Nick?

-Nieźle.

-Słuchaj, co teraz robisz?

-Chciałem właśnie wyjść. Muszę jutro złapać wczesny pociąg do Waszyngtonu.

–Daj się zaprosić na drinka.

–Nie mam ochoty na drinka.

–Nie będziemy długo siedzieć. Mam dziś nastrój na negroni, a nienawidzę pić do lustra.

Zapadła krótka cisza, aż w końcu dał się słyszeć głos Westa:

–W porządku, gdzie i kiedy?

–Spotkamy się w moim klubie. Będę t[^]ni za dziesięć x minut. – Thorpe odwiesił słuchawkę.

Peter Thorpe wszedł do Yale Ciub i usiadł na małej Łanstpie niedaleko Westa wpatrującego się w butelkę martini stojącą na stole. Thorpe zamówił negroni i rzucił trickowi długie spojrzenie.

–Obawiałem się, że nie będziesz pamiętać hasła – powiedział.

West spojrział na Thorpe'a i zatrzymał w[^]rok na małym, plastrze pokrywającym jego lewe nozdrze, ale nic nie powiedział.

–Słuchaj, Nick. Ta cała sprawa z Talbot[^]m poruszyła gniazdo szerszeni. Przez jakiś czas powinieneś siedzieć cicho.

–Kto tak się tym przejął?

–Nasi ludzie. Langley było przez cały weekend -w pełnej gotowości. Wiesz, jak to jest. Podejmują decyzje nią prawo i lewo, szykując się do skoku. Co do dęb[^]gż zapadła- decyzja.

–Co...?

–Nie mają zamiaru cię zabić, ale wyślą Cię w góry. Będziesz tam musiał zostać przez jakiś czas.

W oczach Westa pojawił się niepokój.

–Może powinienem po prostu złożyć raport i...

–Nie. Nie rób tego.

–Nie mam nic przeciwko temu, żeby sannie sprawdzono.

–Gdybyś wiedział, co robią z ludźmi w^ górach, zmieniłbyś zdanie.

–Co...? – West przyglądał si? Thorpe'owwi z mieszEuuną ciekawości i przerażenia.

–Dokończ drinka – powiedział Thorpog. Kelner przyniósł negroni i Thorpe posmakował odrobinę. – ' Niezły. Nigdy go me piłem. Słuchaj, Nick. Czy mógłbyś choćby» dla pozoru, rozchmurzyć się trochę?

West sącył martini.

–Masz broń?

–Nie.

–Kamizelkę?

–Nie. Nie noszę nic takiego.

–A nadajnik?

–Mikronadajnik. Jego sygnały można odbierać w powietrzu i na ziemi. – West wskazał klamrę u paska.

–Działa teraz?

–Nie. Dlaczego miałyby działać?

–Jak go uruchamiasz?

–Wystarczy go chwycić z dołu i z góry i ścisnąć. Ma sprężynowy naciąg jak w zegarku.

–Odbiera też sygnały?

–Nie.

Thorpe spoglądał na Westa przez chwilę, zanim zadał następne pytanie.

–Kapsułki z trucizną?

–Zawsze.

–Gdzie i w jakiej formie?

West zawahał się i wskazał na krążek odznaki. Thorpe spojrzal na znaczek z West Princeton. .:; -Miejsce na pigułkę? . – Nie, kamień, cyjanek rozpuszczony w kryształach cukru za. Iwurwionym na kolor onyksu i pokrytym poliuretanem dla pofcsku i żeby zabezpieczyć go przed rozpuszczeniem. Rozgryzasz go i...

II; -I jak to mówią, śmierć jest natychmiastowa. – Thorpe I||Sattiechnął się. – Czego oni nie wymyślą. Czy to jedyna trucizna? it '.• West zaprzeczył ruchem głowy |; -Mam jeszcze zwykłą kapsułkę. Zapomniałem jej zabrać. ||e»t w moim pokoju. |»'; – Zapomniałbyś tyłka, gdybyś go i tak ze sobą nie nosił – liażartował Thorpe.

–Powiedz mi coś więcej o górach.

–Trafisz tam jako Nicholas West, ale wyjdiesz jako ktoś inny.

–To program nowej tożsamości? ||^ ••«- Niezupełnie. Zaszli już trochę dalej niż operacja plastyczności nowego prawa jazdy, przyjacielu. Wstrząsy elektryczne, nardntnyki i hipnoza. Gdy skończą z twoim mózgiem, jesteś już »ś innym. – West otworzył szeroko oczy. Thorpe ciągnął jej: – To jest neutralizacja w nowym stylu. Jeśli nie popełnizbrodni, nie grozi ci śmierć. Niewielka zmiana w pamięci ^e będziesz już chodzącą encyklopedią.

–Och, dobry Boże, nie mogą tego zrobić.

–Zgadza się. To jest bezprawie i oczywiście nigdy nie odważą się pogwałcić twoich obywatelskich praw. Ale przypuśćmy, że tak się stanie. Dlatego musisz zniknąć na jakiś czas. Nie daj im się dobrać do twojego mózgu.

–Kiedy... kiedy będę musiał?

–Kiedy? Dziś •wieczorem! Nie można zwlekać.

–A moje rzeczy?

–Rzeczy? Jakie rzeczy?

–No wiesz, ubrania, książki...

Thorpe roześmiał się.

–Jeśli pozwolisz im na to, żeby zabrali cię w góry, nie tylko zapomnisz, co posiadasz, ale nawet jak się nazywasz. Nie zaprzataj sobie głowy idiotycznymi szczegółami. Z drugiej strony, musisz postarać się o jakąś polisę ubezpieczeniową. Gdybyś miał w zanadrzu zabezpieczenie, coś co mogłoby wyjść na jaw w pewnych okolicznościach, byłbyś panem swojego losu.

–Nie mam tutaj nic takiego.

–Może mógłbyś się wybrać do swojego biura wcześniej rano i zachowując się normalnie, zabrać jakieś dokumenty, może wydruki komputerowe, i uciec – powiedział Peter po namyśle.

West zamilkł na chwilę, w końcu odezwał się:

–Może gdybym mógł podłączyć się stąd do mojego komputera przez twój komputer w Lombardy...

Thorpe skinął z wolna głową, ale nic nie powiedział. West rzucił mu spojrzenie.

–Zdaje się, że to jest sposób.

–Chyba tak.

–Ale jak mamy... jak mam to zrobić? Wejście zostawi ślad prowadzący wprost do ciebie.

–Naprawdę?

–Tak. System jest dobrze zabezpieczony. Zarejestruje twoje wejście, poda informację, że było włamanie, i określi położenie twojego komputera. Langley zauważy to natychmiast.

–Jeśli już będę w systemie, mogę robić, co tylko zechcę.

Kiedy już się tam dostanę, mogę wymazać wszelkie ślady mojej obecności na wyjściu – powiedział Peter od niechcienia.

West spoglądał na niego przez dłuższą chwilę.

–Komputer nie pozwoli na to. Przekáže im informację.

–Potrafię zaprzyjaźnić się z komputerem, skoro tylko się z nim przywitam – zażartował Thorpe. – Widzisz, to tak jak

różnica pomiędzy gwałtem, i uwiedzeniem. Jedno i drugie wymaga penetracji, ale pierwsze jest brutalne i niezgrabne, a drugie delikatne. Gdy już wejdę do twojego komputera, gliny o niczym się nie dowiedzą. Okay? Pozwól, że sam będę się martwił o technikę. Słuchaj, Nick, zastanawiam się, czy będą na tyle przezorni, żeby odrzucić twój kod wejściowy. Taki odpowiednik konfiskaty klucza do wspólnej umywalni.

West zmusił się do uśmiechu.

–Ale jeśli będziemy działać szybko – mówił dalej Thorpe – to myślę, że możemy całkiem realnie przyjąć, iż nikt me zdąży zablokować komputera. Jutro będzie to jedna z pierwszych rzeczy, które zrobią. Pierwszy krok to uczynić cię persona non grata.

Nick przytaknął i podniósł do ust drinka. Trzęsły mu się ręce.

–Powiedz mi tylko – powiedział cicho – dlaczego bierzesz na siebie takie ryzyko?

–Nie jestem miłym facetem, Nick. Ale niektórzy z naszych pracodawców też nie są przyjemniaczkami. – Wziął głęboki oddech. – Gdybym pozwolił na to, żeby wymazali ci mózg i posłali cię do mycia okien na farmie, nie mógłbym sobie tego darować. To znaczy, nie mógłbym spojrzeć w oczy Katherine ani Ann...

Na myśl o Ann West spuścił wzrok. Zamówił jeszcze jedno martini. Thorpe ciągnął dalej:

–Mówiąc zupełnie szczerze, chcę mieć dostęp do pamięci twojego komputera. Jak się okazuje, dziś wieczorem moje potrzeby są zbieżne z twoimi.

–Dlaczego ci na tym zależy?

–Mówiłem ci już kilka razy, Nick, że potrzebuję informacji 6 starych chłopaków z BSS dla potrzeb lokalnych służb kontaktowych.

West skinął głową. Zawsze uważał, że niepotrzebnie odmawiano Thorpe'owi dostępu do tych skomputeryzowanych dossier na temat szpiegów amatorów.

–Muszę być jednak obecny, gdy będziesz włamywał się do komputera – powiedział.

–Nie wyobrażam sobie, że może być inaczej. – Thorpe zgaMi papierosa. – Wiem, że jesteś lojalny, Nick. Ale znasz do;Statecznie dużo przykładów, aby wiedzieć, że nawet lojalność : tóejest wystarczającą bronią przeciw tym pieprzonym parano||;]8tom, którzy są w stanie wyrządzić ci krzywdę. Nie możesz być "^^lojalny

wobec tych, którzy są niełojalni wobec ciebie. Oni nie

są tym samym co rząd czy naród. Wiesz o tym przecież, profesorku.

–Ale... dlaczego? – West przesunął rękami po twarzy. W jego głosie był ból. – Co ja takiego zrobiłem?

–Och, Chryste, Nick, mówiliśmy już o tym setki razy. Nic nie zrobiłeś. Ale nie o to chodzi. Za dużo wiesz. Podobnie jak inni, ale w twoim przypadku bardzo im to przeszkadza. Nie należysz właściwie do Firmy. Zwerbowano cię dzięki kapryswi jakiegoś dawnego dyrektora i wszyscy zapomnieli o tobie i twoim departamencie, aż pewnego dnia zdali sobie sprawę z tego, że wiesz za dużo o jednym z szefów. Taka jest prawda.

Całe to gadanie o tym, że Moskwa ma na ciebie chrapkę, ma po prostu usprawiedliwić pozbycie się ciebie.

–Peter, ciszej, proszę. – West rozejrzał się nerwowo po sali.

–Och, uspokój się. Na Boga, to przecież Yale Ciub. Połowę nielegalnych transakcji w tym kraju zawiera się właśnie tutaj. – Thorpe wstał. – Przemysł to. Nie chcę wywierać na ciebie nacisku. W końcu to nie jest dla mnie takie ważne.

–Dobrze. W porządku. Powiedz mi tylko, co mam robić.

Dokąd mogę pójść dziś wieczorem?

Thorpe wyciągnął z kieszeni klucz i rozejrzał się dookoła.

–Pokój 1114 – powiedział. – Tam możesz pójść. Jest tam jeden facet. Aktor. Nic nie wie. Jego główną zaletą jest to, że jest do ciebie podobny, niech Bóg ma w opiece jego i jego karierę. Zamień z nim ubranie. Wyjdzie stamtąd z fajką w zębach i jeśli będziemy mieli szczęście, odciągnie każdego, kto miałby cię śledzić. Oznacza to prawdopodobnie jakiś tuzin agentów CIA, KGB i goryli O'Briena. Przy jeszcze większym szczęściu dojdzie nie rozpoznany do twojego pokoju w klubie i aż do rana nikt nie domyśli się, że jest tylko przynętą. To da nam mnóstwo czasu.

–W taki właśnie sposób zaginał Carbury. – West nagle wstał. – 1 co z tego? Chcesz być oryginalny? Wystarczy, że to działa. Sam kiedyś wywinąłem się w ten sposób. Siedź tylko w pokoju, aż ktoś po ciebie przyjdzie. Nie ma tam telefonu, więc nie będzie cię kusić, żeby gdzieś dzwonić. Zostawiłem ci powieść szpiegowską do czytania. – West skinął głową i Thorpe włożył klucz do kieszeni jego marynarki. Poklepał go po ramieniu. – Nie przejmuj się, Nick. Do zobaczenia przed świtem w Lombardy.

Thorpe odprowadził wzrokiem Westa idącego do windy. Winda nadjechała i najwyraźniej nikt nie zwrócił uwagi, gdy do niej wsiadał. Thorpe zszedł po schodach i zatrzymał się na podeście.

Zauważył w hallu zaczytaną parę. Mogli dla kogoś pracować.

Thorpe uśmiechnął się do siebie. Szpieczy śledzą szpiegów.

Przyszło mu też do głowy, że dziś wieczorem mogli się tu zjawić ludzie z FBI i NYPD, ktoś taki jak Tony Abrams. Niewątpliwie policja zajmowała się jego osobą, a nie Western. Myśl o tym, że mogli go śledzić miejscy detektywi, była nieznośna. Skrzywił się. Abrams. Kto mógł przypuszczać, że do gry wejdzie taka karta? Jeszcze w piątek wieczorem Abrams znaczył niewiele. Ale teraz był już trudnym celem. Na szczęście był bezbronny, i to dzięki Katherine.

Thorpe czekał na galerii otaczającej hali, przyglądając się ludziom znajdującym się poniżej. Każdy mógł zauważyć, że on był z Western w wieczór poprzedzający zniknięcie Nicka. Ale nic nie można było na to poradzić.

Nicholas West był człowiekiem, którego trudno było podejść. Peter był jednym z niewielu, który miał na niego wpływ i do pewnego stopnia pozyskał jego zaufanie. Porwanie człowieka znajdującego się pod ochroną było trudną sprawą i dlatego należało sprawić, żeby West sam wziął w tym udział.

Mężczyzna wyglądający jak West schodził po schodach, palił fajkę. Bez słowa stanął obok Thorpe'a i szybko zeszli razem do hallu. Thorpe szedł pierwszy, zasłaniając sobą mężczyznę.

Nikt z siedzących w hallu nawet na nich nie spojrzał, ale po paru sekundach para zaobserwowana przez Thorpe'a podążyła za nimi. Na zewnątrz Peter zauważył przynajmniej jeszcze jedną dwójkę, ale wiedział, że w świetle latarni ulicznych nikt nie będzie wątpił, że to West. Zmierzali w kierunku Princeton Ciub. Thorpe czuł, że podąża za nimi prawdziwy tłum. Miał nadzieję, że nie będą sobie nawzajem podstawiać nóg. Zaśmiał się. Chryste, co za cyrk. i -Zaprowadzę cię do pokoju w Princeton Ciub. Przebierzesz i; nazwiska? Próbowaliśmy wytropić kilka innych postaci 'listy, ale bez skutku. Wszyscy używają przybranych nazwisk. Krętacze. A może jeszcze gorzej. Słuchasz? Kim są ci ludzie, dla których pracujesz, Abrams? Gdzie mieszkają? - O'Brien mieszka w Sutton Place, ale nie jestem pewien adresu. Van Dom ma posiadłość w Glen Cove. Grenville'owie mówili coś o Scarsdale. Thorpe mieszka w Lombardy, a Kimberiy przy Carmine Street, numer 39. Sprawdź w Związku Prawników.

–Nie pracują w weekendy. We wtorek rano będę w biurze O'Briena i chcę, żeby wszyscy tam byli. Razem z tobą, asie.

–Słuchaj, pytałeś CIA o Thorpe'a?

–Tak. Robią kłopoty. Poczekamy, aż oni będą chcieli, żeby im wyświadczyć przysługę. Dupki. FBI chce współpracować, ale zdaje się, że ta sprawa ich niepokoi. Tak czy inaczej, sprawdziłem Thorpe'a normalnymi kanałami, na wypadek gdyby założono mu policyjną kartotekę.

Abrams usłyszał, jak Spinelli zapala jednego ze swoich śmiertelnie mocnych papierosów, a zaraz potem w słuchawce rozległ się kaszel.

–Głębokie pociągnięcie – powiedział Abrams.

–Odpieprz się. – Opanował kaszel i ciągnął dalej: – Kartoteka prokuratora okręgowego hrabstwa Nassau. Około siedmiu lat temu. Thorpe i jego żona Carol wypłynęli łodzią na Long Island Sound. Ona zaginęła na morzu. Straż przybrzeżna złożyła raport.

–Wnioski?

–A jakie mieli wyciągnąć? Wypadek. Wypadki na morzu to niemal morderstwa doskonałe. Zgodnie z tym, co czytałem, CIA pozbyło się w ten sposób przynajmniej trzech ludzi w zatoce Chesapeake. Chryste, mają już na to prawa autorskie i patent.

–A jednak to mógł być wypadek.

–Absolutnie. Ale tylko Peter i Carol znają prawdę. Peter był przesłuchiwany przez straż przybrzeżną. Ciało Carol nigdy nie znaleziono. Ceremonia pogrzebowa odbyła się na morzu.

Mąż miał najwyraźniej rozstrojone nerwy. Nie było aktu oskarżenia.

Abrams milczał przez chwilę.

–Domyślam się, że nie możesz zaglądać do tych kartotek zbyt często.

–Zgadza się. Wolno mi tylko raz na jakieś siedem lat. Jedna żona, jeden partner w interesach, jeden szwagier. Prawo statystyki. Przejrzałem więc raporty straży przybrzeżnej dwadzieścia

lat wstecz. Nic. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie wszystkie wody terytorialne podlegają straży przybrzeżnej. Sprawdziłem więc kartoteki niektórych rządów stanowych. W Marylandzie znalazłem to, czego szukałem. Ujście Zatoki Chesapeake, 1971 rok. Mężczyzna za burtą. Kapitan Peter przy sterze. Zamierza uratować nieszczęśnika i... och, nie, przepływa nad jego głową.

Ale nie wszystko stracone. Mężczyzna jeszcze żyje. Kapitan Peter robi zwrot i przypadkowo wpada na biedaka, który w rezultacie jest ogolony, ma obcięte włosy i kawałek mózgu. Tak czy inaczej, ten wypadek przypomina inne sprawy Firmy. Nie było postępowania karnego. – Spinelli przerwał, po chwili dodał: – Ten facet morduje z zimną krwią.

–Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

–Tak. W jaki sposób jest w to zamieszany James Allerton?

To z jego powodu wszyscy są tacy nerwowi. To ten James AUerton, prawda?

–Zgadza się. James Allerton jest przybranym ojcem Thorpe'a.

–Nie żartujesz?

–Nie żartuję. Allerton jest też przyjacielem zaginionego pułkownika Carbur/ego. Wpadliście na jego ślad?

Ęfe, – – Nie, ale wiem, jak zniknął. Miał sobowtóra.

–Znaleźliście go?

–Pewnie.

–Kto go wynajął?

IH – Pytałem go, ale nie gada.

li -Nie żyje? p. – Bingo. Holownik wypływający z dolnego portu do Francji H, Wyłowił go z wody. Wydział do spraw zabójstw orzekł, że to ||t'Samobójstwo, ale wiesz, że ja nie dam się łatwo zwieść. Miałem Trdo czynienia z niejednym sztywniakiem i podejrzanym zgonem.

I^Eb długa historia, ale odnalazłem jego odciski w kartotece liji? eriy i Rosę niż ze sprzeczności jego zainteresowań. grt^ -Rozmawiałem w piątek z panem Androwem – powiedział ||MKke Tanner. – Wydawał się odrobinę zaniepokojony pańską

popi^teyjną przeszłością, ale zapewniłem go, że pracował pan w droyjiSfJWce. Mam nadzieję, że nie ma dostępu do pańskiej policyjnej »|artoteki. iS"?" pfi – Tak mi mówiono.

Abrams zastanowił się, czy KGB ma informacje o tym, że niał kiedyś do Czerwonego Szwadronu. Im dłużej myślał o swol alibi, które przecież było bliskie prawdy, tym bardziej zdawał

sobie sprawę z problemów, które mogły wyniknąć. Wypełnił długi kwestionariusz, podając w nim swoje dane personalne. Były tam dwa pytania, których się nie spodziewał. „Czy jesteś lub kiedykolwiek byłeś członkiem partii komunistycznej?”, „Czy masz krewnych lub przyjaciół, którzy są lub byli jej członkami?” Pytania te brzmiały, jak gdyby sformułowała je Państwowa Komisja do Spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej z 1948 roku.

Rosjanie zadawali je jednak z innych powodów.

–Czy Androw wspomniał coś o tym, że moi rodzice należeli kiedyś do partii komunistycznej? – zapytał Tannera.

–Tak. Zastanawiał się, czy nie staramy się mu przypochlebić.

Później wygłosił przemówienie na temat ludzi, którym dane było ujrzeć światło i narodzić się dla prawdziwej wiary, choć w niej nie wytrwali. Pytał, czy pan mówi po rosyjsku – dodał. – Odesłałem go do kwestionariusza, w którym odpowiedział pan, że nie. – Tanner przygryzł wargę i powiedział: – Przypuszczam, że strzelał w ciemno.

–Nigdzie nie przyznałem się do znajomości rosyjskiego z wyjątkiem służby w policji.

–Pozwolę sobie dać panu radę – powiedział Styler – i zacytuję fragment starej sztuki pod tytułem Podwójny agent. „Nie ma dla kłamstw lepszej osłony niż szczerą prawdą. Nagość to najlepsze przebranie”.

Abrams sączył drinka i pomyślał, że wszedł w to pod swoim własnym nazwiskiem i nie zataił żadnego faktu, który mogli sprawdzić Rosjanie: urodził się, poszedł do szkoły, miał prawo jazdy i tak dalej. Jediną zmianą w jego zawodowej i prywatnej kartotece było pominięcie okresu pracy u O'Briena i przesunięcie daty zatrudnienia u Stylera, aby wypełnić lukę pomiędzy rezygnacją ze służby w policji i chwilą obecną. Poza tym nie miał się czego obawiać, ponieważ powiedział prawdę. Odkrywał jednak, że ta prawda może go zgubić. A szczególnie ta niedawno dopiero poznana prawda, że jego kumpel Peter Thorpe jest agentem KGB.

Zapalił papierosa i zastanowił się nad nowo powstałą sytuacją. Czy Thorpe złożył Rosjanom raport i wymienił w nim jego nazwisko? Abrams pomyślał, że naiwnością byłoby sądzić, że nie uczynił tego. Wiedział, że powinien zrezygnować z zadania. I wiedział, że powinien zabić Thorpe'a, choćby tylko po to, żeby chronić samego siebie. Ale na to było już za późno. Abrams spojrzął na Tannera.

–Rozmawiał pan z Androwem od piątku?

–Nie. – Mike spojrział na zegarek. Ale mam do niego zadzwonić i potwierdzić datę spotkania. – Ujął słuchawkę telefonu i po chwili zaczął rozmowę z Wiktorem Androwem. Potwierdził czas spotkania i powiedział: – Tak, proszę pana. Pan Styler i pan Abrams też się tam zjawia. – Przerwał na chwilę i odpowiedział: – Tak, są tu teraz obaj... Tak, na pewno to zrobię. – Odłożył słuchawkę i spojrział na Abramsa. – Kazał panu przekazać, że oczekuje z niecierpliwością spotkania z synem sławnych bojowników o wolność.

–To mi pochlebia – powiedział Abrams. Odwrócił się do Stylera i dodał szorstko: – Nie widziałem pana w piątek wieczorem na obiedzie wydanym przez BSS.

–Nigdy tam nie chodzę. Nie jestem już w tym biznesie – odpowiedział Styler z dziwnym uśmiechem.

Z wyjątkiem dzisiejszego dnia, pomyślał Abrams. Styler urządzał jednodniową wyprzedaż z okazji Dnia Pamięci.

–Ale zna pan przecież pana O'Briena? – zapytał.

Styler milczał przez chwilę. Jego twarz przybrała nienaturalny wyraz i cicho powiedział:

–Nie wiem, jakie znaczenie mają pańskie osobiste uczucia dla Pata O'Briena... Przypuszczam, że powodują panem ogólniejsze motywacje, i gdybym nie był uczciwy, nie powiedziałbym tego, co teraz powiem...

Abrams postawił drinka na końcu stołu i pochylił się naprzód.

Styler dostrzegł zmianę w wyrazie jego twarzy, skinął głową i kontynuował:

–Patrick O'Brien wyleciał ostatniej nocy z Toms River w New Jersey, aby poćwiczyć skoki spadochronowe. Jego samolot rozbił się w górach Pensylwanii. Na pokładzie znaleziono tylko ciało pilota. Władze przypuszczają, że pan O'Brien wyskoczył wcześniej. Wysłano oddziały ratunkowe. Ale Pine Barrens to ogromny obszar. – Styler ruszył w kierunku drzwi. – Spotkamy się przed budynkiem. Przy brązowym lincolnie. – Wyszedł.

–Proszę iść za mną. – Tanner także wstał.

Abrams wziął drinka i poszedł za nim do biura składającego się z sześciu stanowisk urzędniczych.

–Oto pańskie stanowisko – powiedział Tanner. – Przyjdzie tu wkrótce człowiek nazwiskiem Evans. Zna pana pod nazwiskiem Smith. Zobaczymy się później. – Odwrócił się i wyszedł.

Abrams wszedł do otwartej kabiny. Na szklanej ścianie działowej widniało jego nazwisko, a na zwykłym, szarym, stalowym

biurku umieszczono jego wizytówkę. Usiadł na obrotowym krześle i przeszukał szuflady wypełnione takimi samymi śmieciami jak w biurze firmy O'Brien, Kimberiy i Rosę. Na podłodze stała teczka z jego inicjałami. Otworzył ją. Wewnątrz znajdował się gruby plik dokumentów opatrzonych napisem: „Radziecka Delegacja przy ONZ vs George Van Dom”. Abrams kołysał się na krześle, popijając szkocką. Z historią jego pracy tutaj zaznajomiono rzekomo tuzin pracowników firmy. Mogło to być kolejne źródło informacji na temat jego obecnej roli. Abrams pomyślał o Patricku O'Brienie. Czy jeszcze żył? Może został porwany? Jeśli tak, to czy można się spodziewać, że go wyda? Abrams miał nadzieję, że jest wolny albo że już nie żyje; rozwiązanie pośrednie byłoby nieszczęściem. Abrams spojrzął na zegarek. Przypuszczał, że pan Evans miał być jego przewodnikiem w wyznaczonym zadaniu.

Przyszło mu do głowy, że Jonathan Harker nie miał asystenta ani innych współpracowników. Ale w końcu hrabia Drakula nie miał w swoim zamku agentów KGB.

Abrams myślał o wydarzeniach ostatnich kilku dni, miesięcy, a nawet lat, i zastanawiał się, kiedy popełnił błąd. Pocieszył się na myśl o tym, że nawet taki człowiek jak Huntington Styler dał się wciągnąć w ten interes. Usłyszał kroki i wsunął rękę do kieszeni z rewolwerem. W wejściu do kabiny stanął wysoki, kościsty mężczyzna w średnim wieku. Jedną rękę miał w kieszeni, a w drugiej trzymał skórzaną teczkę. Spojrzął na Abramsa, nic nie mówiąc. Tony odniósł wrażenie, że ma do czynienia z nieco smutnym, wędrownym komiwojażerem, który był w drodze tydzień za długo. Mężczyzna skinął głową jak gdyby rozmawiał sam z sobą i powiedział:

–Wie pan co?

–Co takiego?

–Elektronika nas pożera.

–Zgadza się. Zawsze to wiedziałem.

Mężczyzna wszedł do kabiny i stanął na wprost siedzącego za biurkiem Abramsa.

–Nazywasz się Smith?

–Zgadza się.

Z bliska mężczyzna wydawał się podobny do Waltera Matthau, a jego sposób mówienia przypominał sposób mówienia Humphreya Bogarta. Wyciągnął rękę z

kieszeni i sięgnął przez biurko.

–Evans.

Abrams zostawił w spokoju swoją trzydziestkę ósemkę i uści294 snął dłoń Evansa. Przybysz wyciągnął się na krześle naprzeciw Abramsa i powiedział:

–Ten kraj zdobywa ponad pięćdziesiąt procent tajnych informacji dzięki elektronice. Ale wiesz co?

–Co takiego?

–Nic nie zastąpi oczu i uszu.

–Nosa i gardła.

–No tak, nosa też. I szarych komórek. I odwagi. I serca. Masz to wszystko?

–Wszystko na swoim miejscu.

–To dobrze. – Evans wsunął obie ręce w kieszenie spodni i rozejrzał się leniwie po małym pomieszczeniu. – Co za dziura.

Kto tu może pracować?

–Facet nazwiskiem Smith.

–Mówisz po rosyjsku, zgadza się?

–Zgadza się.

–Komu chciałoby się uczyć takiego wszawego języka?

–Rosyjskim dzieciakom.

Evans skinął głową w zamyśleniu i powiedział:

–Słuchaj, Smith, mogę poświęcić ci godzinę. Mam zamiar pokazać ci plany architektoniczne tej ruskiej posiadłości i nauczyć cię szpiegowskiej roboty.

–W porządku. Godzina to nie za dużo?

–Być może. Masz już chyba o tym jakieś pojęcie? Zgadza się?

–Zgadza się. Powiesz mi, czego mam tam szukać?

–Nie. I tak byś tego nie zrozumiał. Zresztą ja też nie. To elektronika. Ale powiem d,

na co masz zwracać uwagę.

–Okay.

–Radio i telewizja.

–Radio i telewizja?

–Właśnie to.

–Dlaczego?

–Skąd mam wiedzieć? Szukaj też uziemionych wyłączników prądu.

–Okay. Nietrudno je zauważyć.

–Chodzi o te elektryczne wyłączniki, które można znaleźć w nowych łazienkach i kuchniach, Smith. Reagują one na fale prądu i zabezpieczają przed zwarciami albo porażeniami.

–Okay.

–Sprawdź, czy w innych pokojach umieścili je w zwykłych miejscach.

–Okay.

–Sprawdź, czy drzwi i okna są uszczelnione metalem.

–Może potrzebujesz inspektora budowlanego zamiast szpiega.

–Uszczelnienie powinno być pokryte niekorodującym metalem doskonale przewodzącym prąd, czyli cyną, srebrem, złotem lub platyną. Zdrap niewielką ilość nożem. Masz chyba jakiś mały, niewinnie wyglądający nóż, którego ci nie zabiorą?

–Nie.

Evans rzucił na biurko mały scyzoryk, przeszukał kieszenie i wyciągnął długiego papierosa. Zapalił go papierową zapalniczką.

–Musisz też dostać się w pobliże anten. Większość z nich znajduje się na dachu, ale jedna, duża, stoi na północnym trawniku.

U jej podstawy zobaczysz czujnik elektryczny połączony z filtrem.

Chyba że zakopali to wszystko.

–Zawsze mogę to wykopać. Dasz mi kieszonkową łopatkę?

–Kilka miesięcy temu pewien ogrodnik dostał się w pobliże tej anteny i prawie kosztowało go to życie – powiedział Evans po chwili milczenia. – Cokolwiek znajduje się u podstawy anteny, jest umieszczone prawdopodobnie nad ziemią, ale jest pewnie ukryte w krzakach.

–Jak to może wyglądać?

Evans wyciągnął kawałek papieru z wewnętrznej kieszeni marynarki i rzucił go przez biurko. Abrams rozłożył kartkę i przyjrzał się niedbale sporządzonemu szkicowi.

–Wygląda jak rysunki, które robiłem w szkole podstawowej.

–To zabawne, co mówisz. Szkic został sporządzony przez siedemnastolatka znajdującego się w stanie hipnozy. Był pod wpływem narkotyków stymulujących działanie pamięci, jeśli chcesz znać całą prawdę. – Abrams nie odpowiedział. – To pewien miejscowy chłopak – dodał Evans – któremu sprawia frajdę kręcenie się po posiadłości Rosjan. Ukrył się kiedyś w krzakach w pobliżu tej anteny. To wszystko, co musisz wiedzieć. Chcemy potwierdzenia tego, co widział chłopak.

-Dlaczego?

-Nie wiem. Ale wiesz co?

-Co takiego?

-To nie twój interes.

-To prawda. Tak właśnie myślałem.

-Nie jest to też mój interes, Smith. Więc siadaj, słuchaj i o nic nie pytaj.

Abrams zapalił papierosa i usiadł. Evans mówił dalej. Słuchając go, Tony zdał sobie sprawę, że wykonanie zadania niesie ze sobą duże ryzyko. Panowie Styler i Edwards sprytnie wykręcili się z udziału w tym spotkaniu. Ale w końcu nawet to, że go tutaj sprowadzili, było już dla nich ryzykowne. Spojrzał na przyglądającego mu się Evansa.

–Ten dom był poddany ściślejszej inwigilacji elektronicznej niż którekolwiek inne miejsce w tym kraju, łącznie z rezydencjami radzieckimi na Manhattanie i w Bronxie i z ich dyplomatycznymi i handlowymi budynkami w San Francisco i w Waszyngtonie. Ale wiesz co?

–Co takiego?

–Nigdy jeszcze nie przemyciliśmy do środka profesjonalisty.

–No tak, Evans. Ale ja nie jestem profesjonalistą i nie jestem jeszcze w środku.

–Ale będziesz. A na pewno jesteś większym profesjonalistą niż tamten ogrodnik, siedemnastoletni wyrostek, ten głupi dostawca czy...

–Kto?

–Dostawca z delikatesów.

–Jak on się nazywa?

–Co cię to obchodzi, Smith? A jak ty się nazywasz?

–Czy on się nazywa Kar! Roth?

–Może. Bardzo prawdopodobne. Ale zapomnij o tym. Abrams skinął głową. Evans wpatrywał się w niego przez kilka sekund i zaczął mówić dalej: – Tak czy inaczej, Rosjanie znają dziesiątki sposobów, aby wykryć, że coś nie jest w porządku, więc wolałbym, żebyś był czysty. Jesteś czysty?

–Mam tylko małą trzydziestkę ósemkę. Wyrób firmy Smith Wesson.

–Lepiej będzie, jeśli ją zostawisz.

–Pewnie tak.

–Chcesz truciznę?

–Dziękuję bardzo, nie.

–Dobrze. I tak byś jej me użył. Ale musiałem zapytać.

–Kto pyta, nie błądzi.

–Czy będziesz posługiwał się pseudonimem?

–Nie.

–To dobrze. Jeśli mają na kwestionariuszu twoje odciski palców, to mają cię już w garści. Nawet jeśli zdejmą ci odciski na miejscu, porównanie ich zajmie dobrych kilka dni i nic się od razu

nie wyda. Ale nie mógłbyś zaryzykować po raz drugi. – Evans przyjrzał mu się uważnie. – Więc bez pseudonimu?

–Mówiłem już, że tak.

–Okay. Czasami przysyłają mi klientów, którzy z nie znanych mi powodów mają wpaść. Wymyśla się dla nich jakąś historyjkę, która się kupy nie trzyma, i mają na sobie tyle elektroniki, że wystarczyłoby tego na cały Radiokomitet. Najlepiej zawsze być czystym i występować pod własnym nazwiskiem.

–Tak właśnie jest ze mną.

–Osobiście nic mnie nie obchodzisz.

–Wiem.

–Ale nie lubię tracić ludzi.

–To strata dla biznesu.

–Zgadza się. – Evans położył skórzaną teczkę na biurku, tak żeby Abrams mógł zobaczyć jej zawartość. – Wiesz, co to jest? – zapytał.

Abrams przyjrzał się wbudowanym w nią urządzeniom elektronicznym.

–Nie.

–ToEWK.

–EWK?

–Elektroniczny wykrywacz kłamstw. Czasami nazywa się go ANG, analizatorem napięcia głosu.

–Słyszałem o tym.

–To dobrze. Rosjanie badają nim swoich gości. Posługują się oczywiście wyrobem amerykańskim, takim jak ten. – Evans włączył analizator. – Wcale nie musisz go widzieć. Obserwują tylko wyświetlacz cyfrowy, kiedy mówisz. Może być ukryty na przykład w teczce podobnej do tej.

–Wiedzą w ten sposób, kiedy kłamię.

–Zgadza się. Spójrz. Trzeba najpierw wyzerować skalę wyświetlacza według normalnego głosu. Gdy zaczynam kłamać, maszyna wychwytyje nawet najbardziej niedosłyszalne drżenie głosu, które towarzyszy stresowi, jaki wywołuje kłamstwo. Jeżeli odczyt cyfrowy wznieśnie się na pięćdziesiąt procent lub więcej ponad mój normalny zakres głosu, to znaczy, że słuchasz kłamstw.

Okay, obserwuj odczyt. – Evans odezwał się pozornie tym samym głosem, którego zwykle używał: – Smith, wydaje mi się, że twoja akcja ma naprawdę szansę na powodzenie.

Abrams obserwował, jak odczyt osiągnął liczbę sto sześć.

–Kłamstwo.

–Zgadza się. – Spojrzał na Abramsa. – Mów teraz ty, żebyś mógł wyznaczyć normę dla twojego głosu.

–Okay, poddaję się. Jak mogę się przed tym chronić?

Evans obrócił teczkę w kierunku Abramsa. Odpowiedział, bawiąc się tarczą urzędnika.

–Przede wszystkim trzymaj gębę na kłódkę. Ale to, co teraz robisz, też daje rezultaty. Alkohol. – Evans sięgnął do kieszeni i wyciągnął małą butelkę. – Lekarstwo na przeziębienie i kaszel.

Zawiera alkohol i nieco innych substancji, które znieczulają struny głosowe. Wprowadza urządzenie w błąd. – Wyciągnął z kieszeni jeszcze jeden przedmiot i popchnął go w kierunku Abramsa. – Aerosol na oskrzela. Rozpyła hel. Nie wdychaj zbyt głęboko, bo będziesz mówił, jakbyś wsadził głowę między wahadłowe drzwi.

Użyj go tylko w wypadku, jeśli zaczną ci zadawać naprawdę trudne pytania.

Abrams skinął głową. Evans usiadł, skrzyżował nogi i założył ręce na brzuchu.

–Okay, wyobraź sobie, że jestem Rosjaninem. Szperałem trochę dla pozoru w teczkę, ale tak naprawdę ustaliłem podstawowy zakres twojego głosu, zabawiając cię rozmową na temat pogody, twojego eleganckiego garnituru i podobnych rzeczy. A teraz zadam ci naprawdę stresujące pytanie.

–A co ja mam robić?

–Masz zachować spokój, zakaszleć, kichnąć, wyczyścić nos, przełknąć ślinę, wypić łyk lekarstwa na kaszel albo wciągnąć trochę helu.

–To będzie wyglądało jak rola w burlesce.

–Gdy nadejdzie właściwa chwila, będziesz to, robił zupełnie naturalnie.

–A oni nie. zorientują się, do czego naprawdę służy lekarstwo na kaszel i aerosol?

–Pewnie tak, jeśli przesadzisz, ale lepsze to niż pozwolić im dowiedzieć się dokładnie, kiedy kłamiesz, a kiedy mówisz prawdę. Okay, gotowy?

–Pewnie.

–A więc, panie Smith, czy chciałby pan zwiedzić nasz piękny ; dom?

Abrams skinął głową. Evans roześmiał się.

–Nie udawaj nierozgamiętego. Odpowiedz na pytanie.

–Tak, chciałbym.

Evans spojrział na odczyt.

–Dużo stresu, ale można to interpretować w dwojaki sposób.

Po pierwsze, kłamiesz i wcale nie chcesz obejrzeć tego pieprzonego domu, po drugie, tak bardzo tego chcesz, że nie możesz opanować drżenia głosu. Żadna maszyna nie jest doskonała. Musisz wierzyć.

–Dobra.

Evans przełknął ślinę i mówił dalej:

–A więc, panie Smith, co pan myśli o naszym procesie przeciwko Van Domowi?

Abrams odpowiedział rozwlekle. Evans skinął głową i zapytał:

–Co pan robił w policji?

–Pracowałem w drogówce.

Evans potrząsnął głową.

–Jezu, Smith, odczyt był wyższy niż numer telefoniczny.

–Odpieprz się razem ze swoją maszyną.

–Musisz sobie z tym poradzić. Okay, to samo pytanie, ale rób, co do ciebie należy. Evans powtórzył pytanie. Abrams zaczął odpowiadać, przełknął ślinę, przytknął rozpylacz do nosa i nacisnął.

Odetchnął głęboko kilka razy.

–Pracowałem w drogówce. – Głos zabrzmiał trochę wysoko, ale odczyt trzymał się blisko normy. – Więc? – zapytał Abrams.

Evans nic nie odpowiedział, tylko zadał następne pytanie:

–A więc, panie Smith, jak długo pracuje pan dla Edwardsa i Stylera?

–Okolo dwie i pół godziny.

–Nie ma stresu. Ale prawda też może okazać się kłopotliwa.

–Zwykle tak jest.

–Racja. Poćwiczmy jeszcze trochę. Gotowy?

–Gotowy.

Następne pół godziny spędzili nad analizatorem głosu. Nagle Evans wyłączył urządzenie i zamknął walizkę.

–Lekcja skończona.

–Jak wypadłem?

–No więc nie mogłem wyciągnąć żadnych wniosków na temat tego, kim jesteś i o co ci chodzi – powiedział Evans, zapalając papierosa.

–Ale wiedziałeś, że coś ukrywam?

–Może. Rozumiesz, Smith, ludzie odczuwają stres z różnych powodów. Niektórzy denerwują się już choćby dlatego, że znajdują się na radzieckiej ziemi. Niektórzy kłamią, żeby nie uchybić formom. Tak czy inaczej, gdybym to ja był oficerem KGB i obsługiwał tę maszynę, nie miałbym pewności, czy wyciągnąć rewolwer i zastrzelić cię na miejscu.

–To brzmi uspokajająco.

–Elektronika nas pożera, czy nie tak powiedziałem?

–Tak.

–Technika nas pożera. Pozbawia przyjemności ryzyka. Zabija duszę tego biznesu.

–Ten biznes nigdy nie miał duszy, Evans.

Evans pochylił się naprzód, położył dłonie na biurku i spojrzał na Abramsa.

–Kiedyś byłem w stanie stwierdzić, czy ktoś kłamie, obserwując jego twarz. Teraz muszę spoglądać na tę pieprzoną maszynę zamiast w oczy.

–Racja.

–Wiesz co?

–Co takiego?

–Dobry agent jest wart dziesięciu szpiegowskich satelit i całego elektronicznego śmiecia używanego przez NASA.

–To nieprawda.

–Wiem. – Evans opadł z powrotem na krzesło. – Ale człowiek też jest potrzebny. To on analizuje i tworzy teorię. To on ocenia.

Tb on ma instynkt. Th tylko on, na miłość boską, jest istotą etyczną.

–To ostatnie nie robi na mnie żadnego wrażenia.

Evans odetchnął głęboko.

–Okay, dokończmy lekcję, bo nie zdążysz na spotkanie za „żelazną kurtyną”.

–W takim razie mów, o co chodzi.

–Dobra.

Przez następne dwadzieścia minut Abrams siedział i słuchał.

Zadał kilka pytań i otrzymał odpowiedzi. Evans pokazał mu stare architektoniczne

plany tego, co było kiedyś posiadłością Killenworth. W końcu wstał.

–Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że jesteś trochę niespokojny.

Kto by nie był? Wiesz, co mnie trzyma na chodzie, gdy jestem po drugiej stronie „kurtyny”?

–Co takiego?

–Gniew. Wzniecę w sobie nienawiść do tych sukinsynów.

Przypominam sobie, że czyhają na życie moich dzieciaków. Ze chcą nas wykończyć. Po to tylko żyją. Rosjanie to największe dranie, jakich stworzył Bóg.

Abrams zastanawiał się nad tym przez chwilę.

–Dla kogo pracujesz? – zapytał.

–Sam nie wiem. Jestem tylko ogniwem w długim łańcuchu.

Jestem byłym członkiem CIA. Prowadzę prywatną firmę konsultingową pod nazwą Usługi Informacyjne na Zlecenie.

–Nazwa, która nic nie znaczy.

–Zgadza się. – Podał Abramsowi wizytówkę. – Nasza grupa składa się z byłych pracowników wywiadu. Większość z moich klientów to międzynarodowe korporacje, które chcą wiedzieć, kiedy jacyś barbarzyńcy mają zamiar przejąć ten czy inny pieprzony kraj, żeby zdążyć zabrać swoich ludzi, forszę i zwiąć.

–A tym razem kim są twoi klienci?

–Mówiłem ci, że nie wiem. Możliwe, że to Firma. Nie mogą swobodnie działać i nie zawsze są skłonni prosić o pomoc FBI.

Więc ponieważ nic im nie zabrania wynajmować prywatnych agentów do działań na miejscu, nie wahają się.

–Słyszałem o grupie weteranów, którzy nie sprzedają swoich usług i pracują wyłącznie dla siebie.

–To niemożliwe, Smith. Kto by ich finansował? Komu byłyby potrzebne wyniki ich pracy? – W głosie Evansa pojawił się chłód.

Abrams wzruszył ramionami.

–Może się przesłyszałem.

–Na pewno. – Evans ruszył do drzwi.

–Znasz Petera Thorpe'a? – zapytał Tony, wstając.

–A dlaczego?

–Mówił, że ma dla mnie propozycję pracy.

–To zupełnie inna para kaloszy. Thorpe stoi na czele swobodnej grupy cywilów pracujących dla Firmy. Nie biorą zapłaty. Wystarcza im, że robią zamieszanie.

–Gdybym stracił z nim kontakt, czy mógłbyś w każdej chwili go odszukać?

–Mógłbym. To żaden problem.

–A człowiek nazwiskiem Marc Pembroke?

Na niewzruszonej dotychczas twarzy Evansa pojawił się wyraz niepokoju.

–Trzymaj się z daleka od tego drania.

–Dlaczego?

Evans patrzył przez chwilę przed siebie, a potem powiedział:

–Pembroke to specjalista. Jego ślad znaczą trupy. Powiedziałem już dosyć. Adios, Smith.

–Dziękuję.

–Nie dziękuj, zanim wrócisz. Skontaktuję się z tobą jutro.

Miej się na baczności. Nie będzie o mnie dobrze świadczyło, jeśli wrzucą twoje poćwiartowane zwłoki do dołu z wapnem.

–Będziesz ze mnie dumny.

–Tak. – Evans odszedł kilka kroków, ale zawrócił. – Jeszcze jedno.

Abrams spojrział na jego twarz i zrozumiał, że nie będzie to nic przyjemnego.

–Słyszałeś o Brygadzie Abrahama Lincolna? – zapytał Evans.

–Tak. To Amerykanie, którzy w latach trzydziestych walczyli z faszystami w Hiszpanii. Tacy faceci w rodzaju Hemingwaya.

–Większość z nich miała różowe albo czerwone poglądy. Rosjanie zaprosili około dwudziestu z tych oldboyów na herbatę i barszcz z okazji pierwszomajowego święta. Jeden z tych facetów, nazwiskiem Sam Hammond, dawno przeszedł na naszą stronę. Pracował dla tych samych ludzi co my. Miał to samo zadanie co ty. To ja go przygotowywałem.

–Mam nadzieję, że Sam Hammond ma się dobrze.

–Tej nocy Sam Hammond wyjechał z radzieckiej posiadłości i pojechał pociągiem z Glen Cove na Manhattan. Nie wrócił do domu. – Abrams nie odpowiedział. Evans dodał: – Albo Hammond sam się zdradził, albo ktoś go wydał, jeszcze zanim się tam dostał. Nie sądzę, żeby sam się zdradził, myślę, że dobrze go przygotowałem. Był bardzo sprytny. Według mnie był jakiś przeciek.

–Wolałbym wierzyć, że nie przygotowałeś go zbyt dobrze i że Hammond nie był wiele wart. Wolałbym, żeby to nie był przeciek.

–Dla twojego dobra mam nadzieję, że masz rację. – Evans zastanawiał się przez chwilę i w końcu spojrział na Abramsa. – Kiedy byłeś policjantem, czy kiedykolwiek zdarzyło ci się iść do akcji bez broni, z kimś, kto w każdej chwili może zwrócić się przeciwko tobie, bez osłony radiowej i bez kogoś, kto mógłby ci pomóc lub troszczyć się o twoje bezpieczeństwo?

–Nie. Nigdy tak nie było.

–W takim razie witaj, wariacie, w wielkim świecie wywiadu. – Evans odwrócił się i wyszedł.

Długi lincoln przesuwiał się powoli na północ Dosoris Lane. ^S;Było prawie ciemno i większość samochodów miała już włączone |p; rams, więc i on został w to wmieszany. jgA; – Jak nikt inny potrafisz zmieniać prawdę, me zmieniając fak:;,TOW – powiedział Androw. – Ale to teraz nieważne. Domyślam |'w^» że ta próba porwania nie udała się, ponieważ pan Abrams

365

zjawił się dziś wieczorem u nas. A panna Kimberły jest na przyjęciu.

Thorpe poczuł, że się poci, choć w pokoju działała klimatyzacja. Przełknął ślinę i zwrócił się do Kimberly'ego:

–Oczywiście nie miałem pojęcia, że pan...

–O wielu rzeczach nie miał pan pojęcia, panie Thorpe – przeciął krótko Androw. Odetchnął z rozdrażnieniem, a potem odezwał się spokojniejszym tonem: – Zdajesz sobie sprawę, Peter, że ani politycznie, ani osobiście nie jesteś związany z socjalizmem.

W głębi serca jesteś indywidualistą. Jesteś też idiotą, ponieważ pomagasz zniszczyć system, który cię spłodził, a jest to jedyny system, w ramach którego potrafisz żyć. W systemie, który pomagasz stworzyć, nie będziesz w stanie przeżyć.

Thorpe przypomniał sobie ostrzeżenie, które dał mu przed śmiercią O'Brien. I oczywiście przepowiednię Westa na temat jego przyszłości. Jak zwykle obaj mieli rację.

Androw usiadł wygodnie z rękami założonymi na brzuchu.

–Ale to ty zabiłeś Patricka O'Briena. To była najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś. Być może pozwolimy ci dalej żyć, jeśli wymyślimy, w czym możesz nam być pomocny.

–Czy James Allerton to drugi Talbot? – zapytał Peter, ignorując groźbę.

–Tak. I masz szczęście, że ma dla ciebie wiele sympatii, choć nie jesteś zbyt dobrym synem. Ma teraz do ciebie żal. Nie posłałeś mu życzeń z okazji Dnia Ojca. – Androw zaśmiał się. – Widzisz, jak takie drobiazgi potrafią się mścić? Za cenę kartki z życzeniami mógłbyś zyskać prawo do ochrony.

Thorpe wiedział, że Androw żartuje, i zrozumiał, że nie grozi mu już wyrok śmierci.

Rozluźnił się i zapytał:

–Gdzie jest mój ojciec?

–W Camp David na wakacjach – odpowiedział Rosjanin. – Przed świtem będzie mógł przekazać prezydentowi ciekawe wiadomości. – Sięgnął dłonią pod konsolę i wyciągnął skórzaną teczkę. – A teraz przejdźmy do następnego punktu na mojej liście.

Zgodnie z tym, co twierdzi pan Thorpe, to twoja własność. – Zwrócił się do majora Kimberl/ego.

Kimberly wpatrywał się w starą, zniszczoną teczkę, ale nic nie powiedział. Andrew sięgnął do środka i wyciągnął plik papierów. Wręczył je Henry'emu, który zaczął je przeglądać. Wszystko to były listy pisane na specjalnej, używanej w czasie wojny papeterii, na lichym papierze, który można było składać w koperty.

es wypisał ktoś dorosły, ale kiedy odwrócił stronę zobaczył rieczącą bazgraninę Anny. Były tam rysunki – serca, kwiaty, fiarfd ludzi i krzyżyki oznaczające pocałunki. Przeczytał kilka CZypadkowych linijek. Kiedy wygrasz wojnę i wrócisz do domu? 'ocham cię Tatusiu, x x x x Anna.

K – Skąd to masz? |fe. Androw wręczył Kimberl/emu trzy złożone, sztywne fotokopie. ste – To wszystko wyjaśni. / Kimberły rozłożył arkusze i zobaczył nagłówek: litijLady Eleonor Wingate, Brompton/Hall, Tongate, Kent". Pod ^•iówkiem zaczynał się; rękopis: „Droga panno Kimberły. Do isania tego listu skłonił mnie osobliwy, a być może fatalny tutkach wypadek". Przestał czytać i zapatrzył się w jakiś nieEtślony punkt w przestrzeni. teWkrótce po moim przybyciu do Moskwy powiedziano mi,

"yioa nigdy nie pytał o nikogo z przeszłości – powiedział. – Poybrieli, że tak będzie dla mnie łatwiej, że jeśli ja dla nich umar|,t)(»ni muszą umrzeć dla mnie. – Uśmiechnął się nieznacznie. – j-oku składali mi jednak krótki raport na temat moich córek. ^t z upływem czasu straciłem oczywiście zainteresowanie naUsi ich losu, umarli bardzo szybko tracą zainteresowanie dla ' żyjących. – Spojrzał na Androwa. – Ostatni miesiąc odył wiele wspomnień. Oczywiście nie wiedziałem, że Eleanor eżyje. jiJuż nie – powiedział Androw bez ogródek. |Straciła życie w pożarze, który strawił Brompton Hali.

"uabery rozejrzał się po pokoju i popatrzył w twarze Rosjan, Bh oczy, podobnie jak jego własne, nie wyrażały żadnych !. Pochylił głowę nad listem i czytał dalej. Kiedy skończył, t go i podał Androwowi. | Gdzie jest pamiętnik? – zapytał. gLYitaj, w tej teczce. |Mogę go przejrzeć? || Oczywiście. Ale najpierw pozwól mi, proszę, zadać pytanie. ^laniętasz tego angielskiego oficera, Carbur/ego? py'3Pak. Randolph Carbury został przydzielony do sekcji ralipkiej. Kontrwywiad. Brał udział w przygotowaniach 0'Brie|ti(0peracji Wolfbane. W rzeczywistości szukał mnie. Itk naprawdę, Henry, ani 0'Brien, ani Carbury nigdy nie •Stali cię szukać. Swoim uporem zgotowali sobie ten sam los IN samej ręki. – Wskazał głową w stronę Thorpe'a. ^ 367 – Oczywiście czuję ulgę na myśl o tym, że obaj nie żyją – powiedział Kimberiy. – Ale jestem ciekaw, jak to się dzieje, że w tej grze pionki zaczynają zabijać królów. – Spojrzał wymownie na Thorpe'a.

–Tak. Czasami sam się nad tym zastanawiam. – Androw wyciągnął pamiętnik z teczki i podał go Kimberly'emu.

Major przyjrzał się okładce, otworzył pamiętnik i przekartkował poźółkle strony. Przez jego usta przewinął się lekki uśmiech.

–To zręczne fałszerstwo – powiedział Androw.

–Czyja to robota? – zapytał Kimberiy, zamykając pamiętnik.

–Zdaje się, że kogoś z BSS. – Androw wzruszył ramionami. – Zrobione całkiem niedawno. Czuć w tym rękę O'Briena. Czy naprawdę pisałeś pamiętnik? – zapytał.

–Tak. I to w tym samym pokoju, ale to nie ten. – O'Brien miał pecha, że ze wszystkich nieżyjących członków BSS, którym mógł przypisać ten fałszywy pamiętnik, wybrał samego Talbota.

–Miał do mnie zaufanie – odpowiedział Kimberiy. – To był jeden z jego nielicznych błędów. Myślałem czasami, że posiada nadprzyrodzoną moc, ale był tylko człowiekiem. – I to śmiertelnym – dodał Androw. Kimberiy skinął głową. – Bo koniec końców, cóż takiego osiągnął dzięki całej tej swojej przebiegłości? Wybrał sobie złego autora pamiętnika, a my nie popadliśmy w histerię i nie zdradziliśmy się. Stracił wielu ludzi i sam zginął, podczas gdy nam udało się zachować w sekrecie tożsamość trzech Talbotów. To prawda, że zmusił nas do przyspieszenia działania, ale tym lepiej. Tak, stara gwardia z BSS przegrała ostatnią i decydującą rundę w walce z KGB.

Tony Abrams stał przy dużym oknie w gabinecie George'a Van Doma i obserwował rozkręcające się na dobre przyjęcie. Zauważył na trawniku Katherine rozmawiającą z jakimś mężczyzną i poczuł nie znane mu dotąd uczucie zazdrości. Katherine w końcu odeszła i przyłączyła się do dwóch starszych kobiet siedzących na ławce. Abrams odwrócił się od okna. Podeszedł do sąsiadującej z oszklonymi drzwiami ściany i przyjrzał się wiszącym na niej

368

starym fotografiom w ramkach. Zauważył zbiorowe zdjęcie: dwunastu mężczyzn w brązowych, letnich mundurach. Rozpoznał na nim ciężką, górującą nad innymi sylwetkę Van Doma. W prawym końcu grupy stał Patrick O'Brien, wtedy jeszcze prawie chłopiec. Jego dłoń spoczywała na barku Henry'ego Kimberly'ego.

Marc Pembroke nalał sobie kolejnego drinka i spojrzał znad baru.

–Nic nie pokazuje życia w takiej perspektywie jak stare fotografie.

–Oprócz spotkania oko w oko ze śmiercią – powiedział Abrams.

Podeszedł do następnego zdjęcia przedstawiającego trzech mężczyzn w furażerkach. Znowu widać było Jamesa Allertona wyglądającego sztywnie nawet w roboczym mundurze. Obok stał Kimberiy, który bardziej niż na poprzednim zdjęciu przypominał tutaj znużonego weterana, a dalej trzeci, znajomy skądś mężczyzna.

Abrams przyjrzał się uważnie jego twarzy. Był pewien, że to ktoś powszechnie znany, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go widział. Pembroke przerwał jego skupienie:

–Byliśmy berbeciami, gdy to wszystko się działo. Pamiętam jednak spadające bomby. Zamieszkaliśmy z ciotką na wsi, kiedy nas ewakuowano z Londynu. A ty masz jakieś wspomnienia?

Abrams spojrzał przez ramię.

–Kilka. Ale nie tak wyraźne jak twoje.

Rzucił okiem na pozostałe zdjęcia. Niektóre z nich opatrzone były podpisami. Na jednym widać było ojca Toma Grenville'a pozującego obok Ho Szi Mina. Kilka stóp dalej, po lewej stronie, wisiała prawdopodobnie ręcznie barwiona fotografia, a na niej niski, śniady mężczyzna o czarnych oczach, ubrany w kolorowy strój ludowy. Podpis głosił, że jest to hrabia Ilie Lepescu. Abrams nie zauważył rodzinnego podobieństwa,

ale pomyślał, że to pewnie dziadek Claudii. Były tam też opatrzone autografami portrety ówczesnych przywódców, na przykład Eisenhowera, Allena Dullesa i generała Donovanana. Poniżej wisiało nieco niewyraźne zdjęcie siedzącego w jeepie mężczyzny, jak przeczytał Abrams – kapitana BSS, Johna Bircha. Zdał sobie sprawę, że to od jego nazwiska pochodzi nazwa jednej z prawicowych organizacji. Na niektórych zdjęciach widać było hołotę z jednostek ruchu oporu, poczynając od ciemnych mieszkańców południa upozowanych pomiędzy klasycznymi ruinami, a kończąc na jasnych nordykach obojga płci na tle padającego śniegu. W jakiś nieokreślony sposób wygląd ich wszystkich nosił znamiona niewinności graniczącej

z naiwnością. Pomyślał, że to może w ich oczach widać było tę jedność celu i czystości ducha, o którą teraz było tak trudno.

Marc usiadł w skórzanym fotelu i obserwował Abramsa.

–Wyglądasz dość sztywnie w moim letnim garniturze.

–Czy to strój z cyrku? – zapytał Tony, nie przerywając oglądania.

–To egipski len, Abrams. Zamówiłem go w Hongkongu u krawca Charlie Chana – zachnął się Pembroke. – W każdym razie na mnie wygląda dużo lepiej.

–Nie chciałem być niewdzięczny.

–Czy sandały pasują? Bandaż nie przeszkadza? – spytał udobruchany Marc.

–Wszystko w porządku.

Pembroke oczyścił i opatrzył głębokie nacięcie w stopie Abramsa. Zrobił to z obojętnością właściwą lekarzom, żołnierzom, policjantom i innym, którym nieobce są nieszczęścia nękające ludzkie ciało.

–Rany stóp wymagają leczenia antybiotykami – stwierdził Anglik. – Zobaczę, co George tu ma.

Abrams odwrócił się od zdjęć i powiedział:

–Tylko skończony hipochondryk może jednocześnie martwić się wybuchem nuklearnym i zakażeniem stopy.

–A jednak myjemy się i golimy, nawet w wieczór przed bitwą – uśmiechnął się Pembroke. – Jesteśmy istotami, które w swoim postępowaniu kierują się nawykami i nieskończonym optymizmem.

–Zgadza się.

Uwagę Tony'ego przykuła twarz z jednego ze zdjęć z oficjalnie upozowaną grupą umundurowanych mężczyzn. Rozpoznał Arnolda Brina prezentującego się dużo lepiej niż wtedy, gdy widział go po raz ostatni. Brin nosił mundur oficera, a nie sierżanta. Abrams już dawniej doszedł do wniosku, że ci ludzie nie przywiązywali żadnej wagi do nazwisk, rang czy zawodów. Szukał zdjęcia Carbury'ego, ale nie znalazł żadnego, choć zauważył dużą fotografię rezydencji, pod którą widniał napis Brompton Hali. Po jej lewej stronie wisiał artystyczny portret pięknej, młodej kobiety o ciemnych

włosach i rozmarzonych oczach.

–Czy to Eleanor Wingate?

Pembroke podniósł wzrok znad czasopisma.

–Och, zdaje się, że tak. Tak, obok zdjęcia Brompton Hali.

Szkoda. Ładny dom.

–Tak.

Abrams przesunął się w prawo i spojrzał na długą, oprawioną w srebro fotografię przedstawiającą scenę z bankietu, która na pierwszy rzut oka przypominała mu Ostatnią Wieczerzę. Po bliższym przyjrzeniu się rozpoznał mundury radzieckich oficerów pomiędzy amerykańskimi. Była to celebracja zwycięstwa. Wśród świętujących widać było George'a Van Doma, którego poklepywał po plecach szczerzący zęby radziecki oficer. Van Dom nie wyglądał na szczególnie zadowolonego. Abrams pomyślał, że to dziwne, jak wiernie może czasami zdjęcie oddać atmosferę czasu i miejsca wraz z prognozą na przyszłość.

–Doszedłeś już do przodków tego drania? – zapytał Marc, odkładając czasopismo. – Spójrz w prawo, na poziomie twoich oczu.

W odpowiedniej, czarnej ramce.

Abrams zauważył lekko prześwieconą odbitkę przedstawiającą kadłub dużego samolotu. Dwunastu spadochroniarzy, ośmiu mężczyzn i cztery kobiety, stało lub klęczało do zdjęcia, które mogło być, i prawdopodobnie było, ich przedostatnią fotografią.

Po raz ostatni zostali sfotografowani przez metodyczne gestapo przed egzekucją. Wśród nazwisk pod zdjęciem widniały też:

Joannę Broule i Peter Thorpe.

Abrams przyjrzał się uważnie matce Thorpe'a, imponującej blondynce dorównującej wzrostem otaczającym ją mężczyznom.

Miała zgrabną figurę, której nie mógł ukryć nawet spadochronowy kombinezon. Ojciec Thorpe'a, toż jasnowłosy, był przystojnym, choć według Abramsa, nieco wyniosłym mężczyzną.

–No tak – powiedział – przystojna para.

–Tak czy owak, gdyby nie zdejmowali portek, oszczędziliby światu wielu zmartwień.

–Amen.

Tony przyjrzał się szybko pozostałym fotografiom, rozpoznając znane mu skądś twarze. Być może byli to ludzie, którzy przychodzili do biura, a może pamiętał ich z obiadu w Arsenale. Zdał sobie sprawę, że niektórych z nich widział kilka minut temu,

znacznie już teraz starszych, spacerujących na zewnątrz w cieniu.

Pembroke przerwał jego rozmyślenia.

–W jaki sposób nawiązałeś kontakt z tą grupą?

–Znalazłem ogłoszenie w „Timesie”.

Abrams podszedł do biurka, na którym postawił szklanę czystej szkockiej. Napił się szybko i wziął kanapkę z tacy.

–Siekana wątróbka z drobiu.

–Nie. Pasztet.

–Jak mawiano w latach czterdziestych, nieważna nazwa, skoro wyrób nic niewart. –
Uśmiechnął się i zjadł wątróbkę na grzance.

Pembroke spojrział na zegarek i wstał.

–Jesteś już na miejscu i w takim razie życzę ci powodzenia.

Wyciągnął rękę i Abrams uściśnął ją mocno.

–Zostaniesz tu do końca przyjęcia? – zapytał.

–A powinienem?

–Być może, choć nie ode mnie zależy dalszy bieg wydarzeń – odpowiedział Tony.

–Będę w pobliżu. I zadbaj o swoją stopę. Nie powinieneś liczyć na to, że wybuch nastąpi, zanim przyplącze się zakażenie.

Odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi, które w tej właśnie chwili otworzyły się, i do gabinetu weszła Katherine Kimberly.

Uśmiechnęli się i pozdrowili skinięciem głowy. Pembroke wyszedł, a Katherine postąpiła kilka kroków. Abrams odstawił drinka i podszedł do niej, a ona rzuciła się w jego ramiona. Objęli się i Katherine podniosła w górę wzrok. Wyrzuciła z siebie potok słów:

–Dobrze się czujesz? George właśnie mi powiedział, że tutaj jesteś.

–Wszystko w porządku. Z wyjątkiem tego garnituru i sandałów.

–To nie twój styl.

–Podobnie jak smoking. Co się ze mną dzieje?

Przytuliła go mocno.

–Najważniejsze, że jesteś tutaj. – Dotknęła skaleczenia na jego policzku. – Co się tam działo?

–Będziesz tutaj, gdy będę składał raport Van Domowi? – spytał po chwili.

–Zaraz przyjdzie. Poczekam.

Podszedł do baru.

–Szkocka, zgadza się?

–Nie mam ochoty na drinka.

Mimo to nalał jej whisky z lodem i postawił na stoliku do kawy, a potem usiadł na brzegu sofy. Ujął jej rękę i przyciągnął ją do siebie. Przyjrzała mu się uważnie.

–O co chodzi? Co się dzieje, Tony? Czy chodzi o Pata O'Briena? Nie żyje, prawda? Możesz mi powiedzieć. Nie jestem dzieckiem.

Zobaczył, jak w jej oczach wzbierają łzy. Nie był pewien, która wiadomość będzie gorsza: czy ta, że Patrick O'Brien zaginął, czy ta, że jej ojciec się odnalazł.

–Samolot O'Briena roztrzaskał się w niedzielę w nocy – powiedział. – Nie odnaleziono jego ciała. Można przyjąć, że zaginął albo został porwany. – Pokiwała powoli głową, ale zanim była w stanie wykrztusić słowo, Abrams szybko dodał: – Gdy byłem w radzieckiej rezydencji, oddaliłem się na własną rękę i niespodziewanie stanąłem twarzą w twarz z Henrym Kimberlym.

Katherine spoglądała na niego, ocierając oczy chusteczką, i zdawało się, że nie rozumie jego słów.

–Spotkałem twojego ojca. On żyje – dodał.

Wydawało się, że ciągle nie przyjmuje tego do wiadomości.

Potrząsnęła nagle głową i wstała. Abrams też się podniósł i ujął ją za ramiona. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy i w końcu Katherine skinęła głową.

–Zrozumiałaś?

Nic nie mówiąc, skinęła szybko jeszcze raz. Była bardzo blada. Posadził ją z powrotem na sofie i podał jej szkocką. Wypiła dość dużo i odetchnęła głęboko.

–Odyseusz.

–Tak, wojownik powrócił – odpowiedział Abrams. – Dotknął ręką jej policzka. – Dobrze się czujesz?

–Tak, tak. – Patrzyła mu w oczy. – Wiedziałeś, prawda? Staraleś się mnie ostrzec... i chyba zrozumiałam, co chciałeś powiedzieć, więc to nie jest zupełny szok.

–To były tylko podejrzenia. Teraz mam pewność.

–Rozpoznałeś go? – Ujęła jego dłoń w obie ręce.

–Oczy Kimberlych.

Uśmiechnęła się słabo w odpowiedzi, pomyślała chwilę i zapytała:

–Mój Boże, och, mój Boże, Tony, co to znaczy?

–Nie wiem, ale nie zapowiada to niczego dobrego, prawda?

–Nie. Nie, to brzmi groźnie i złowieszczo. – Ścisnęła mocno jego dłoń.

Abrams pokiwał głową. Obecność Kimberly'ego należało potraktować jako sygnał do ostatecznego odliczania. A jeśli było prawdą, że piwnica radzieckiej rezydencji jest pełna ludzi, to nie było wątpliwości, że włączono już wszystkie systemy.

W pokoju na poddaszu panował spokój. Thorpe słyszał niskie brzęczenie elektronicznych konsoli i czuł, jak wibracje urządzeń przenoszą się na podłogę. Ten duży, przestronny pokój przypominał mu jego własne poddasze w Lombardy, gdzie zresztą wolałby się w tej chwili znajdować. To miejsce miało w sobie jednak więcej wyrafinowania. Było to w końcu osławione radzieckie centrum szpiegowskie na całą Amerykę Północną, przedmiot zainteresowania prasy, temat debat w Kongresie i telewizyjnych programów dokumentalnych. Chronił je także immunitet dyplomatyczny, czego nie można było powiedzieć o jego skromnym biurze. Poza tym, jego pokój na poddaszu musiał służyć jednocześnie za centrum łączności i miejsce przesłuchań, co nie zawsze było wygodne. Do brudnej roboty Rosjanie mieli piwnicę. Ładny, duży dom na przedmieściach miał przewagę nad mieszkaniem w mieście.

Te myśli wywołały na jego ustach ponury uśmiech. Spojrzał na zegarek. Czterej Rosjanie wyszli, żeby postawić ludzi i wszystkie systemy w stan alarmu, i jeszcze nie wrócili. Odwrócił się od okna i zobaczył, że oficer łącznościowy przechadza się wzdłuż konsoli, wpisując co chwilę nowe dane do książki raportowej. Kimberly siedział w pobliżu, ale nie zwracał uwagi na Thorpe'a, czytając rosyjską gazetę przy słabym świetle padającym z komputerowego monitora.

Peter przyglądał mu się. Najwyraźniej coś było z nim nie w porządku. Thorpe zdawał sobie sprawę, że szczególne cechy jego własnego umysłu są wrodzone. Był pewien, że osobliwość charakteru Kimberly'ego nie była wrodzona, lecz nabyta. Przyszło mu do głowy stare określenie: pranie mózgu. Ale to musiało być coś więcej. Czterdzieści lat, pomyślał. Wyprano mu nie tylko umysł, ale też serce i duszę. Choć pewnie nie wyrządzili mu więcej krzywdy niż pozostałym dwustu siedemdziesięciu milionom radzieckich obywateli; po prostu kazali mu tam żyć. Thorpe przypomniał sobie swoje dwie krótkie, tajne podróże do Związku Radzieckiego. Spacerując ulicami Moskwy, odniósł wrażenie, że jedna połowa jej mieszkańców udaje się na pogrzeb, a druga z niego wraca. Patrząc na Kimberly'ego, zastanawiał się, w jaki sposób Rosjanie zamierzają przedstawić tego mężczyznę bez życia amerykańskiej opinii publicznej jako nowego przywódcę; jego sposób mówienia, jego ruchy, wyraz jego twarzy, cała jego postać przypominała Thorpe'owi kogoś z innej planety chcącego ucho³⁷⁴ dzić za Ziemianina. Nie miał wątpliwości, że KGB informowało Kimberly'ego na bieżąco o wydarzeniach z amerykańskiego życia, ale jednak Seminarium Amerykańskie przy Prospekcje Kutuzowa było tylko nędzną namiastką rzeczywistości.

Kimberly wyczuł skierowany na siebie wzrok Petera i podniósł oczy znad gazety.

Thorpe zawahał się, ale jednak zapytał:

–Czy to ty wysłałeś moich rodziców na śmierć, czy też był to James, a może jeszcze ktoś inny?

Wydawało się, że Kimberły nie jest ani zdziwiony, ani urażony tym pytaniem.

–Tb byłem ja – odpowiedział. – Jeden z agentów skaczących razem z nimi był komunistą. Jednym z moich ludzi. Kiedy znalazł się już na ziemi, przekazał anonimową wiadomość ludziom z gestapo. W rezultacie cała dwunastka biorąca udział w skoku została aresztowana i rozstrzelana. Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

–Nie jestem pewien.

–Jesteś ostatnią osobą, która mogłaby osądzać moje postępowanie z etycznego punktu widzenia albo wydawać jakiegokolwiek sądy moralne.

–Nie wydaję sądu. Po prostu chciałem wiedzieć. – Znowu się zawahał, a potem dodał: – James i pozostali wyrażali się o nich dobrze – spojrział na Kimberli/ego, który wzruszył ramionami.

–De mortuis nil nisi bene. Zmarłych należy wspominać tylko dobrze. Ale jeśli chodzi ci o prawdę, a na to wygląda, to twoja matka była francuską dziwką, a ojciec pompatycznym, zepsutym dyletantem.

–Trudno tak myśleć o ludziach, którzy na ochotnika zdecydowali się zeskoczyć na terytorium wroga – odpowiedział Thorpe.

–Ich motywacje były pewnie równie niejasne jak twoje. To chyba dziedziczne.

Peter powstrzymał się od odpowiedzi i wyciągnął papierosa.

Kimberły długo milczał, a potem zapytał:

–Jak ona wygląda? Czy wspomina mnie czasami?

Thorpe dostrzegł w tych pytaniach możliwość ratunku.

–Właściwie to kawał z niej suki. Zdaje się, że ma to po matce.

No, ale oczywiście wspomina od czasu do czasu swojego zmarłego bohaterskiego ojca. – Po chwili dodał: – Jeszcze do niedawna byliśmy ze sobą w bliskim związku, bez względu na to, co mógł pan na ten temat usłyszeć.

Sam był zdumiony tym, co myślał i mówił. Przyszło mu do głowy, że to pewnie z

powodu szoku na wieść o tym, że Ameryka

jest skończona i on pewnie też. Nie było w nim skruchy z powodu tego, co zrobił, był tylko wściekły na siebie, że źle zagrał. Kimberly uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

–Mogę też powiedzieć panu parę słów na temat Anny. Znam ją. I mogę odpowiedzieć na inne pytania, które być może będzie pan chciał postawić w ciągu następnych kilku miesięcy.

–Ktoś kiedyś napisał, że prawdziwy geniusz to ten, kto potrafi stworzyć dla siebie zajęcie. A więc Thorpe, zdaje się, że może być z ciebie całkiem znośny doradca prezydenta. A może nawet nadworny błazen w Białym Domu.

Thorpe'owi drgnęły powieki, ale udało mu się nad sobą zapanować. Kimberly przechylił się do tyłu.

–Zanim tu wszedłeś, zastanawialiśmy się nad losem Katherine. Jest teraz w sąsiedztwie.

–Wiem o tym.

–Czy także o tym, że oni wszyscy zostali otruci i za kilka godzin zaczną umierać? Jest jeszcze czas, żeby ją uratować. Chcesz ją?

–A pan? – Thorpe znowu miał uczucie, że spaceruje po polu minowym.

Twarz Henry'ego przybrała nieobecny wyraz, podczas gdy głośno snuł swoje rozważania:

–Są chwile, kiedy wydaje mi się, że chciałbym znowu zobaczyć wszystkich razem: rodzinę i przyjaciół. Innym razem wolałbym wymazać przeszłość... – Spojrzał na Thorpe'a. – Wiedziałeś, że ożeniłem się tam z rosyjską dziewczyną? Oczywiście jeszcze żyje. Trudno powiedzieć, żeby miała prezencję pierwszej damy.

Mam dwóch synów, jeden z nich jest pułkownikiem w KGB. Nie sądzisz, że to niezły pomysł, żeby zniszczyć amerykańską linię Kimberlých? To umocniłoby moją nową rodzinę.

Zanim Peter zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wkroczył Michaił Karpienko, a za nim Androw i Walentin Mietków. Nie było z nimi Kalina i Thorpe nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Karpienko poszedł szybko w odległy koniec pokoju i zamienił kilka słów z oficerem łącznościowym. Wziął od niego arkusz papieru, wrócił do czekającej grupy i odczytał treść meldunku:

–Attache do spraw kulturalnych Gordik przylatuje na lotnisko Kenned/ego o ósmej czterdzieści osiem wieczorem, waszego czasu. Przyjedzie do Glen Cove wynajętym pojazdem. Przyjmijcie go ze zwykłą uprzejmością.

–Osobiście przekaze wiadomość. Najwyraźniej Moskwa nie zaryzykuje przesłuchania informacji, która mogłaby zostać rozszy376 frowana przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego – powiedział Androw i spojrzął na zegarek. – Gordik będzie tu lada chwila. Przywiezie ostatnie rozkazy obowiązujące aż do chwili, gdy nastąpi Uderzenie. – Ruszył w drugi koniec poddasza. – Proszę za mną.

Mietków, Karpienko, Kimberły i Thorpe poszli za nim. Androw skręcił w tę stronę poddasza, która rozciągała się nad dalszą częścią domu. Przekręcił włącznik i całe pomieszczenie rozbłysło jasnym, oślepiającym światłem. Zobaczyli elegancko urządzony gabinet, a w nim biurko z orzechowego drewna, półki z książkami, marmurowy kominek i okno w ołowianych ramach umieszczone w szczycie dachu. Ponad kominkiem wisiała duża flaga amerykańska. Wzrok Thorpe'a przyzwyczał się do światła. Zauważył kamery telewizyjne i mikrofony. Było to studio telewizyjne.

–Z tego miejsca twój głos i twój wizerunek zostaną przesłane w świat drogą satelitarną na wszystkich radiowych i telewizyjnych pasmach i częstotliwościach – powiedział Androw do Kamberly'ego. Wskazał mu miejsce w skórzanym fotelu za biurkiem. – Rozgość się, proszę.

Tamten przeszedł za biurko i usiadł w fotelu z wysokim oparciem. Przyjrzał się otoczeniu.

–To rzeczywiście wygląda na miejsce, z którego przemawia głos władzy – skomentował.

–Cały ten wystrój został zaprojektowany w Moskwie, przez Czwartą Sekcję Specjalną. Ma wyrażać godność, spokój, władzę i kontrolę.

Kimberły zauważył obok na ścianie przezroczystą torbę z ubraniami.

–Czy to mam na siebie włożyć?

–Tak. To także ich pomysł. Wybrali szaroniebieski, trzyczęściowy garnitur w drobne prążki. Będziesz wyglądał jak jeden z ludzi z Departamentu Stanu – stwierdził Androw.

–Co o tym myślisz, Peter? – zapytał Kimberły.

–Amerykanie wierzą we wszystko, co zobaczą w telewizji – odpowiedział Thorpe.

–Mówiono mi o tym – zaśmiał się Kimberły i zwrócił się do Karpienki: – Ilu ludzi

będzie mnie oglądać?

–Według naszych obliczeń dostęp do nadal działających odbiorników radiowych i telewizyjnych będzie miało jakieś osiemdziesiąt procent ludności. Rozumie pan, majorze, że tylko te odbiorniki, które będą włączone w czasie Uderzenia, przyjmą na siebie impuls elektromagnetyczny i zostaną zniszczone? –

Kimberly skinął głową. Karpieńko ciągnął: -Ale nie będą działały żadne stacje radiowe ani telewizyjne. Nie pomogą dodatkowe źródła zasilania, ponieważ stacje te nie zostaną dotknięte zwykłą przerwą w dopływie prądu, lecz katastroficznych rozmiarów falą energii, której siłę można porównać do jednoczesnego uderzenia dziesięciu milionów piorunów. Jediną czynną stacją w Ameryce, południowej Kanadzie czy północnym Meksyku będzie właśnie ta. Tutaj, w tym pokoju. A jedynym głosem, który będzie można usłyszeć, będzie pański głos, majorze.

-Czy zacznę przemawiać natychmiast po burzy elektromagnetycznej? – zapytał.

-Kiedy tylko ujrzymy rozświetlone niebo – odpowiedział Karpieńko. – Przez kilka pierwszych godzin będzie pan okresowo pojawiał się na ekranach jako major Henry Kimberly i prosił ludzi o zachowanie spokoju. Niech każdy wyciąga takie wnioski, jakie chce, aż nadejdzie czas, aby przedstawić się im jako ich nowy przywódca. Czy ma pan jakieś pytania do...

Thorpe przerwał mu w pół zdania:

-Przepraszam, że się wtrączę. Ale czy ktoś tutaj kiedykolwiek słyszał o wojnie termonuklearnej?

-Twój sarkazm jest całkowicie nieuzasadniony, ponieważ rząd amerykański nie będzie wcale wiedział, jak się to wszystko stało – wyjaśnił Andrew. – Nawet jeśli zrozumieją, że była to burza elektromagnetyczna, nie będą wcale pewni, czy to Związek Radziecki ją spowodował. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie większość aparatu władzy w tym kraju, dowodzenie, kontrola, łączność i siatki wywiadowcze, nie jest jeszcze chroniona przed IEM. Ameryka będzie ogłuszona, oniemiała i oślepiona.

-Ale nawet głuchy, niemy i ślepy może nacisnąć guzik odpalający rakiety – powiedział Thorpe.

-Tak, ale weź pod uwagę trzy ważne czynniki: po pierwsze, prezydent będzie w Camp David z twoim ojcem; po drugie, mała, czarna skrzynka prezydenta będzie bezużyteczna; po trzecie, Ameryka nie posiada rakiet, bombowców, okrętów wojennych i myśliwców odpornych na działanie IEM. Jakiegokolwiek amerykańskie uderzenie nuklearne zostanie poważnie osłabione. A nasze straty będzie można zaakceptować.

-Moskwa jest przygotowana na każdą ewentualność – odezwał się Henry Kimberly.
- Nie mówmy więc o wojnie, ale o zwycięstwie bez wojny.

Po prostu tak, pomyślał Peter. Dwieście lat historii narodu i nie padnie nawet jeden strzał.

–Wiele zależy od Jamesa Allertona – powiedział Androw. – Kiedy poinformuje prezydenta i jego doradców o beznadziejności sytuacji i oficjalnie zażąda od Stanów Zjednoczonych poddania się, w Camp David zapanuje zapewne histeria. Mogą go zastrzelić na miejscu. Jest jednak na szczęście doświadczonym dyplomatą i jeśli uda mu się doprowadzić do tego, żeby chłodniejsze głowy wzięły sprawy w swoje ręce, będzie to jego koronne zwycięstwo.

Posługując się perswazją i groźbą, będzie musiał przekonać prezydenta, że kapitulacja jest jedynym wyjściem, dzięki któremu można jeszcze powstrzymać nuklearną zagładę.

–Ostatnim zadaniem prezydenta ~ wtrącił Mietków – będzie odczytanie krótkiego, przygotowanego uprzednio oświadczenia do narodu amerykańskiego ogłaszającego „traktat pokojowy” pomiędzy Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi. Ogłosi on też swoją rezygnację z urzędu prezydenckiego. Od tej chwili nikt go więcej nie usłyszy.

Androw wszedł do studia, minął biurko, za którym siedział Kimberly, i zatrzymał się przed kominkiem. Przez chwilę przyglądał się amerykańskiej fladze, a potem sięgnął ręką i ujął jej brzeg, pocierając ją między palcami, jak gdyby był rozważającym zakup handlarzem tekstyliów. Zapadła długa cisza.

–Nigdy nie bylibyśmy w stanie pokonać ich militarnie – powiedział w końcu Androw. – Ale dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu, w całej skomplikowanej strukturze ich wojskowego systemu powstała mała luka. Gdy spostrzegli to, starali się ją zlikwidować. My też to zauważyliśmy i pośpiesznie wykorzystaliśmy. Dopieliśmy swego pierwsi, oni się spóźnili. I proszę bardzo: wojny gwiazdne, protony i neutrony, promienie laserowe i zabójcze satelity. Nie bylibyśmy w stanie im dorównać.

Ale na swojej drodze do gwiazd zapomnieli zamknąć to jedno jedyne otwarte okno, przez które mógł paść cios. A nam udało się przez nie wskoczyć.

Katherine usiadła z podkurczonymi nogami na sofie, wpatrując się w sufit. Abrams spacerował niecierpliwie po gabinecie, spoglądając od czasu do czasu to na nią, to na zegarek. Za379 stanawiał się, co zatrzymuje Van Doma. Na biurku zadzwonił telefon i ktoś w innej części domu odebrał go. Zabrzęczał jeszcze raz i Abrams szybko podniósł słuchawkę.

–Tony Abrams.

–O co chodzi, Tony?

–Spinelli? Dostałeś moją wiadomość?

–Nie. Tak sobie tylko wykręciłem przypadkowy numer.

–Gdzie jesteś?

–Tam, skąd prosiłeś, żebym dzwonił. U siebie w pokoju. Przejechałem całą tę pieprzoną drogę z Jersey, w wolny od pracy dzień, żeby się z tobą połączyć z tego właśnie telefonu. A teraz gadaj, po co tu jestem.

–Zaraz do tego dojdę. Słuchaj, co widzisz z okna?

–Poczekaj.

Abrams usłyszał grzechot żaluzji. Spojrzał na Katherine i zmusił się do bladego uśmiechu. Po chwili Spinelli odezwał się:

–Niech mnie diabli, Abrams. Wiedziałeś, że siedziba Radzieckiej Delegacji przy ONZ znajduje się dokładnie po drugiej stronie ulicy od strony Dziewiętnastej Przecznicy? Nigdy tego nie zauważyłem.

Abrams zignorował zły humor w głosie kolegi.

–Widzisz tam jakieś autobusy?

–Tylko jeden szary autobus. – Żadnych mikrobusów?

–Albo są w garażu, albo jeszcze nie przyjechały z Glen Cove.

Abrams wywołał z pamięci obraz dwunastopiętrowego, zbudowanego z jasnej cegły budynku przy Wschodniej Sześćdziesiątej Siódmej, w którym oprócz biur Radzieckiej Delegacji mieściły się apartamenty jej całego personelu.

–Widzisz tam coś trefnego? – zapytał.

–Słuchaj, Abrams, śledzenie Rosjan to twoja działka, a nie moja.

–Udawaj w takim razie, że jesteś taki bystry jak ja. Co widzisz?

Spinelli wyjrzał przez okno mieszczącego się na drugim piętrze pokoju policyjnego.

–Wszystko w porządku. Ulica jest względnie spokojna. Kilku przechodniów. W budce policyjnej stoi ktoś na warcie. Trzy radiowozy zaparkowane na chodniku. Rutyna. Zupełna cisza.

Tony wyobraził sobie znajomą scenerię: ulicę zabudowaną częściowo rezydencjami, radziecki budynek z osłonami z cementu,

groźnie wyglądającym ogrodzeniem z przodu i trzema obserwującymi ulicę kamerami telewizyjnymi. Dokładnie po drugiej stronie ulicy znajdował się budynek straży ogniowej i zaczynała się Dziewiętnasta Przecznicza, przy której Abrams pracował dla Czerwonego Szwadronu. Znał każdą piędź ziemi na odcinku pomiędzy Trzecią Aleją i Aleją Lexington. Pamiętał życie na tej ulicy lepiej niż okolice swego mieszkania.

–Jak wygląda budynek? – zapytał.

–Drzwi garażu są zamknięte, tak samo drzwi wejściowe. Na pierwszych trzech piętrach jest ciemno. Piętra mieszkalne są całkiem dobrze oświetlone, żaluzje zasunięte, ale widać poruszające się cienie. Apartament ambasadora na górze jest oświetlony.

Co się dzieje, brachu? Czy mam postawić Oddział Bombowy na nogi?

Jeśli będą w stanie rozbroić spadające bomby wodorowe, to czemu nie, pomyślał Abrams.

–Gdzie są dzisiaj ludzie z FBI? – zapytał.

–Tutaj ich nie ma. Może są u strażaków. Tam jest lepsza kawa.

–Czy możesz mnie połączyć ze strażnikiem z FBI? – zapytał Abrams. – Albo z kimś z CIA?

Wiedział, że CIA zajmuje kilka mieszkań w sąsiedztwie Rosjan i podsłuchuje przez ściany. Zajmowali też apartament na trzecim piętrze w budynku na rogu Dziewiętnastej, z którego dzień i noc filmowali budynek i pobliski chodnik.

–Nie. Nie chcę im nic zawdzięczać.

–Tb połącz mnie z policyjną wartownią. Możesz podsłuchiwać.

–Och, naprawdę? – Spinelli wymamrotał stek przekleństw.

Abrams usłyszał trzask, a potem odezwał się damski głos:

–Oficer policji Linder przy aparacie.

–Okay, Abrams, możesz mówić.

–Czy to pani codzienny dyżur? – zapytał Tony.

–Tak, proszę pana, z przerwami od około sześciu miesięcy.

–Okay, pierwsze pytanie. Czy widziała pani, jak wyładowywano szary autobus?

–Tak, proszę pana. Jak zwykle to były w większości bagaże.

Kilka osób z autobusu pomagało portierom wnieść je przez wejście dla służby do wnętrza budynku. To było ponad godzinę temu.

–Ile bagażu?

–Tyle co zawsze – odpowiedziała z wahaniem.

Abrams nie chciał podsuwać jej odpowiedzi, chciał, żeby złożyła raport o tym, co sama widziała, a nie o tym, co on chciał, żeby widziała.

–Czy może mi pani powiedzieć, czy nie uderzyło panią dzisiaj wieczorem nic nadzwyczajnego? Coś, co nie zdarza się zwykle w ostatnią noc weekendu?

Kobieta milczała przez chwilę, a potem odpowiedziała:

–Chyba nie... nie, proszę pana. Czy mógłby pan powiedzieć dokładniej, o co panu chodzi?

–Może powie mi pani po prostu, co się zdarzyło, odkąd objęła pani dyżur. To było około czwartej po południu, prawda?

–Tak, proszę pana. – Zastanawiała się przez moment. – Dziś po południu było całkiem spokojnie. Mniej więcej godzinę temu czarny ford farlaine przywiózł ambasadora, jego żonę i trójkę dzieciaków.

–Jak wyglądali?

Zrozumiała, że chodzi mu o to, jakie odniosła wrażenie. – Żona i dzieciaki jak zwykle. Żona uśmiechała się i pokiwała policjantom tak jak zawsze. On wyglądał trochę... trudno mi powiedzieć, po prostu jakoś inaczej.

–Okay. Rozumiem. Były jakieś inne samochody?

–Nie, proszę pana. Nie dzisiaj wieczorem. Ale zdarza się czasami, że przyjeżdża tylko jeden.

–Okay, a co z mikrobusami?

–Tak, przyjechały – odpowiedziała. – Wstawiono je do garażu.

–Ile? W jakich odstępach?

–Przyjechały jak zwykle w dwóch grupach. Pierwsza grupa przyjechała jakieś czterdzieści pięć minut temu. Sześć albo siedem wozów. To była ta większa grupa, więc mogły to być dzieciaki.

Abrams pokiwał głową. Jeśli zwyczaje się nie zmieniły, sześć albo siedem samochodów wyjeżdżało z obozu pionierów w Oyster Bay i robiło przystanek w Glen Cove. Nie znano dokładnie celu tych postojów, ale prawdopodobnie chodziło o to, żeby zabrać ze sobą dorosłych opiekunów albo przeliczyć dzieciaki. Gdy chodziło o dzieci, Rosjanie nie różnili się wiele od innych. W każdym razie, pomyślał Abrams, mikrobusy zawsze wjeżdżały na otoczony murem dziedziniec, co uniemożliwiało obserwację za pomocą zwykłych urządzeń. Abrams pomyślał, że jeśli dzisiejszy wieczór różni się naprawdę od innych weekendowych wieczorów, to dzieci wysiadły w Glen Cove i umieszczono je w piwnicy.

–A co z mikrobusami z dorosłymi?

–Przyjechały może piętnaście minut później. W tej grupie były cztery wozy. One także wjechały prosto do garażu.

Abrams wyobraził sobie ogromne, żelazne, spuszczone drzwi garażu. Policyjna wartownia, gdzie pełniła dyżur Linder, była oddalona o mniej niż dziesięć stóp od wjazdu.

–Czy były pełne? – zapytał Abrams.

–Mają okna tylko z jednej strony – odpowiedziała.

–Wiem. Obserwowała pani przez jakiś czas, jak te autobusy wjeżdżają i wyjeżdżają. Niech się pani przez chwilę zastanowi.

Czy były pełne?

Linder odpowiedziała prawie bez namysłu:

–Nie. Nie były pełne. Zdaje się, że były prawie puste. – Tony pozwolił jej mówić dalej, nic nie sugerując. Była coraz bardziej pewna tego, co widziała. – Gdy wjeżdżali, coś mnie uderzyło i utkwilo w mojej pamięci. A teraz, kiedy pan pyta... kiedy przesuwali się wzdłuż chodnika w stronę garażu...

–Tak?

–Wszystkie autobusy podskakiwały, jakby były bardzo lekkie. Rozumie pan, o co mi chodzi?

–Tak.

–A kiedy wjeżdżały do garażu, prawie ocierały się dachem o wjazd. Niemal się ocierały – powtórzyła. – Abrams nic nie powiedział. Policjantka odezwała się obojętnie, jak gdyby nagle zdała sobie sprawę, że nadstawia karku: – Czy... czy coś jeszcze?

–Nie, nie – powiedział Abrams cicho. – To wszystko. Dziękuję.

–Nie ma za co.

Usłyszał sygnał, a potem głos Spinellego:

–No i co?

–Słyszałeś przecież, Spinelli.

–Tak. Słyszałem. No więc może ambasador nie wyglądał najlepiej, i co z tego? Może cierpi na hemoroidy. Może autobusy były puste. Może ambasador pozwolił im spędzić jeszcze jeden dzień na wsi.

–Bardzo możliwe – powiedział Abrams. – Po co mieliby wracać do pracy po trzydniowym weekendzie? Lepiej było wysłać do miasta bagaż tym dużym, szarym autobusem, a za nim dwanaście pustych mikrobusów.

–Ale nie wiemy na pewno, czy były puste, Abrams.

–Ona wiedziała.

–Tak. Okay, więc może większość Ruskich ukrywa się w Glen

Cove. Okay, chcą, żeby wszyscy myśleli, że są tutaj. Więc co to za bomba, Abrams?

–Czy gadam jak paranoik? – zapytał Tony.

Spinelli też pozwolił sobie na kilka sekund milczenia, zanim odpowiedział łagodniejszym tym razem głosem:

–Nie. Ta sprawa śmierdzi. Złożę szybko ustny raport. Coś jeszcze oprócz nadciągającej trzeciej wojny światowej?

–Nie, to by było wszystko. Nudy. A co u ciebie?

–Mam jeszcze kilka rzeczy dla ciebie. Ale nie wiem, czy to ma jeszcze jakieś znaczenie.

Abrams wyczuwał w jego głosie wyraźny lęk.

–Mów, Dom.

–No więc ten facet, West, zniknął na dobre. Dwa tuziny ludzi rozglądają się nadaremnie za jego tyłkiem, ale nigdzie go nie ma.

Ciągle nie można znaleźć tego O'Briena. Autopsja ciała pilota wykazała złamanie podstawy czaszki. Posłużono się prawdopodobnie gumową pałką. Co jeszcze... Och, śmierć Arnolda Brina.

Ludzie od koronera mówią, że to morderstwo. A ty ciągle żyjesz.

–Na razie. – Abrams spojrzał na Katherine.

Nie udawała nawet, że nie słucha. Nie było sensu pozorować obojętności, kiedy chodziło o koniec świata i gdy czas naglił.

–Prosiłeś też o książkę z biblioteki głównej – dodał Spinelli. – O Odyseję. Nie wiedziałem, że znasz grekę, a poza tym nie jestem tam bywalcem. Chcesz mi o tym powiedzieć?

–Autorem jest Homer.

–A kogo to obchodzi? – Słysząc było, że Spinelli zaciąga się cygarem. – Słuchaj, Abrams, trudno mi się z kimkolwiek porozumieć. Nie mogę dojść do ładu z FBI, CIA, wywiadem Departamentu Stanu, nawet z tobą. Wszyscy zadają mi pytania, ale nikt nie chce nic powiedzieć. Więc mam to gdzieś. – Odetchnął głęboko. – Słuchaj, jeśli

będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń. Do zobaczenia, Abrams.

–W porządku. – Zawahał się, ale dodał: – Nie jest tak źle, jak na to wygląda, Dom. Dzięki. – Odłożył słuchawkę i odwrócił się do przyglądającej mu się badawczo Katherine.

–Zrozumiałam z grubsza, o co chodzi – powiedziała. – Wszyscy są tutaj.

–Większość z nich. Kilka osób wróciło na Manhattan.

–Mój Boże... – Wstała, podeszła do niego i położyła mu dłonie na ramionach. – Chciałabym, żeby Patrick O'Brien tu był – szepnęła.

–Myślę, że pierwszy by powiedział, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy – odpowiedział.

–Tak, zdaje się, że minął już czas na robienie planów, rozpoznawanie sytuacji i zbieranie informacji. Nadeszła chwila działania, bez względu na to czy jesteśmy już gotowi czy nie. Myślę, że może czas na Pembroke'a. Myślę, że najwyższa pora złożyć sąsiadom wizytę.

52

Ann Kimberly pomyślała, że tego wieczoru wyjątkowo trudno było złapać taksówkę z lotniska Kennedy'ego do tej części Long Island. A gdy wreszcie się znalazła, tym trudniej było uwierzyć w przypadek, w wyniku którego dzieliła ją z Rosjaninem, który także jechał na Dosoris Lane, choć na drugą stronę „żelaznej kurtyny”.

Ann założyła nogę na nogę i przyglądała się otwarcie młodemu człowiekowi siedzącemu na drugim końcu siedzenia. Pomyślała, że jest bardzo przystojny. Miał kasztanowe loki, długie rzęsy, orzechowe oczy i pełne usta. Zauważyła go już w czasie lotu z Frankfurtu, na pokładzie samolotu Lufthansy. Oboje zgłosili się do specjalnej odprawy paszportowej, omijając odprawę celną i odprawę bagażu. Razem wyszli na postój taksówek, choć on był pierwszy. Obserwowała go z zarówno profesjonalnej, jak i osobistej ciekawości. Okazało się, że ma kłopoty ze znalezieniem chętnego kierowcy. Nieszczęśliwym trafem podszedł w końcu do taksówki jednego z żydowskich emigrantów ze Związku Radzieckiego, który robił wrażenie skłonnego do zrobienia długiego kursu. Żydowski kierowca wykorzystał okazję, żeby wylać trochę żółci w swoim ojczystym języku, i wyglądało na to, że ma zamiar uderzyć młodego Rosjanina. Ann wkroczyła do akcji, żeby mu pomóc, i po krótkiej rozmowie odkryła, że udają się w to samo miejsce.

Znalazła w końcu taksówkę i zabrała wahającego się mężczyznę ze sobą.

Obserwując go teraz, dokonała kilku spostrzeżeń: podobnie jak ona nie miał ze sobą żadnego bagażu, ale to mogło nie mieć znaczenia -jego rzeczy mogły podróżować dyplomatycznymi kanałami. Wiózł brzydką, podręczną torbę z czerwonego plastiku

i teczkę z przyzwoitej świńskiej skóry. Sprawa rządowa. Ona sama miała torbę z napisem Vuitton, choć pewnie nie miało to dla niego większego znaczenia, a jej neseser był wykonany ze skóry kiepskiej jakości. Domyślała się, że jechał na Dosoris Lane, żeby porozmawiać ze swoimi rodakami, tak jak ona, żeby porozmawiać ze swoimi.

Na początku podróży prowadzili zdawkową i niezobowiązującą rozmowę, głównie na temat konieczności dzielenia taksówki. Potem on zapadł w obronne milczenie.

–Był pan już kiedyś w Glen Cove? – zapytała wolno, ale za to zrozumiale po rosyjsku.

Spojrzał na nią, uśmiechnął się nerwowo i skinął głową.

–Zostanie pan długo w Ameryce? – zadała następne pytanie.

Wydawało się, że waży ostrożnie odpowiedź, jak gdyby pytanie było istotne.

–Będę tutaj pracował – odpowiedział w końcu poprawną angielszczyzną.

–Ja pracuję w Monachium.

–Ach tak.

Zastanawiała się, dlaczego nikt po niego nie wyszedł, choć nie było to takie niezwykle. Samochody radzieckiego personelu były prawie zawsze śledzone przez FBI, więc był to jedyny sposób na to, żeby przemyścić kurierów bez zbędnego zamieszania. Oficer kontroli paszportowej na lotnisku Kennedy'ego zawiadomił oczywiście FBI o pojawieniu się pasażera z radzieckim paszportem dyplomatycznym, ale nie zauważyła, żeby ktoś za nimi jechał.

Spojrzała na jego teczkę. Nie miała żadnych wątpliwości, że jej zawartość jest bardzo cenna. Poczytywała sobie za osobiste zwycięstwo, że Rosjanie nie czują się na tyle swobodnie, żeby nadawać wszystkie wiadomości przez radio. Mieli niezłe szyfry, ale potrafiła sobie z nimi poradzić.

–Bardzo tutaj gorąco – odezwała się.

–I bardzo wilgotno – stwierdził.

Rozśmieszyła ją banalność tej wymiany zdań.

–W Waszyngtonie jest gorzej. Monachium jest przyjemniejsze.

-To prawda.

Uznała, że jego małomówność wynika z połączenia tradycyjnej rosyjskiej podejrzliwości, biurokratycznej rezerwy i nieśmiałości młodego mężczyzny, który znalazł się niespodziewanie w towarzystwie starszej i bardziej doświadczonej kobiety.

–Byłam kiedyś w Moskwie. W Leningradzie nawet dwa razy.

Skąd pan pochodzi? – zapytała.

Odniosła wrażenie, że młody człowiek nie jest zadowolony z tych pytań. Pomyślała, że pewnie przyszło mu na myśl, zresztą podobnie jak i jej, że całe to przypadkowe spotkanie było ukartowane. A jednak tak nie było. Przynajmniej nie z jej strony.

–Jestem z Saratowa – odpowiedział.

–To nad Wołgą – pokiwała głową.

Zauważyła, że zdziwił się i odwrócił twarz do okna. Uświadomiła sobie, że nie może oderwać wzroku od jego teczki, a i on spoglądał często w kierunku jej nesesera. Przyszło jej na myśl, że atrakcyjny mężczyzna i piękna kobieta jadący wspólnie taksówką, nie powinni rzucać ukradkowych spojrzeń na swoje walizki.

Uśmiechnęła się. Rosjanin wyciągnął szyję, aby oglądać przesuwający się krajobraz. Zerknął na zegarek.

Ann spojrzała przez przednią szybę i zobaczyła, że auta zaczynają zwalniać. Na horyzoncie widać było wznoszące się łukiem race. Wyciągnęła rękę i poklepała Rosjanina po ramieniu. Drgnął i natychmiast położył dłoń na walizce. Wskazała przed siebie, nie mogąc sobie przypomnieć rosyjskiego słowa oznaczającego fajerwerki. – Święto. Dzień ku czd ofiar wszystkich wojen. Jak wasz Dzień Zwycięstwa.

Wydawało się, że jej znajomość jego kraju i języka bardziej go niepokoi, niż cieszy. Uśmiechnął się sztywno.

–Tak. Dzisiaj przypada święto.

–Nazywam się Ann Kimberły. A pan?

Zawahał się, a potem odpowiedział:

–Mikołaj Wasylewicz. – Nie podał swojego nazwiska.

–Mojemu narzeczonemu także na imię Mikołaj, po angielsku Nicholas.

–Tak?

Spoglądała mu w oczy, dopóki nie odwrócił wzroku. Zastanawiała się, dlaczego jedzie do weekendowego domu w Glen Cove, zamiast na Wschodnią Sześćdziesiątą

Siódmą.

–Czy pracuje pan dla ONZ?

Przestał już dziwić się jej pytaniom. Skinął głową.

–Tak, pracuję dla ONZ. – Tym razem nie odwrócił wzroku, lecz przyjrzał się jej uważnie. Uśmiechnął się niezobowiązująco i po kilku sekundach zapytał: – Będzie tu pani długo?

–Może – odpowiedziała.

Zdała sobie sprawę, że wie prawie wszystko o Radzieckiej Delegacji przy ONZ. W jednej drugiej składała się z rzeczywistych dyplomatów i ich służby, w jednej czwartej z dyplomatów na usługach KGB i w jednej czwartej z agentów z samego rdzenia KGB i kilku ludzi z GRU – radzieckiego wywiadu wojskowego.

Ann przechyliła się do tyłu i jeszcze raz oceniła postać młodego mężczyzny. Nie miał w sobie nic z arogancji kogoś z KGB ani też oglady dyplomaty. Mógł być wojskowym, kurierem z GRU – silnym, zdyscyplinowanym, rozważnym. W głowie miał to samo co w teczce. A może więcej. Dokumenty, które przewoził, spłonęłyby w ciągu sekundy, a to, co miał w głowie, mogło zostać równie szybko zniszczone dzięki pigułce z cyjankiem. Był pewnie uzbrojony, ale nie w konwencjonalny pistolet. W coś wymyślonego przez Czternasty Departament. Spojrzała jeszcze raz na jego teczkę i pomyślała: Cokolwiek w niej jest, jest przygotowany na to, żeby oddać za nią życie. Założyła nogę na nogę i odrzuciła głowę do tyłu.

–Zdaje się, że te fajerwerki przyciągnęły tutaj spory tłum – powiedział kierowca, kiedy taksówka zatrzymała się w korku.

–Dalej pójde pieszo – odpowiedziała Ann. Spojrzała na Rosjanina. – Lepiej będzie, jeśli pan się przejdzie, Mikołaju. Wskażę panu drogę.

Spojrzał niespokojnie na zegarek i wydawało się, że się waha.

–Tak będzie szybciej – ponaglała go. – Stąd do rezydencji radzieckiej jest tylko pięć minut drogi. A tam pan właśnie jedzie, prawda?

Skinął głową, ale nie poruszył się. Ann uśmiechnęła się wolno i w końcu wzruszyła ramionami. Wyciągnęła z portfela dwudziestodolarowy banknot i położyła go na jego teczce. Wzięła swoją torbę i neseser i otworzywszy drzwi, spojrzała przez ramię. Zawahała się, ale w końcu poddała się impulsowi.

–Jest pan bardzo przystojny, Mikołaju Wasylewiczu. Powinien pan mieć jakąś wadę. Amerykańskie kobiety będą mdlały na pana widok. Proszę przekazać Wiktorowi Androwowi pozdrowienia ode mnie – dodała. Mrugnęła do zdumionego mężczyzny i wysiadła z taksówki.

Poszła wzdłuż szeregu wolno jadących samochodów i przecięła Dosoris Lane, gdy policjant wstrzymał dla niej ruch. W ciągu kilku minut doszła do bram radzieckiej posiadłości i stanęła przy wartowni, żeby zajrzeć na podjazd. Przeszła dalsze kilkaset jardów i weszła przez bramę na teren posiadłości Van Doma. Pode388 szła do zaparkowanego samochodu. Strażnik zapalił światło i sprawdził jej paszport. Choć jej nazwiska nie było na liście gości, przypominał ją sobie. Znał przecież jej siostrę,

Katherine.

–Przykro mi, że nie mogę pani podwieźć, panno Kimberly.

Czy mam wezwać przez radio samochód?

–Nie, przejdę się. – Zawahała się. – Czy Nicholas West już przyjechał? – zapytała.

Strażnik sprawdził nazwisko na liście.

–Nie, proszę pani.

Skinęła głową i skręciła w stronę podjazdu. Nicholasa nie było ani w Princeton Ciub, ani w biurze, ani w mieszkaniu. Oficer pełniący służbę w Langley nie potrafił jej też nic o nim powiedzieć. Zaczęła mieć podejrzenia, ale nie takie, jakie mają kochankowie.

Idąc podjazdem, wciągnęła w płuca ciepłe, nocne powietrze.

Za zakrętem ujrzała duży, biały dom usytuowany na szczycie wzgórza.

Podjęła tę niespodziewaną podróż z kilku przyczyn: z powodu Nicka, telefonów Katherine i telegraficznej wiadomości od O'Briena domagającego się pewnych tajnych informacji. Ale kierowała się też intuicją. Jej praca w biurze NSA w Monachium polegała na wychwytywaniu z powietrza komunikatów radiowych i łamaniu szyfrów. Po wielu latach pracy ta techniczna umiejętność rozwinęła się w pewnego rodzaju telepatię. Czuła, że w powietrzu krąży coś, co wymaga natychmiastowego rozszyfrowania, i że nie miał to być zwyczajny komunikat.

Prowadzące do bocznego patio oszklone drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł George Van Dom. Spojrzał na Abramsa i wydawał się bardziej zaskoczony białym lnianym garniturem i sandałami niż zabandażowaną stopą, skaleczeniami na jego twarzy czy też tym, że jednak żyje. Skinął głową w kierunku Katherine, a potem zwrócił się do Ton/ego:

–Chciałeś mnie widzieć?

–Niewykluczone – odpowiedział Abrams. Van Dom odebrał dość raportów, aby zrozumieć, w jakim stanie psychicznym jest

389

agent, który właśnie wrócił z ciężkiego zadania. Mógł być arogancki, krnąbrny i małomówny.

–Siadaj, Abrams – powiedział Van Dom. – Zrobię ci drinka.

–Postoję i odpuszczę sobie tego drinka.

George usiadł za biurkiem.

–Od czego chcesz zacząć?

–Od pytania, czy ktoś tu jeszcze przyjdzie?

–Powinien, ale nie można go znaleźć.

–Wiem o O'Brienie – wtrąciła się Katherine. Van Dom spojrział na nią, ale nic nie powiedział.

–To, co odkryłem, jest bardzo ważne. Chcę mieć pewność, że mój raport dotrze, gdzie trzeba.

–Możesz być pewien, że nie, jeśli nie uznam, że powinien.

–Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś jednym z nich?

–Nie będziesz miał tej pewności. Wiesz tylko, że pasuję do roli Talbota, i dlatego rozumiem twoją podejrzliwość.

–Nie powiedziałem, że możesz być Talbotem. Już go widziałem.

–Naprawdę? – uśmiechnął się Van Dom.

–To prawda.

–Tony, myślę, że możesz śmiało mówić – odezwała się Katherine.

–Dobrze. Zdaje się, że nie mam wielkiego wyboru.

Van Dom nie wydawał się szczególnie obrażony tym, że musiano za niego poręczyć.

–Pembroke opowiedział mi o incydencie na stacji kolejowej – powiedział do Abramsa. – To było z ich strony desperackie posunięcie. Czym ich tak rozwścieczyłeś, Abrams? – zapytał z lekkim uśmiechem.

–Zrobiłem tylko to, co mi kazał pański przyjaciel Evans – odpowiedział Abrams. Wyciągnął z kieszeni złożoną chusteczkę i wysypał jej zawartość na biurko. – Wygląda na złoto.

Van Dom wziął szczyptę metalowych opiłków.

–To prawda. Dobra robota. Okno czy drzwi?

–Oszklone drzwi. Co to znaczy?

–Czy zauważyli, że brał pan tę próbkę? – George zignorował pytanie.

–Nie.

–W takim razie dlaczego się do pana dobrali? Wykrywacz kłamstw?

–Złapali mnie na węszeniu w okolicy.

–Okay, co jeszcze pan znalazł?

–Kazano mi sprawdzić wyłączniki, odbiorniki radiowe i telewizyjne i antenę przed domem.

Van Dom zadał kilka pytań, zrobił parę notatek i podniósł wzrok.

–Niezła robota, Abrams. Masz jajca. – Spojrzał na Katherine. – Odwagę. Ale to nie dlatego chcieli pana zabić w tym podziemnym przejściu. Co takiego pan zrobił albo zobaczył, żeby wzbudzić w nich mordercze instynkty?

Abrams podszedł do ściany, zdjęł z haczyka zdjęcie i położył je na biurku. Wskazał na wizerunek Henry'ego Kimberly'ego spoglądającego na Van Doma. George przesunął wzrok z twarzy Abramsa na twarz na zdjęciu, potem jeszcze raz na Abramsa, ale nic nie powiedział. Powoli wstał i potarł obwisłe policzki. Spojrzał na Katherine i zrozumiał, że ona już wie i wierzy Abramsowi. Zanim cokolwiek powiedział, skinął parę razy głową.

–Tak. Tak, na Boga.

Wyciągnął rękę, wziął z biurka szklanekę ze szkoeką i wypił ją dwoma haustami. Abrams obserwował uważnie, jak twarz Van Doma zbladła, a potem przybrała swój normalny, rumiany kolor.

–Jest jeszcze coś. Ale nie powiem nic więcej, dopóki nie odpowie mi pan na kilka pytań – powiedział Abrams.

–Słuchaj, Abrams. Doceniam to, co zrobiłeś, ale nie mam zwyczaju zwierzać się szeregowym agentom.

–Nie mam zwyczaju zaliczać się do nich. Wyświadczyłem tylko przysługę człowiekowi, którego szanuję. Odkryłem coś niezwykle istotnego. Chcę panu powiedzieć, co to jest, ale pan musi mi najpierw powiedzieć, z jakiego powodu ryzykowałem swoje życie.

Van Dom wahał się.

–George, chcę wiedzieć, co tu się, u diabła, dzieje! – wykrzyknęła Katherine. Podeszła do niego. – Mój ojciec jest obok, na miłość boską. Są zabici.

–W porządku. Powiem ci.

–Oby tylko szybko – wtrącił Tony. – Nie zostało nam wiele czasu.

–Wiem. Niebezpieczeństwo się zbliża. To sprawa dni albo tygodni.

–To sprawa godzin.

–Co takiego?

–Czy może pan natychmiast zawiadomić kogoś z rządu albo z wojska?

–Godzin? Skąd może pan to wiedzieć? – Spoglądał na Abramsa, kiwając głową. – Proszę zrozumieć, że nie mogę tak po prostu podnieść fałszywego alarmu. To by kosztowało dziesiątki milionów dolarów. Nie mogę zrobić z siebie głupca. Muszę mieć coś więcej niż to, że widział pan Henry'ego. Potrzebuję czegoś, co mogłoby wskazywać na odliczanie przed atakiem. Jeśli usłyszę coś takiego, to zadzwonię... i wtedy powiem, o co tu chodzi.

–Okay. Mam coś, co według mnie równa się takiemu odliczaniu: piwnica naszych sąsiadów jest pełna Rosjan i nie siedzą tam, żeby powymieniać bezpieczniki.

Van Dom rzucił spojrzenie w kierunku Katherine i wyszedł szybko z biurka.

–Jesteś pewien? Abrams, widziałeś ich?

–Nie. Ale powiedziała mi o tym pewna mała Rosjanka. A duża Amerykanka to potwierdziła. – Opowiedział krótko o całym zdarzeniu.

Kiedy skończył, Van Dom nadal milczał i stał nieruchomo ze zwieszoną głową. Był głęboko poruszony. A dlaczego miałby nie być, pomyślał Abrams. Usłyszał właśnie coś, co równa się rykowi syren alarmowych.

Van Dom sięgnął po stojący na biurku telefon i wykręcił numer.

–Mówi George Van Dom. Hasło: „Przeszliśmy przez ogień i wodę”. Proszę mnie połączyć z Pegazem. – Czekał przez chwilę. – W takim razie odszukajcie go i każcie mu zadzwonić do mnie do domu. Stan Omega. Tak. – Odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek. – Pegaz jest zawsze w zasięgu dziesięciu minut od miejsca łączności.

Tony zastanawiał się, kto to jest Pegaz i gdzie jest, ale wiedział, że nie wolno mu o to pytać. – O'Brien powiedział mi kiedyś, że nie grozi nam wojna nuklearna, a być może nawet nie chemiczna ani biologiczna. To by już wykluczało trzech współczesnych jeźdźców apokalipsy i powinno być jakimś pocieszeniem. Ale znając nasze możliwości w wynajdowaniu nowych metod samounicestwienia, wcale nie czuję się pocieszony.

–Jest jeszcze czwarty jeździec. – Wziął cygaro i odgryzł końcówkę. – Czy któreś z was kiedykolwiek słyszało o IEM, impulsie elektromagnetycznym?

–Niektórzy dziennikarze nazywają go impulsem sądu ostatecznego – powiedział ostrożnie Abrams.

–Czy to ma coś wspólnego z eksplozją nuklearną w przestrzeni kosmicznej? – zapytała Katherine.

–Tak – odpowiedział Van Dom. – Ale samo w sobie nie niesie zagrożenia nuklearnego. Ci ludzie, którzy ukrywają się w piwnicy, nie robią tego ze strachu przed wybuchem jądrowym, ale z obawy przed nami. Uderzenie, jeśli nastąpi, będzie miało miejsce gdzieś nad Omaha, na wysokości około trzystu mil. Nie będzie grzyba atomowego, fali uderzeniowej, promieniowania i fizycznych zniszczeń towarzyszących zwykle eksplozji termonuklearnej. Będzie tylko błysk światła na niebie, a potem...

–A potem co? – zapytała Katherine.

–A potem, że posłużę się powiedzeniem lorda Greya, nad całym obszarem Ameryki Północnej zgasną światła. I nie sądzę, żeby powtórnie rozbłysły.

Przez chwilę milczeli. W końcu Abrams zapytał:

–Czy to jakiś rodzaj zjawiska elektrycznego? Coś podobnego do burzy z piorunami?

–Tak. Ale to coś dużo bardziej skomplikowanego; technologiczna zagadka rozwiązana po raz pierwszy na początku lat sześćdziesiątych podczas wykonywania przez nas prób jądrowych na dużych wysokościach. Rozwiązana, niestety, także przez Rosjan mniej więcej w tym samym czasie. – Van Dom zapalił cygaro. – Wygląda to prawdopodobnie tak. Kiedy rakieta z głowicą nuklearną wybucha wysoko nad atmosferą, biegnące w kierunku Ziemi, a wysyłane podczas eksplozji promienie gamma rozbijają cząsteczki powietrza, wyzwalaając coś, co nazwano elektronami Comptona. Te elektrony wchodzą w ruch obrotowy wokół linii sił pola magnetycznego Ziemi i wysyłają impuls elektromagnetyczny. Wszystkie elektryczne i elektroniczne urządzenia w tym kraju, razem z twoim cyfrowym zegarkiem, Abrams, spełnią dla tego impulsu rolę piorunochronu. Właściwie nic nie będzie już działać, łącznie z elektrowniami jądrowymi, silnikami samolotów, samochodów, ciężarówek, motorami spalinowymi i kotłami centralnego ogrzewania. – Przerwał na chwilę. – Trudno sobie nawet wyobrazić rozmiary takiej katastrofy.

–Mam nadzieję, że można się przed tym jakoś zabezpieczyć? – odezwał się cicho Abrams.

–Nasi przyjaciele z sąsiedztwa najwyraźniej przetestowali już swoje urządzenia ochronne w czasie burzy i myślą, dranie, że nic im nie grozi. Ale tak naprawdę to nikt nie może być tego pewny aż do prawdziwej burzy z IEM.

–A co z armią? – zapytała Katherine.

–W końcu rozpoznali niebezpieczeństwo, ale to, co udało im się zrobić, aby wzmocnić systemy operacyjne, to za mało i za późno. Aby nie być gołosłownym, tylko jedno z czterech prezydenckich miejsc dowodzenia jest odporne na działanie IEM. – Van Dom przesunął palcem po leżących na biurku opiłkach metalu. – Ten metal przewodzi IEM i nie pozwala mu przenikać przez drzwi i okna.

Współczesny ekwiwalent czosnku i tojadu, pomyślał Abrams.

–A lampy próżniowe? – zapytał.

George zaciągnął się cygarem.

–To ironia losu, ale lampy próżniowe starego typu są mniej więcej dziesięć milionów razy bardziej odporne na działanie IEM niż delikatne układy scalone, którymi je zastąpiono. – Zastanowił się, zanim zaczął mówić dalej: – Nawet jeśli Rosjanie nie dowiedzieli się o IEM przed nami, to jednak dużo szybciej zrobili z mego użytek. Pamiętajcie ten radziecki myśliwiec, MiG-25, wprowadzony do Japonii w 1976 przez jakiegoś radzieckiego dezertera? Uważano, że jest to najbardziej nowoczesny myśliwiec na świecie. Nasi technicy rozebrali go na części i stwierdzili, że większość samolotu została wykonana zgodnie z najnowszymi zdobyczami techniki. Lecz znajdujące się najbliżej pokrywy kadłuba urządzenia elektroniczne zbudowano, wykorzystując lampy próżniowe. Z początku nasi technicy byli zdumieni tą prymitywną elektroniką. Ale w miarę jak badali samolot, odkrywali, że rzeczywiście najnowocześniejsze zdobycze fizyki ciała stałego nie są Rosjanom obce. Więc skąd lampy próżniowe? Teraz przynajmniej wiemy. Urządzenia elektroniczne najbliższe zewnętrznej warstwie samolotu, najbardziej narażonej na działanie IEM, celowo wykonano z lamp próżniowych. To był pierwszy poważny dowód na to, że traktują IEM serio. Izraelczycy doszli do podobnych wniosków podczas badań nad przechwyconym radzieckim sprzętem wojskowym. Musimy zaakceptować fakt, że większość radzieckiego arsenału skonstruowano, biorąc pod uwagę działanie

–Najwyraźniej ich rezydencja jest także przygotowana na to, żeby przetrwać burzę – stwierdził Abrams. – Przypuszczam, że po ataku to miejsce będzie spełniać rolę centrum dowodzenia i kontroli.

Van Dom przytaknął.

–Czy twój dom... – zaczęła Katherine.

394

–Nie. – Van Dom potrząsnął głową. – I nie mam też schronu przeciwlotniczego. Ja nie zabezpieczam się przed katastrofami, ja im zapobiegam.

Abrams myślał przez chwilę, a potem podniósł wzrok na George'a.

–Pańska bliska obecność pewnie nie wpływa na nich uspokajająco. Czy to możliwe, że szykują dla pana coś specjalnego?

–Jestem najzupełniej pewien, że tak – odpowiedział Van Dom.

Pokiwał głową i dodał: – Zresztą ja też mam dla nich coś specjalnego i nie będzie to zwykłe widowisko z serii „światło i dźwięk”. To będzie raczej coś z rodzaju wyważania bram. – Jego uśmiech był jednocześnie złośliwy i złowieszczy. – Wielkie problemy polityki światowej bledną wobec drobnych sprzeczek pomiędzy wrogimi sąsiadami. Jeśli moje dni na tej planecie mają dobiec końca, mam zamiar zabrać ze sobą nieliczną gromadę tych drani.

54

Van Dom nie rozwinął swego zdania na temat tego, jak należy postępować z nieprzyjaznymi sąsiadami, a Abrams nie pytał dalej. W gabinecie panowała taka cisza, że słyhać było tykanie zegara na kominku. Dochodziły ich także przytłumione okrzyki gości wydających obowiązkowe „ochy” i „achy”, gdy pokazy pirotechniczne osiągnęły apogeum. Abrams zauważył, że Katherine jest smutna, ale nie straciła ducha, jak gdyby przegrała tenisowego seta, ale mecz trwał dalej.

Van Dom przyglądał się Tony'emu przez chwilę, potem powiedział:

–Posłaliśmy tam pana tylko po to, żeby znaleźć potwierdzenie dla naszych podejrzeń. Nie spodziewaliśmy się, że odbędzie pan pogawędkę z Henrym Kimberłym albo że odkryje pan, że nie wrócili na Manhattan. Niezła robota.

Abrams przyjął komplement nieznacznym skinięciem głowy.

–Zdaje się, że wydarzenia ostatnich kilku dni i tygodni wywołane przez was i waszych przyjaciół rozdrażniły ich. Być może zmusiły ich do działania.

–To ironia losu. To my sprowokowaliśmy ich do działania. Być może nawet zanim jeszcze byli gotowi – powiedział George, obserwując koniuszek palącego się cygara.

–Zdaje się, że my też nie jesteśmy całkowicie gotowi – zauważył Abrams.

–Tak, ale zostaliśmy ostrzeżeni.

–Czy to możliwe, że to tylko ćwiczenie? – zapytała Katherine. – Test, który ma udowodnić, że potrafią ukryć swoich ludzi w Glen Cove i nikt tego nie wykryje?

–Wprost przeciwnie. Nie musieliby przecież nikogo ukrywać, gdyby skoordynowali wybuch IEM ze zwykłym weekendem w Glen Cove. Zawsze wiedzieliśmy, że woleliby zaplanować początek wojny termonuklearnej albo atak IEM na przerwę weekendową. Ich ludzie z Waszyngtonu i San Francisco byłiby wtedy bezpieczni na wsi, a cokolwiek by o tym sądzić, to i tak w czasie weekendu nasza reakcja na Czerwony Alarm będzie o dwie lub trzy minuty spóźniona. Weźmy choćby pod uwagę to, że Pegaz jeszcze się nie odezwał, a minęło już – spojrzał na zegarek – dwanaście minut. Nie, wolałbym wierzyć, że to tylko ćwiczenie, ale fakt, że ukryli swoich ludzi w Glen Cove teraz, kiedy wszyscy oni powinni być z powrotem na Manhattanie, oznacza według mnie, że dzisiejsza noc będzie właśnie „tą” nocą. Abrams ma rację.

Katherine skinęła głową.

–Zastanawiam się, dlaczego zadali sobie tyle trudu, żeby zabezpieczyć swoją posiadłość przed działaniem IEM – powiedział Abrams. – Dlaczego po prostu nie wyłączą głównego wyłącznika i nie wyciągną wszystkich wtyczek na kilka minut przed IEM.

–Nikt nie jest pewien, czy odcięcie energii całkowicie zabezpieczy urządzenia elektryczne. Ale nawet gdyby tak było, Rosjanie nie zrobiliby tego, ponieważ FBI kontroluje poziom użytkowanej przez nich energii i prezydent dowiedziałby się o tym w ciągu pięciu sekund.

Abrams rozejrzał się po pokoju, jakby chciał objąć wzrokiem wszystkie możliwe urządzenia elektryczne. Wydawało się, że Van Dom zgaduje jego myśli.

–Tak, nasze życie byłoby zupełnie inne. Zamarzlibyśmy na śmierć, i to w ciemnościach. – Spojrzał na biurko. – Nawet mój kieszonkowy kalkulator odmówiłby posłuszeństwa.

–Wydaje się, że nie potrafimy się obronić, ale czy moglibyśmy przynajmniej odwzajemnić cios? – zapytał Abrams.

Dzwonek telefonu uniemożliwił Van Domowi odpowiedź. Podniósł słuchawkę.

–Van Dom. Tak. – Powtórzył hasło i czekał przez chwilę. – W takim razie gdzie on, u diabła, jest? Nie, nie przekażę panu

informacji. Czy Jednorożec jest na miejscu? A Centaur? Powtarzam, to stan Omega. – Skinął kilka razy głową. – W porządku. Dobrze. Będę czekał. Proszę kazać jednemu z nich zadzwonić.

–Odłożył słuchawkę. – Nie rozumiem, dlaczego Pegaz jest nieosiągalny. Jednorożec albo Centaur wkrótce się zgłoszą. Przyjęli do wiadomości, że według mojej analizy to stan Omega, i nadali sprawom właściwy bieg.

Katherine odwróciła nagle głowę w kierunku okna za plecami Van Doma. Otworzyła szeroko oczy. George spojrzął szybko przez ramię.

–Co się stało?

–Wydawało mi się... – Odetchnęła głęboko. – To pewnie była cicha błyskawica. – Światła jeszcze się palą, więc pewnie tak. Ale najprawdopodobniej tak to właśnie będzie wyglądało... – Obliznął nerwowo wargi. – To pech, że właśnie dzisiejszej nocy zdarza się coś takiego, nie uważacie? – Może pech, a może jakiś kosmiczny żart – odpowiedział Abrams. I – Cokolwiek by to było, jest cholernie denerwujące – dodała Katherine.

–W tej chwili nie mogę wiele więcej zrobić. Pytanie, które ; ostatnio padło, dotyczyło odwetu, a jest to bardzo skomplikowana sprawa. Kto wie, czy moglibyśmy? Czy tak się stanie? Czy ; powinniśmy? » – Co to znaczy, czy powinniśmy? – zapytała Katherine.

–To znaczy, że to problem moralny – odpowiedział Van Dom. – Prezydent musi mieć pewność, że to właśnie Związek Radziecki spowodował burzę IEM. Będzie też musiał rozstrzygnąć, czy osłabiony atak nuklearny przyniesie jakiś inny skutek niż zmasowany kontratak ze strony Rosjan.

–Rozumiem. – Katherine pokiwała wolno głową.

–W jaki sposób zostanie przeniesiona głowica, która ma spowodować burzę IEM? – zapytał Abrams. – Przypuszczam, że każda rakietą, której tor lotu wyjdzie poza terytorium Związku Radzieckiego, zostanie natychmiast zauważona.

–To jest problem, którego nie potrafimy rozwiązać. Ale wiemy, że radziecki okręt podwodny znajdujący się u wybrzeży Kalifornii jest w stanie wystrzelić pocisk, który wybuchnie nad samym centrum Stanów Zjednoczonych na odpowiedniej wysokości, aby wywołać IEM, a czas jego lotu będzie wynosił zaledwie

trzy, cztery minuty. Zanim jeszcze wystrzał zostanie potwierdzony, będzie za późno na jakiegokolwiek działanie. Sieć dowodzenia, kontroli i łączności, spoiwo, dzięki któremu cały nasz program nuklearny trzyma się kupy, legnie w gruzach. A gdy tak się stanie, nie będzie już dla nas ratunku. Jak powiedział jeden z generałów lotnictwa, zwycięzcą następnej wojny zostanie ten, kto będzie miał do dyspozycji dwa ostatnie działające odbiorniki radiowe.

Tony podszedł do dużego, wykuszowego okna i patrzył na wprost przez zatłoczony trawnik, poza pasiasty namiot i stoły, poza błyski świateł na przyjęciu, w kierunku horyzontu. Z głębi pustego basenu strzeliła w górę rakietą z jaśniejącym na tle nieba ognistym pióropuszem i wybuchnęła oślepiającą kaskadą złotych iskier. Odwrócił się od okna.

–W rezultacie cała ta nasza wysoko rozwinięta technologia razem z jej mikroprocesorami, komputerami i tranzystorami, od której tak bardzo jesteśmy zależni, będzie powodem naszej klęski. Gdybyśmy w odwecie wywołali burzę elektromagnetyczną nad terytorium Związku Radzieckiego, jej skutki nie byłyby dla nich tak katastrofalne.

–Zgadza się – powiedział Van Dom. – To jeden z tych przypadków, w których prymitywizm decyduje o przewadze. Nie można zniszczyć mikroprocesorów i komputerów w kraju, który ich nie posiada. A jeśli nawet posługuje się nimi, ale nie jest od nich zależny tak jak my, to cios nie będzie dotkliwy. – Sięgnął po kieszonkowy kalkulator. – Każda cywilizacja ma swoją piętę achillesową. Gdybyśmy sprowadzili na Chiny rdzę zbożową i zniszczyli zbiory ryżu, spowodowałoby to masowy głód. Gdyby Chińczycy zrobili to samo w naszym kraju, straty byłyby niewielkie. Rozumiecie teraz, dlaczego jesteśmy na progu zagłady?

Abrams skinął głową. George spojrzał na Katherine.

–W śmiertelnej walce nie interesuje nas tylko pięta achillesowa, ale potrzebna nam jest też broń, która zada śmiertelny cios.

Czasami odpowiednią bronią jest IEM. Czasami jest to rdza zbożowa. – Otworzył górną szufladę biurka. – A jeśli walczymy z wilkołakiem – położył coś na biurku – potrzeba nam srebrnej kuli.

Katherine i Abrams wpatrywali się w błyszczący nabój kaliber.45 stojący na biurku niczym miniaturowa rakietą gotowa do odpalenia. – Żeby uprzedzić wasze pytanie, to nie jest kula O'Briena – powiedział George. – Mam własną. Zresztą jest jeszcze jedna.

Ponieważ było trzech Talbotów.

–Trzech...? – Wzrok Katherine powędrował z naboju na twarz Van Doma.

–Tak. Prawdę mówiąc, trzecią kulę miał twój ojciec. – Katherine nie zareagowała.

–Zdaje się, że na tej właśnie jest jego nazwisko, Kate – powiedział cicho. – Miałabyś coś przeciwko temu, gdybym jej użył?

Wahanie Katherine trwało tylko chwilę. Potem potrząsnęła głową. Van Dom potaknął ze zrozumieniem, zacisnął nabój w dłoni i wsunął go do kieszeni spodni.

–Bez względu na to, co się wydarzy dzisiaj wieczorem, narodowa katastrofa czy cud przetrwania, Henry Kimberly umrze.

Później się zastanowimy, w jaki sposób.

Abrams wpatrywał się w profil Van Doma, zauważając po raz pierwszy jego mocne, kanciaste rysy, mniej widoczne z przodu niż z boku. Pomyślał, że być może ten człowiek wygląda jak stary basset, ale gdzieś pod starzejącą się skórą ciągle jeszcze czai się groźna bestia. Ciszę przerwał dźwięk telefonu. Van Dom podniósł słuchawkę i powtórzył całą procedurę identyfikacyjną. Słuchał, potakując i robiąc notatki.

–Musicie wziąć pod uwagę, że jeden z ludzi towarzyszących w czasie tego weekendu prezydentowi, James Allerton, jest najprawdopodobniej radzieckim agentem – powiedział. Słuchał przez chwilę i w końcu warknął: – Tak, do cholery, ten James Allerton.

Ilu ich jeszcze jest w Camp David u boku prezydenta? Tak, w porządku. Chciałbym jednak rozmawiać z jednym z nich. – Znowu słuchał przez chwilę. – Dobra. Mam wyraźne dowody wskazujące na to, że dziś wieczorem nastąpi atak IEM. Niech pan nada sprawie bieg, pułkownik. Tak. W porządku. – Odłożył słuchawkę i otarł czoło chusteczką. – Wiecie teraz o Allertonie, nawet jeśli nic nie podejrzewaliście. – Spojrzał na Katherine.

–Mój Boże, tego już za wiele... – Potrząsnęła głową.

–Kto jest tym trzecim? – zapytał Abrams.

–Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Ale jeśli Rosjanie znajdą się w Białym Domu, to się dowiemy.

–George, co się stanie później? Po ataku IEM. To znaczy... jeśli nie użyjemy broni jądrowej, to co będzie dalej? Kapitulacja?

Okupacja? Co?

–Nie wolno nam tracić nadziei, Katherine.

–Tak czy inaczej to dobre pytanie – powiedział Abrams.

Van Dom spojrzał uważnie na niego, później na Katherine i zauważył, jakie to wszystko wywarło na nich wrażenie. Uśmiechnął się, lecz Katherine pozostała przygnębiona. Abrams starał się zachować kamienny wyraz twarzy. George podszedł do ściennego sejfu i wyjął owiniętą w papier teczkę z dokumentami. Otworzył ją i położył na biurku plik papierów.

–Możesz to odczytać?

Tony spojrzał na drukowane grażdanką słowa.

–Raport na temat Stanowej Własności i Zarządzania Przemysłem Odzieżowym w mieście Nowy Jork – przeczytał. Spojrzał na Van Doma ze zdziwieniem.

–Rzecz sama w sobie mało ciekawa. Interesujący jest tylko fakt, że taki raport istnieje – stwierdził Van Dom.

–Skąd to masz? – Katherine wskazała grubą teczkę.

Van Dom pozwolił sobie na uśmiech.

–Od miejscowego młodocianego przestępcy. – Opowiedział im o Stanieyu Kuchiku i dodał: – Ten dzieciak zobaczył tam dziesiątki kartotek pełnych podobnych dokumentów. Gdyby znał rosyjski, poszukałby pewnie czegoś bardziej interesującego, może planu systemu prawnego i sądowego, choć to i tak nie ma znaczenia.

Abrams przerzucił kilka stron raportu. Pomyślał, że jest w tym jakiś zbieg okoliczności; jego rodzice czynnie działali w ruchu związkowym przemysłu odzieżowego i pewnie zaakceptowałyby ten akt zawłaszczenia państwowego mienia.

George wyciągnął z akt kilka fotografii i przesunął je po biurku w kierunku Abramsa.

–Dzieciak zrobił też kilka zdjęć. To są elektryczne tablice rozdzielcze. Nie ma tu wielkich niespodzianek. Ale ludzie z CIA byli zafascynowani tym, że z taką łatwością udało nam się dostać do piwnicy Rosjan. – Zachichotał. – Nie przyznałem się im, że to był czysty przypadek. – Podsunął Tony'emu jeszcze jedno zdjęcie. – Rozpoznajesz tego grubasa?

Abrams skinął głową.

–To Androw. Tak zwany attache kulturalny.

–Tak. A ten mężczyzna za nim został zidentyfikowany jako Walentin Mietków z Piątego Departamentu KGB. Uosobienie zbrodniarza.

Katherine przyglądała się twarzom z fotografii. Androw wyglądał tak dobrotliwie, a Mietków tak groźnie. Ale przecież nie było żadnego związku pomiędzy ich wyglądem a ich postępowaniem.

–Mietków to nie tylko „cyngiel”, ale wysoki rangą oficer do spraw masowych likwidacji – kontynuował George. – Pracował

w Polsce, Afganistanie, Republice Litewskiej, wszędzie, gdzie KGB ma wolną rękę w rozprawianiu się z wrogami państwa radzieckiego. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek pojawi się w Ameryce. Za tym człowiekiem idzie śmierć.

–Za kim idzie śmierć?

Zwrócili się w kierunku drzwi i ujrzeli wchodzącą do pokoju Ann Kimberły.

–Za kim idzie śmierć, George? Mam nadzieję, że nie za mną.

Zamilkli w osłupieniu, w końcu Van Dom odpowiedział:

–Jeden z moich sąsiadów, Walentin Mietków z Piątego Departamentu planuje zabić nas wszystkich, Ann.

–Właściwie, George, to dopraszasz się o to od lat. – Uśmiechnęła się. – Cześć, Kate. Zdaje się, że przybywam w samą porę.

Czy to twój nowy chłopak, Tony? Witam. Czy dużo straciłam?

Bądź tak dobry i przygotuj mi drinka, George. Czuję, że będzie mi potrzebny.

55

Ann Kimberły usiadła na brzegu stolika za szklanką bourbona w dłoni.

–Czy zachowuję się jak podejrzliwa narzeczona? Czuję się trochę głupio, zrobiwszy taki kawał drogi w poszukiwaniu swojego chłopaka.

–To wcale nie jest głupota – odezwała się stojąca przed nią Katherine. – Petera mogłoby nie być przez całe tygodnie, ale zniknięcie Nicka nie jest zgodne z charakterem jego pracy i z jego naturą.

Van Dom nie brał poważnie tej damskiej wymiany zdań. Nicholas West należał do najlepiej chronionych ludzi w kraju.

–Najprawdopodobniej z powodu ostatnich wydarzeń Firma postanowiła go wycofać na jakiś czas – powiedział. – Wkrótce powinniśmy coś o tym wiedzieć.

Ann chciała dodać, że nie jest wcale historyczką, że na liście kontaktów Nicholas Westa znajduje się na pierwszym miejscu i że od dawna pracuje w tym biznesie. Zamiast tego powiedziała:

–Porozmawiajmy o tym, co was gnębi. Opowiedzcie mi o tym.

Van Dom i Katherine wymienili szybkie spojrzenia. Kate odwróciła się do siostry i powiedziała:

–Przede wszystkim musisz wiedzieć, że nasz ojciec żyje.

Wydawało się z początku, że nie zrobiło to na Ann żadnego wrażenia, ale stojący obok niej Abrams zauważył, że ręce jej drżą.

–On jest tutaj, Ann. Jest dezercerem. Jest zdrajcą.

–To on jest Talbotem – stwierdziła Ann.

–Tak, to on – potaknęła Katherine.

Ann pokiwała w zamyśleniu głową, jak gdyby rozważała tę informację.

–Są jeszcze dwaj inni zdrajcy – powiedziała i podniosła wzrok na Van Doma. – Otrzymałeś kilka godzin temu teleks?

Van Dom skinął głową.

–Od naszego informatora z MI5. – Otworzył szufladę biurka i wyciągnął rozszyfrowaną wiadomość. Zaczął czytać: – „W odpowiedzi na prośbę o informacje: Międzymiastowa z Nowego Jorku przekazana przez punkt w Tongate do Brompton Hali, o siódmej po południu waszego czasu. Czas rozmowy osiem minut. Rozmowa z Brompton Hali do Nowego Jorku o siódmej czterdzieści trzy po południu waszego czasu. Czas: sześć minut. Oba połączenia z przyjęciem w należącym do ONZ nowojorskim hotelu Plaża. Czy szukać dalej?” – Van Dom podniósł na chwilę wzrok i ciągnął dalej: – Około piętnastu minut po rozmowie z Brompton sąsiedzi donieśli o pożarze. – Zwrócił się w stronę Abramsa: – Zdaje się, że znam przebieg wydarzeń, ale może pan by spróbował je zrekonstruować. Poczuję się lepiej, jeśli moje podejrzenia potwierdzi policjant.

To, że poproszono go o wystąpienie, nie sprawiło Abramsowi przyjemności, ale odpowiedział:

–To James Allerton rozmawiał z hotelu Plaża. – Zauważył, że Van Dom kiwa głową. – Allertonowi zależało na tym, żeby usunąć ślady tych rozmów, ale czas naglił, i był już trochę zdenerwowany. Tak więc postanowił zaryzykować. Wygląda na to, że jego pierwsza rozmowa z Brompton Hali odbyła się zaraz po tym, jak dowiedział się o pamiętniku i o liście Eleanor Wingate. Prawdopodobnie od Thorpe'a, który otrzymał informację od Katherine.

–Nie mamy pewności, czy Allerton i Thorpe wiedzieli o sobie – stwierdził George. – Ale w wyniku rozmowy Thorpe'a z Katherine na pewno jakimiś kanałami przekazano mu wiadomość, no i następstwo wydarzeń się zgadza. Proszę mówić dalej.

Abrams zastanawiał się przez chwilę.

–Allerton rozmawiał przez osiem minut z lady Eleanor albo z jej bratankiem. Prawdopodobnie starał się ustalić, czy w pamiętniku skompromitowano jego osobę. – Abrams przerwał na chwilę, a później dokończył: – To by wskazywało na to, że Allerton wierzył w autentyczność pamiętnika, choć powiedziano mi ostatnio, że to było fałszerstwo. – Spojrzał na Katherine, a później zwrócił się do Van Doma: – Allerton nigdy nie przypuszczał, że on i Kimberly działają po tej samej stronie barykady, co zresztą nie jest dziwne.

–Allerton był nieźle przestraszony – powiedział George. – Taki w końcu był zamiar tych, którzy napisali pamiętnik. Można to ująć w ten sposób, że wilkołak wyczuł niebezpieczeństwo, ale zareagował inaczej, niż zrobiłby to zwykły wilk. Zamiast uciekać, zaatakował.

Abrams zapalił papierosa, zaciągnął się dymem.

–Allerton przekonał pewnie Eleanor Wingate, że współpracuje z Carburym, O'Brienem i Katherine i że zależy im na jej bezpieczeństwie lub coś w tym rodzaju. Chodziło mu oczywiście o fotostat pamiętnika.

W pokoju panowała absolutna cisza. Abrams obserwował dym z papierosa. Myślał o uderzającej różnicy w zachowaniu dżentelmena, którego spotkał na obiedzie wydanym na cześć BSS i widział w telewizji a człowiekiem, którego teraz opisywał; ale taka była natura wilkołaka.

–Allerton wysłał kogoś do Brompton Hali i to samo zrobił O'Brien. Zdarzenia następowały szybko i trudno powiedzieć, kto dotarł tam pierwszy, ale Eleanor Wingate przyjęła obydwu wysłanników. – Przypomnił sobie fragment listu i dodał: – Pewnie była tak samo zdezorientowana jak w 1945 roku, kiedy trafiło do niej dwóch różnych mężczyzn z tym samym zamiarem odszukania dokumentów Kimberly'ego.

–W każdym razie – włączył się Van Dom – człowiek Allertona zamordował Eleanor Wingate, jej bratanka i wysłannika O'Briena. Być może przesłuchał ich najpierw i odzyskał fotostat pamiętnika. Potem połączył się z Allertonem i złożył raport. Piętnaście minut później dom stanął w płomieniach. – Spojrzał na Abramsa. – To pokrzepiające, że doszedł pan do tych samych wniosków. Nie moglibyśmy skazać Allertona na podstawie tych rozmów telefonicznych, ale możemy go zabić.

Tony nie zareagował na sugestię Van Doma. – 1 James Allerton jest teraz u boku prezydenta w Camp David? – zapytał.

–Obawiam się, że tak. Tak jakbyśmy nie mieli innych kłopotów.

–A jakie mamy kłopoty, George? – zapytała Ann.

–Niemale. Weźmy choćby sprawę trzeciego Talbota. Ale nawet nie ma dowodów na to, że on żyje.

–Myślę, że żyje – odpowiedziała Ann. – Ale wolałabym na razie o tym nie mówić. Zanim powiecie mi, co dalej, musicie wiedzieć, że na linii Moskwa-Manhattan czy Moskwa-Glen Cove nie było niczego niezwykłego. W radiu słyhać tylko banalne historie, przede wszystkim administracyjną gadaninę. Na przykład zgoda na wyjazd Androwa do domu. Szyfry dyplomatyczne, ale bez podstępnych zagrywek. Zrobiłam analizę komputerową i okazało się, że kiedykolwiek w przeszłości zdarzało się coś podobnego, pomiędzy blokadą Berlina w 1948 i chwilą obecną, znaczyło to, że te dranie coś szykują. Nazywaliśmy to CPB, ciszą przed burzą.

–Ale tutaj nie było wielkiego spokoju – zauważył Van Dom.

–Co więcej – kontynuowała Ann -jadąc tutaj, dzieliłam taksówkę z najbardziej seksownym Rosjaninem, jakiego udało mi się kiedykolwiek spotkać. – Opowiedziała krótko o swojej przygodzie i dodała: – Kiedy widzę kogoś, kto jest bez wątplenia specjalnym kurierem, czającego się w taksówce jak ten, z teczką nie przykutą kajdankami do ręki i starającego się wyglądać niewinnie, robię się trochę podejrzliwa. Założę się, że należało go zatrzymać. – Uśmiechnęła się. – Ale wyglądał na twardego. No i nie każdy kurier ma przy sobie plan operacyjny trzeciej wojny światowej, prawda?

–Nie, ale zdaje się, że ten miał – zareplikował Van Dom.

–No tak, gdybym wiedziała... George, podziel się tym, co masz do powiedzenia.

–Dobrze. – Zadzwoił telefon i Van Dom podniósł słuchawkę.

Podał hasło, odpowiedział i sam zadał kilka pytań. Zakończył szybko rozmowę i powiedział: – Nie mogą przekazać wiele przez telefon, który może być na podsłuchu, ale poinformowali mnie, że sygnał alarmu został odebrany i że prezydent wie o wszystkim. – Spojrzał na parawan u wejścia do sypialni. – Dalsze szczegóły prześlą później teleksem. – Zwrócił się do Ann: – Jesteś gotowa na następne złe wiadomości? – Żyję z tego, George. Strzelaj.

Abrams obserwował Ann Kimberły, gdy Van Dom przekazywał jej informacje. Zadała kilka pytań i poczyniła kilka zwięzłych

uwag. Stwierdził, że jest bystra i inteligentna. I ładna. Była podobna do siostry, ale miała krótsze włosy i pełniejsze kształty.

Wiedział, że jest o trzy lata starsza. Podczas gdy po Katherine widać było, że często przebywa na świeżym powietrzu, Ann wyglądała, jakby zbyt wiele czasu spędzała wyłącznie w pomieszczeniach. Ann Kimberly była jak gdyby bardziej pełna animuszu, bardziej śmiała niż Katherine i bardziej niż ona skora do żartów i drwin. Zdążyła już powiedzieć Van Domowi, że zanadto przytył, że Kitty pewnie rozgląda się wreszcie za kochankiem i że jego przyjęcia są nudne. Nie wydawała się też szczególnie zaniepokojona, kiedy George przekazywał jej informacje o tym, że Ameryka może zostać w każdej chwili zaatakowana, ale widać było, że mu wierzy. Zastanawiał się, jak to się stało, że Ann Kimberly i Nicholas West byli razem. Uderzyło go, że przynajmniej z pozoru Ann pasowała do Petera Thorpe'a bardziej niż Katherine.

Ann zagrzechotała kostkami lodu w szklance i nie przerywając rozmowy, poczęstowała się zakąską ze stojącej na stoliku tacy.

–Czy to znaczy, że prezydent nie może wydać rozkazu nuklearnego uderzenia? – zapytał Van Dom.

–Zgadza się, George. Prezydent nie byłby nawet w stanie wysłać tego, co się nazywa „rozkazem działania w sytuacji krytycznej”, nie po elektronicznej lobotomii. – Wstała i rozejrzała się po pokoju. – Ale przekażę wam informację określaną jako „tajemnica najwyższego stopnia”. Wojskowi przewidzieli możliwość wystąpienia problemu IEM i przekonali prezydenta, że jeśli nastąpi całkowita przerwa w łączności, będzie ona równoznaczna z sygnałem do działania. Jest to tak zwany system wyzwania autoreakcji, SWA. Jest on nawet szybszy niż analityczny system ataku ASA. – Westchnęła głęboko. – To ironia losu, ale milczenie środków masowego przekazu stanie się ostatnim wezwaniem do broni. – Spojrzała na wpatrujące się w nią trzy twarze. – Przerwa w łączności równa się odpaleniu rakiet – dodała, rozwiewając ich wątpliwości. – Bum! Auf Wiedersehen, świecie, jak mawiają w starych wesołych Niemczech. – Wypiła drinka i podała szklankę Van Domowi. – Jeszcze jednego szybkiego, George. Danke.

Van Dom podszedł wolno do baru. Abrams spojrział na Ann, starając się patrzeć jej prosto w oczy. Początkowo myślał, że jest pijana albo szalona i że nic ją to wszystko nie obchodzi. Ale gdy napotkał jej wzrok zrozumiał, że jest wprost przeciwnie. Pomyślał, że tak właśnie rozmawia o tych sprawach ze swoimi współpracownikami, jak gdyby chodziło o jakąś wojnę z przeszłości,

a nie o następną. Rzeczywiście, auf Wiedersehen. Chciałby móc coś na to poradzić.

–Przypuszczam, że Rosjanie o tym wiedzą – powiedział George i podał jej drinka. Podniosła szklankę.

–Za dobrą whisky z Kentucky. – Wypiła łyk, a potem popatrzyła na Van Doma. – Tak, zostali poinformowani. W przeciwnym razie nie byłby to żaden środek zapobiegawczy. Ale albo zlekceważyli ostrzeżenie, albo zdecydowali się działać pomimo wszystko. Możemy się pocieszać, że nasza nuklearna odpowiedź będzie osłabiona, ale nie aż taka słaba. W końcu mamy jeszcze łodzie podwodne i broń jądrową w Europie.

Podeszła do oszklonych drzwi i spojrzała w górę na niebo. Ciche błyskawice przeszły w niesione przez wiatr grzmoty. Do gabinetu wdarł się dźwięk odległego huku.

–Bóg stara się nas ostrzec. – Odwróciła się i stanęła twarzą do pokoju. – No tak, sprawy wyglądają ponuro. Martwiliście się nagłą i całkowitą klęską, bez jednego wystrzału z naszej strony.

Nie bójcie się. Będziemy mieli naszą wojnę atomową. – Poruszyła szklanką z bursztynowym płynem. – To klasyczny przykład zlekceważenia woli walki u wroga. Moskwa poddała się zbiorowemu złudzeniu. Osły. – Podniosła wzrok. – A więc wszystko wskazuje na to, że promienie słoneczne będą jutro przedzierały się przez pyły unoszące się nad nuklearnymi zgliszczami.

Van Dom westchnął przeciągle.

–Możliwe, że nie. Przypuszczam, że właśnie w tej chwili prezydent rozmawia z radzieckim premierem. Jeśli da im do zrozumienia, że przejrzeliśmy ich plan, mogą jeszcze wszystko odwołać. Prezydent może poinformować Rosjan, że do wydania naszym siłom zbrojnym rozkazu odpalenia rakiet wystarczy, aby któryś z amerykańskich satelitów odkrył pojedynczy radziecki wystrzał.

Ann potrząsnęła głową.

–Nie będzie żadnego wystrzału ani ze Związku Radzieckiego, ani ze statku podwodnego, ani znikądinąd.

Van Dom zrobił kilka kroków w jej stronę.

–Co masz na myśli? W jaki inny sposób uda im się wystrzelić głowicę nuklearną nad

środkową część Stanów Zjednoczonych?

–Oczywiście z satelity – odpowiedziała Ann.

–Do diabła. Oczywiście.

–To najprostsze rozwiązanie – mówiła dalej Ann. – W przestrzeni kosmicznej znajdują się teraz tysiące satelitów o różnej konstrukcji i różnym przeznaczeniu, przekraczające swobodnie

niczym nie chronione granice w kosmosie. Jednym z typów satelitów używanych przez Rosjan jest Mołnia, co zupełnie trafnie znaczy po rosyjsku „błyskawica”. Tuziny tych całkiem nieszkodliwych satelitów komunikacyjnych przecinają codziennie przestrzeń nad Ameryką Północną. Jeden z nich wzbudził szczególne zainteresowanie wśród moich kolegów z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. To Mołnia numer trzydzieści sześć. – Ann odeszła od drzwi i usiadła na skraju biurka. – Około roku temu Mołnia trzydzieści sześć została wystrzelona z radzieckiej bazy raketowej w Plesetsk. Porusza się po eliptycznej orbicie, której apogeum znajduje się w odległości dwudziestu pięciu tysięcy mil, a perygeum, najbliższy Ziemi punkt, jest oddalony tylko o czterysta mil. Rzekomym powodem umieszczenia satelity na tak niezwyklej orbicie jest zamiar wydłużenia przekazów komunikacyjnych, co zresztą jest częściowo prawdą. Ale z taką orbitą Mołnia jest jednocześnie poza zasięgiem naszych szpiegowskich i bojowych satelitów i to przez większą część swojej trajektorii. Apo' geum znajduje się ponad jeziorem Bajkał w centralnej Syberii. – Ostatnie zdanie zabrzmiało prawie niefrasobliwie. – Perygeum znajduje się ponad Ameryką, a dokładniej gdzieś nadNebraską. – Ann podeszła do stolika i wzięła w ręce prawie pustą tacę z zakąskami. – Moi ludzie z NSA stwierdzili za pomocą urządzeń elektronicznych, że na pokładzie tej Mołni znajduje się coś więcej niż zwykły ładunek sprzętu komunikacyjnego. Wniosek: dodatkową przestrzeń wypełniono czymś innym. Mianowicie: kilkoma funtami wzbogaconego plutonu. – Wzięła kawałek wędzonego łososa i włożyła go do ust. – Mołnia trzydzieści sześć jest najprawdopodobniej tym, co nazywamy SBO, satelitarną bombą orbitalną.

W myśl postanowień traktatu z 1966 roku zabroniono ich wykorzystywania, ale zdaje się, że Iwan zgubił gdzieś egzemplarz tej umowy. Wzięła jeszcze jeden kawałek łososa. – Niezłe zakąski, George. Zatrudniasz ciągle tego pomyłonego nazistę?

–On nie jest nazistą. To niemiecki Żyd – odpowiedział z roztargnieniem Van Dom.

–Myślałam, że był kiedyś esesmanem.

–Nie, udawał tylko. Słuchaj, Ann, czy jesteś pewna...

–W jakim czasie Mołnia pokonuje długość swojej orbity? – wtrącił się Abrams. Wymówił nazwę satelity z prawidłowym rosyjskim akcentem, co zwróciło uwagę Ann.

–To jest dobra strona całej tej historii – odpowiedziała.-Czas orbitowania wokół Ziemi jest długi: dwanaście godzin i plus mimis siedemnaście minut. – Spojrzała na szklankę, potrząsnęła nią i dopiła drinka. – Niestety, nie przypominam sobie, kiedy ma powtórnie przelatywać nad terytorium Nebraski. – Wręczyła Van Domowi szklankę. – Tym razem proszę bardzo słaby. Dużo wody.

George wziął szklankę i jeszcze raz powędrował w stronę baru.

–Jestem pewien, że to jest do sprawdzenia – rzucił przez ramię. – Żaden problem. Masz tu już komputer?

–Nie. Nigdy nie wyszedłem poza teleks.

–Och, George. – Ann podniosła słuchawkę telefonu, jednocześnie odbierając drugą ręką drinka.

–Spróbuję połączyć się z Fort Meade. – Położyła słuchawkę na ramieniu i zaczęła naciskać przyciski telefonu.

Abrams nigdy przedtem nie spotkał się z tak długim numerem telefonicznym. Ann poddała się długiej procedurze identyfikacyjnej. Tony przypomniał sobie, że ktoś mu kiedyś mówił, iż Agencja Bezpieczeństwa Narodowego jest tak tajną organizacją, że wśród kongresmanów krąży plotka, że taka organizacja wcale nie istnieje.

Ann połączyła się z kimś, kogo najwyraźniej znała.

–Tak, Bob, mówi Ann Kimberly. Jestem w Nowym Jorku i potrzebuję pewnych informacji. Czy masz przed sobą ten swój mały komputer?

Abrams słyszał też, że w siedzibie NSA pod Fort Meade komputery zajmują powierzchnię czternastu akrów, tak więc szansę na to, żeby Bob siedział przed jednym z nich były duże.

–Nie, ten telefon nie ma zabezpieczenia. Ale potrzebuję tylko podstawowych danych. Okay? – Skinęła w stronę zgromadzonych w pokoju i powiedziała do słuchawki: – Poszukaj kartoteki Mołni. – Zamilkła na kilka sekund. – Okay, potrzebna nam Mołnia trzydzieści sześć. Znalazłeś? A teraz powiedz mi, kiedy i gdzie osiągnie perygeum. Okay... okay, Bob. Dzięki. Nie, gramy sobie tutaj w kulki. Zgadza się. Do zobaczenia. – Odłożyła słuchawkę i spojrzała na trójkę przyglądających się jej osób. – Pewnie nie chcecie wiedzieć.

–Chcemy – odburknął Van Dom.

Ann spojrzała na zegarek, co Abrams potraktował jako zły znak. Zastanawiał się, czy patrzy na wskazówkę minutową, czy sekundową.

–Mołnia podróżuje teraz w kierunku południowo-wschodnim, schodząc już ze swojego apogeum w kierunku Ziemi. Osiągnie

perygeum nad Blair w Nebrasce, małym miastem około dwudziestu mil na północ od Omaha. Nastąpi to sześć minut po północy czasu wschodniego, a o jedenastej sześć wieczorem czasu centralnego, co w obydwu przypadkach daje... dziewięćdziesiąt sześć minut od chwili obecnej. – Spojrzała przez wykuszowe okno, jak gdyby wyczekując pojawienia się satelity.

–Być może będą czekać na następne okrążenie – powiedziała Katherine.

–Mało prawdopodobne – stwierdził Van Dom.

–Nawet Ruskie nie lubią siedzieć przez dwanaście godzin w piwnicy.

–Jeśli jutro nie otworzą biur tak jak co dzień, a ich delegacja nie pojawi się rano w ONZ, będzie to wyglądało podejrzanie – dodał Abrams. – Nie, zaatakują dziś wieczorem. To jest to okrążenie.

–Co za dranie! – wybuchnęła nagle Katherine. Spojrzała na Van Doma. – To na nas częściowo spada odpowiedzialność. Powinniśmy byli zrobić coś więcej albo nie robić nic. Ale skoro podjęliśmy zobowiązanie, musimy wytrwać do końca.

Van Dom zamarł na kilka sekund w bezruchu, a potem cicho powiedział:

–Tak, zgadzam się. Nie zamierzałem wcale wykręcić się z tego za pomocą kilku rozmów telefonicznych, Kate. Rozprawimy się z nimi bezpośrednio. – Ujął słuchawkę telefonu i wykręcił numer kuchni. – Odszukajcie Pembroke'a i sprowadźcie go do mojego gabinetu. Natychmiast. – Odłożył słuchawkę i spojrzał po kolei na każdego z obecnych. – Nie możemy być pewni, czy uda nam się zatrzymać ten tykający zegar, ale, na Boga, nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy sobie pozwolić na osobistą zemstę. – Kiwnął głową w kierunku okna. – Dzisiejsza noc będzie ostatnia także dla nich. – Mam rację? – zwrócił się do Ann.

–Nie interesuje mnie, czy koniec nadejdzie wraz z małokalibrową kulą, czy z bombą atomową. Jeśli umrzemy, to i tak na dobre. Mogę nacisnąć spust, jeśli masz broń – odpowiedziała, wzruszając ramionami.

Van Dom spojrzał na Abramsa. Tony nie cierpiał wszelkich gwałtownych przejawów czujności, częściowo z powodów zawodowych, a częściowo kulturowych.

–Jestem pewien, że są przygotowani na to, żeby wytrzymać nawet gwałtowny atak.

–Ja i Pembroke przygotowaliśmy już dla nich coś specjalnego. – Van Dom uśmiechnął się ponuro.

Abrams pomyślał, że to dziwne, choć możliwe. Spróbował jeszcze raz:

–A co będzie, jeśli to nie dzisiaj wieczorem? Jak wytłumaczymy, dlaczego zaatakowaliśmy placówkę dyplomatyczną i wysadziliśmy w powietrze Radziecką Delegację przy Organizacji Narodów Zjednoczonych?

–Słuchajcie, chodzi nam o uderzenie zapobiegawcze, a nie o nieuzasadniony akt agresji – odezwała się Ann.

–Abrams, jeśli masz tylko zastrzeżenia natury praktycznej, a nie moralnej, bądź pewien, że nie ma powodu do obaw. Być może jesteśmy tylko szpiegami amatorami, ale za to zawodowymi żołnierzami. Tak się składa, że mam za domem osiemdziesięciomilimetrowy moździerz – Abrams otworzył szeroko oczy. Van Dom uśmiechnął się nieomal z zakłopotaniem. – Możemy zrównać ten przeklęty dom z ziemią w ciągu nie więcej niż dziesięciu minut, a potem pójść tam i uprzątnąć gruzy. Dziwnym zbiegiem okoliczności cała trójka moich dzisiejszych pirotechników potrafi obsługiwać moździerz.

Abrams pomyślał, że na pewno nie była to sprawa przypadku.

Potańczał czoło. To wszystko było już dostatecznie dziwne, a teraz jeszcze ta dyskusja na temat taktyki bojowej. To już było alarmujące. Przed oczami pojawił mu się obraz malutkiej dziewczynki przyciskającej do piersi lalkę. Katierina i Katia. Dokąd idziesz, Katierina? Na dół, do piwnicy. Potrząsnął głową i spojrzał na George'a.

–W tamtej piwnicy są kobiety i dzieci.

Van Dom westchnął przeciągle.

–W całej Ameryce są kobiety i dzieci – odezwał się cicho, prawie łagodnie. – Jeśli chcesz porozmawiać o kobietach i dzieciach, spróbuj sobie wyobrazić skutki wojny nuklearnej.

–Masakra tych ludzi niczemu nie zapobiegnie. Jeśli nawet nastąpi atak IEM, to przecież twój moździerz będzie nadal działał. Dlaczego nie chcesz zaczekać, żeby się przekonać, co się będzie działo o północy? – spytał Tony z irytacją.

Van Dom chciał odpowiedzieć, ale przerwał mu dzwonek telefonu. Słuchał przez chwilę.

–Tak, jest tutaj. – Podał słuchawkę Abramsowi. – Kapitan Spinem.

–O co chodzi, Dom?

–Zabawa trwa, co, Abrams? – zapytał Spinelli. – Wystarczy tylko spojrzeć na wieczorne wiadomości.

–Nie mam tu żadnych wiadomości.

–A ja mam.

Abrams podniósł telefon, odciągnął przewód z biurka w stronę kominka i odwrócił się tyłem do obecnych. Usłyszał, że cała trójka zaczęła po cichu rozmawiać.

–Gdzie jesteś? – zapytał Abrams.

–Przy Dziewiętnastej.

–No więc dobrze, o co chodzi? – zapytał cicho Abrams. W jego głosie nie było wielkiego zainteresowania.

–Mam to, co zleciłeś mojemu człowiekowi przy pensjonacie na Trzydziestej Szóstej Ulicy.

–Och, tak, chodzi o hotel Lombardy – domyślił się Abrams. – To był ślepy strzał. Nie sądzę, żeby Thorpe zostawił jakieś ślady.

To kwatery CIA i nie tylko Thorpe z niej korzysta.

–To wcale nie jest kwatery CIA i oprócz Thorpe'a nikogo tam nie ma. Wymyślił tę bzdurę z CIA, żeby chronić swój tyłek.

–No więc co tam znalazłeś, Sherlocku? – zapytał Abrams. – Radio, szyfry, rosyjską herbatę i kopię Kapitału z autografem?

–No tak, radio też. Słuchaj, nie mieliśmy nakazu rewizji, więc wezwałem Henly'ego, oficera łącznikowego z CIA, i zrobiliśmy to razem. Pojechaliśmy do Lombardy i wyważyliśmy te pieprzone drzwi pogrzebaczami. Chryste, gdybyś widział, co ten clown tam ma. Na szczycie wąskiej klatki schodowej, na trzecim piętrze, znajdowały się duże czarne drzwi zrobione z jakiegoś sztucznego tworzywa. Były elastyczne jak guma. Waliliśmy w nie przez jakieś dziesięć minut. Henly uparł się, bo był pewny, że znajdzie za nimi coś niesamowitego. Ale drzwi nie chciały puścić. Musiałem wezwać służby specjalne i w końcu wysadziliśmy je za pomocą połowy kilograma środków wybuchowych.

Abrams usłyszał, jak Spinelli zapala cygaro.

–I...?

–Zobaczyliśmy ogromny pokój na poddaszu, który wyglądał jak skrzyżowanie

pokładu lotniskowca z apartamentem markiza de Sade. Na białej, wyłożonej kafelkami podłodze, aż do ogromnej lodówki, ciągnęły się „ślady krwi jak w sklepach rzeźniczych.

Ale w środku wcale nie wisiały szynki. Ten facet ma u siebie kostnicę.

Abrams spojrzął przez ramię i zobaczył, że cała trójka jest nadal pogrążona w rozmowie i najwyraźniej nie zwraca na niego uwagi.

–Kogo znalazłeś w środku? – zapytał cicho.

Spinelli wziął głęboki oddech.

–Same znane postaci, Tony. Trzy ciała. Numer jeden, zaginiony Randolph Carbury z czaszką pokiereszowaną jakimś tęnym narzędziem. Numer dwa, kobieta w średnim wieku, u; której francuska dozorczyńi rozpoznała gospodynię Thorpe'a. Rana postrzałowa przez prawe oko, z wylotem za prawym uchem. I numer trzy, Nicholas West, najwyraźniej torturowany, przyczyna śmierci nieznana. Słuchasz mnie?

–Tak, tak... – Abrams skinął kilka razy głową.

–To dobrze. Teraz szukamy pana Petera Thorpe'a. Masz jakiś pomysł?

–Nie, ale poczekaj... Możliwe, że jest w sąsiedztwie, u Rosjan.

Spinelli zagwizdał cicho.

–To by było wszystko z NYPD. – Zamilkł ma chwilę. – Zdaje się, że CIA ma zamiar przejąć od nas tę sprawę.

–Słuchaj, Dom. Niezła robota. Dzięki za telefon.

–Nie ma sprawy, Abrams. Ciągłe jestem ci coś winien. Za co, nie wiem, ale swoje dostaniesz. Jakie wino pijesz?

–Villa Banfi Brunello di Montalcino, rocznik siedemdziesiąty ósmy. Idź do domu, Dom. Nie żartuję. Idź do domu.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do pozostałych.

–Coś dla nas, Abrams? – zapytał Van Dom.

Tony odstawił telefon na biurko. Zawahał się, zanim odpowiedział:

–Policja i CIA weszli do apartamentu Thorpe'a i znaleźli ciało pułkownika Carbury'ego w zamrażarce na poddaszu.

Katherine podniosła rękę do ust i opadła na krzesło.

–Co za sukinsyn. Poczekajcie, niech go tylko dostanę w swoje ręce. – W głosie Van Doma zabrzmiała wściekłość.

–Och, nie bierz tego do siebie, George – przerwała Ann. – Peter nie robi tego z pobudek osobistych. To po prostu kompletny szaleniec. – Spojrzała na siostrę. –

Przepraszam, Kate. Powinnam była cię ostrzec.

–Przecież ostrzegałaś. To ja nie słuchałam.

Ann zwróciła się do Abramsa:

–Co jeszcze powiedział pański przyjaciel z policji?

Spoglądali na siebie przez chwilę i Abrams zrozumiał, że ona już wie. Odwróciła wzrok.

–Policja i CIA szukają oczywiście Thorpe'a. Poradziłem im, żeby spróbowali u sąsiadów – powiedział.

–Jeśli on tam jest, to nie ma się czego bać – parsknął Van

Dorn. – Kolejny powód, żeby zmieść to miejsce z powierzchni ziemi. – Zapalił niedopałek cygara.

Katherine wstała i wzięła głęboki oddech.

–Nie, George – powiedziała. – Zgadzam się z Tonym, że nie możemy tego zrobić. – Odwróciła się do Abramsa. – Ale nie ma wątpliwości, że musimy się tam dostać. – Zawahała się. – Mój ojciec tam jest. Prawdopodobnie także Peter... Uważam, że bezpośrednia konfrontacja przystoi nam bardziej niż ogień zaporowy.

George milczał.

–Jako profesjonalistka i osoba praktyczna chciałabym przyjrzeć się ich sprzętowi łącznościowemu. To może być klucz do zablokowania całej operacji – powiedziała Ann i zwróciła się do Van Dorna: – Żadnej artylerii, George. Zmierzymy się z nimi w bezpośredniej walce.

–W porządku.

Katherine położyła rękę na ramieniu Abramsa.

–Zgadzasz się?

Tony nie widział dużej różnicy pomiędzy ogniem z moździerza a wypadem komandosów, ale w tym drugim upatrywał więcej korzyści.

–Słuchajcie. Nie potrzeba wam mojej aprobaty. Róbcie, co chcecie. Jeśli tylko wam się uda, to możecie nawet władować kulę w tłusty brzuch Androwa. Ale na litość boską, niech pan Van Dom zostanie tutaj przy telefonie i niech próbuje powstrzymać ten wybuch.

Van Dom zaciągnął się mocno cygarem.

–Nie będę marnował czasu na bezsensowne przekonywanie was, że nie należy posyłać swoich ludzi do akcji, siedząc bezpiecznie w domu. Podczas wojny wysyłałem setki mężczyzn i kobiet na spotkanie z losem. Każdy musi wykonać swoją robotę. Dziś wieczorem moje zadanie polega na tym, żeby zostać przy telefonie i teleksie. I do diabła z każdym, kto źle o mnie pomyśli.

Ann objęła jego szerokie ramiona.

–Och, George, nikt nie będzie źle o tobie myślał. Jeśli nam się nie uda, to i tak przyjdą tutaj i zastrzelą cię.

Uśmiechnął się ponuro, odsunął się od Ann i poklepał umocowany pod ramieniem futerał na broń.

–W 1945 roku, w radzieckiej części Wiednia brałem udział w strzelaninie z dwoma głupcami z KGB. Wszyscy spudłowaliśmy. Tym razem będzie inaczej.

–Tak, George, nigdy nie jest za późno na poprawę. Ja oczywiście idę, bo znam się na ich sprzęcie. – Ann odwróciła się do Katherine. – Ty idziesz, bo musisz. – Spojrzała pytająco na Abramsa.

–Ja idę, bo mam niedobrze w głowie. – Wzruszył ramionami.

–Także dlatego, że mówisz po rosyjsku i znasz układ domu – powiedziała Kate, posyłając mu czarujący uśmiech.

–Powinieneś przerwać to nudne przyjęcie, George – powiedziała Ann do Van Doma.

–Nie mogę. To mogłoby wzbudzić podejrzenia. Na zaproszeniach wydrukowano pierwszą po północy, a w jakiś dziwny sposób moi sąsiedzi mają dostęp do tego rodzaju informacji. – Zastanawiał się przez chwilę. – Zresztą chciałbym tutaj wszystkich zatrzymać. – Spojrzał na Katherine. – Masz broń?

–Automatyczny browning, kaliber czterdzieści pięć.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął srebrny nabój tego samego kalibru.

–Wiem, że to melodramatyczny gest, ale byliśmy wtedy młodzi i lubiliśmy przedstawienia. Kula jest prawdziwa.

Wzięła ją od niego w milczeniu i zacisnęła w dłoni.

–Dobrze, George, jeśli nie powrócimy do czasu, gdy zgasną światła, to nie wahaj się i użyj swojej artylerii – powiedziała Ann.

–Jeśli nie wrócicie albo jeśli nie dacie jakiegoś znaku do północy, to po ataku IEM czy przed nim wystrzelę z moździerza. Co wy na to?

Skinęli głowami. Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Marc Pembroke. Ann uśmiechnęła się na jego widok.

–W pełnym rynsztunku co, Marc? Gotowy do wykonania zadania?

–Och, cześć, Ann. Szmata czasu. – Odwrócił się do Van Doma. – Dziś wieczorem, zgadza się?

–Tak. – George spojrział na Abramsa, a potem odezwał się do Pembroke'a: – W

piwnicy są dzieci. Nie są oczywiście niczemu winne. Są tam też kobiety i personel dyplomatyczny. Powiedz, co o tym sądzisz.

–To pewna komplikacja, ale żaden problem. Kiedy wyruszamy?

Van Dom spojrział na zegarek.

–Wystarczy ci pół godziny?

–Jeśli to konieczne, to tak.

–W takim razie zbierz ludzi i sprowadź ich tutaj.

–Idę po nich. – Pembroke odwrócił się.

–Jeszcze jedno! – zawołał za nim Van Dom. – Najwyższy czas,

żeby wyrównać stare rachunki tutaj na miejscu. Tak jak to ustaliliśmy.

Pembroke skinął głową i szybko wyszedł. George podszedł do biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

–Podczas ostatniej wojny radary dawały nam godzinne ostrzeżenia – mówił, wykręcając numer. – Dzisiaj musi wystarczyć piętnaście minut. A ja dałem im kilka godzin. Mam nadzieję, że wykorzystali ten czas z pożytkiem. – Odezwał się do słuchawki: – Halo, mówi Van Dom. Przeszliśmy przez ogień i wodę. – Rozpoczął rozmowę z kimś na drugim końcu linii.

Abrams podszedł do ściany zawieszonych równymi rzędami fotografii. Katherine stanęła za nim.

–Tak naprawdę, to już czterdzieści lat temu otrzymaliśmy ostrzeżenie, nie sądzisz?

Nie odpowiedział.

–Nie zdążyliśmy nawet dobrze się poznać – powiedziała cicho.

–Jesteśmy umówieni na jutro na śniadanie. W Brasserie.

–Nie spóźnij się. – Odwróciła się i podeszła do siostry.

Tony stał nadal przed fotografiami, ale nie zwracał na nie większej uwagi. Pomyślał, że jednak historia toczy się kołem.

Przypominał sobie, jak jego rodzice i ich przyjaciele spotykali się w różnych podłych miejscach, spiskując i planując dzień, w którym robotnicy zrzucą wreszcie swoje kajdany. Pomyślał też o George[^] Van Domie, który wdał się w strzelaninę ze swoimi przyszłymi wrogami na ulicach Wiednia. Zastanawiał się nad osobowością Jamesa Allertona pozostającego od ponad pół wieku w służbie obcego mocarstwa, dzięki czemu mógł pretendować do miana zdrajcy wszech czasów. Snuł refleksje na temat pamiętnika Kimberly'ego, szyfru Arnolda Brina i innych nieaktualnych już szyfrów, kartotek i przedmiotów należących do zmarłych i do żyjących. Pomyślał w końcu, że w jakiś fatalny sposób przeszłość powróciła, aby pogrzebać tych, którzy żyją, i tych, którzy się jeszcze nie narodzili.

Ciaudia Lepescu szła szybko wąską ścieżką przecinającą urwisko. Z rozciągającego się powyżej szerokiego trawnika dochodziły ją krzyki jakiegoś mężczyzny. Sądząc po brytyjskim akcencie, był to jeden z ludzi Pembroke'a. Zrzuciła pantofle na wysokim obcasie i pobiegła w dół wąską ścieżką, obawiając się tylko upadku z krawędzi skały. Usłyszała za sobą kroki dwóch ludzi.

Dotarła do końca stoku i zbiegła po porośniętym wawrzynem zboczem. Biegła coraz szybciej. W pewnej chwili potknęła się i upadła. Ścigający ją mężczyźni usłyszeli jej krzyk i rzucili się w jej kierunku. Zerwała się na nogi i biegła dalej, aż dotarła do ogrodzenia. Chwyciła się pali i oddychała głęboko, wpatrując się w ich ostre wierzchołki rysujące się na tle nieba jak zęby smoka. Odwróciła się i oparła plecami o płot. Gwałtowne podmuchy pomocnego wiatru poruszały gałęziami, a ciemne pierzaste chmury przesuwaly się na tle białej tarczy księżyca. Północno-wschodnią część nieba rozświetliła błyskawica. W oddali ujrzała nierucho; me sylwetki dwóch mężczyzn. Jeden z nich wykrzyknął:

–Ciaudia! Nie zrobimy ci krzywdy! Ciaudia!

Ziemią wstrząsnął grzmot, zagłuszając głos wołającego. Odwróciła się i ruszyła niepewnie wzdłuż ogrodzenia, nie widząc jednak dostępnego dla siebie przejścia. Powiedziano jej, że z tej strony można się wspiąć na płot po przybitych do sztachet poziomych belkach, ale palisada była od niej dwa razy wyższa i nie wydawało się to możliwe. Znowu usłyszała za sobą kroki na żwirze.

Ciaudia przebiegła następne pięćdziesiąt jardów i zatrzymała się, aby złapać oddech. Miała poranione stopy i czuła sączącą się przez pończochy krew. Jej czarna suknia z włóczki była już w kilku miejscach podarta, a na twarzy i ramionach miała zadrapania i siniaki. Czuła zimne strumyczki potu spływające po ciele.

Nagle ciemność rozświetliły dwa strumienie światła z latarek. Ciaudia przykucnęła za małym krzakiem. Światła latarek przeszukiwały systematycznie przestrzeń wzdłuż płotu i otacza419 jące go zarośla wawrzynu. Poczekala, aż ją minęły, a potem wstała i ruszyła w stronę płotu. Starala się uchwycić oparcie stopami i rękami, ale pierwsza pozioma belka była za wysoko i Ciaudia ześliznęła się w dół. Drzazgi cedrowego drewna wbiły się w jej skórę.

–Mamy cię. – Kroki były coraz bliżej.

Ciaudia poczuła łzy w oczach i słony smak potu na wargach.

–Mam broń! – krzyknęła.

Kroki zwolniły, a światła zgasły. Jeden z mężczyzn odezwał się:

–Teraz spokojnie. Okrążamy.

Ciaudia spojrzała jeszcze raz na płot. Wyglądał jak jedna z tych palisad, które widywała w westernach. To jej podsunęło pomysł użycia lasa. Zdjęła szybko pończochy i poszła po omacku wzdłuż płotu, aż natrafiła na duży kamień. Wsunęła kamień w jedną z pończoch, zawiązała węzeł, żeby nie wypadł. Potem zawiązała ze sobą obie pończochy i chwyciła końcówkę. Wstała, zakręciła prowizorycznym lassem ponad głową i zarzuciła je na płot. Przy drugiej próbie obciążona kamieniem pończocha wpadła pomiędzy dwie sztachety. Ciaudia napięła ją, żeby się mocniej zaklinowała i rozpoczęła wspinaczkę, przesuwając ręce po nylonowym sznurze, a nogami opierając się o płot. Nylon napiął się tak mocno, że Ciaudia wystraszyła się, że nie wytrzyma. Wymacała stopami pierwszą poprzeczną belkę. Odpoczęła chwilę i ruszyła dalej. Wkrótce dotarła do drugiej belki.

Latarki znowu się zapaliły. Strumień światła zatrzymał się na jej twarzy.

–Stać, bo będziemy strzelać! – krzyknął mężczyzna.

Usłyszała przerażający odgłos odbezpieczonej broni. W ostatnim zrywie zrodzonej ze strachu energii wywindowała się w górę i poczuła ostre czubki sztachet na piersiach i brzuchu. Z dwóch różnych kierunków dobiegło ją szczeknięcie strzałów. Płot zakołysał się. Wydała okrzyk przerażenia, zamknęła oczy i przetoczyła się łagodnie na drugą stronę. Zanim zdała sobie sprawę z tego, że spada, poczuła zapierające dech uderzenie o ziemię. Przez kilka sekund leżała nieruchomo, a potem odważyła się wciągnąć powietrze w płuca. Usłyszała hałas przy płocie i zdała sobie sprawę, że nie wciągnęła za sobą pończoch i że jej prześladowcy robią z nich użytek. Skoczyła na równe nogi i zaczęła biec. Za częściowo wykarczowanym pasem ziemi plama księżycowej poświaty oświetlała ciemny zarys niskiego, kamiennego muru znaczącego

granicę radzieckiej posiadłości. Ciągłe słyszała za sobą odgłosy pościgu i nie zważając na ból, starała się przyspieszyć. Obcisła suknia hamowała jej kroki, więc zwolniła nieco, żeby ją podciągnąć i wetknąć za pasek. Rzuciła się naprzód tak szybko, jak umiała. Ludzie Pembroke'a byli tuż za nią, ale z powodu bliskości terenu Rosjan nie strzelali, nie wołali za nią ani nie używali latarek. Kamienny mur był już o dwadzieścia stóp od niej, potem o dziesięć, aż w końcu mogła położyć na nim ręce i przeskoczyć na drugą stronę. Bez zastanowienia pobiegła w krzaki. Ścigający ją mężczyźni zatrzymali się przy murze. Claudia zwolniła kroku i bardziej ostrożnie zaczęła wybierać szlak na wznoszącym się terenie. Nagle ze wszystkich stron rozbłysły światła i usłyszała szczenięcie głosu mówiącego z chrapliwym, angielskim akcentem:

–Stać! Stać, bo będziemy strzelać!

Zamarła.

–Ręce na głowę!

Zrobiła, co kazano.

–Uklęknij!

Opadła na kolana, czując, jak jej nagie stopy zagłębiają się w wilgotną, gnijącą roślinność. Światła raziły ją w oczy, więc zamknęła je, myśląc, że być może mają rozkaz, żeby zastrzelić ją zaraz tutaj, na miejscu. Minęła nieskończenie długa chwila, zanim usłyszała odgłos odbezpieczanej broni.

Dwaj ludzie Pembroke'a, Cameron i Davis, stanęli cicho przy niskim murze. Davis podniósł lunetę i zbadał rozciągający się na wprost zalesiony teren. Słabe światło przysłoniętego chmurami księżycy i gwiazd, lecz elektronicznie wzmocnione, dało zabarwiony na zielono obraz. Davis dopasował ogniskową.

–Mam. Odcięli jej drogę, ale nie widzę, co się dzieje.

–Wracajmy – powiedział Cameron. Odwrócili się od muru i przeszli przez pas ziemi niczyjej w kierunku palisady. Pięć jardów od płotu okrążyli stosy drewna i uklękli w ukryciu.

Schowany obok Tony Abrams przyglądał im się w bladym świetle. Zauważył, że inaczej niż zwykli żołnierze, których ekwipunek i mundury musiały służyć w różnych okolicznościach i w różnym terenie, ci ludzie byli przygotowani do wykonywania tylko jednego, szczególnego zadania: krótkiego, szybkiego, nocnego wypadu.

Ich ubrania i wyposażenie wykonano z czarno-szarej panterki, ich twarze były mroczne i nieprzeniknione. Cameron zwrócił się do Abramsa:

–Pluskwy?

–Nic na to nie wskazuje – odpowiedział Tony, patrząc na wykrywacz mikrofonów.

Cameron skinął głową. Klęcząca za Abramsem Katherine wyszeptała:

–Co się dzieje?

–Dopadli ją. – Cameron wzruszył ramionami.

–Ale nie wiadomo, jak do tego doszło – dodał Davis.

–Mam nadzieję, że nie wpadną na to, że upozorowaliśmy jej ucieczkę po to, aby zająć pozycje – powiedział Abrams.

–Kiedy przejdziemy na drugą stronę? – zapytała Katherine.

Cameron spojrzał na zegarek.

–Już niedługo.

–Naliczyłem przynajmniej pięciu. Jeśli dwóch z nich odprowadzi ją do domu, wtedy nasze szanse będą większe.

Abrams pomyślał, że trzech Rosjan to o trzech za dużo w jego planach na dzisiejszy wieczór. Spojrzał na Camerona i Davisa.

Nawet z tak bliskiej odległości byli prawie niewidoczni. Z zawodowego punktu widzenia ich ekwipunek budził podziw: czarne kaptury i kuloodporne kamizelki, lekki, pierwszorzędnej jakości sprzęt ratowniczy, wszystko w ciemnym kolorze. Spojrzał w bok na podobnie ubraną i wyposażoną Katherine, której blond włosy schowane były pod kapturem. Pochyliła się i szepnęła mu do ucha:

–Czuję się pewnie. To dobrzy fachowcy. Damy sobie radę.

–Nie wątpię – uśmiechnął się Abrams.

Pocałowała go w policzek.

Cameron wyciągnął zza paska raketnicę i wypalił w niebo.

Rakieta wybuchła białoniebieskim snopem iskier na wysokości stu stóp.

–To sygnał, że Claudia przeszła na drugą stronę – wyjaśnił Cameron Abramsowi i Katherine. – Pirotechnicy Van Doma powinni go zauważyć i po tym wybuchu powinny nastąpić dalsze.

Zanim skończył mówić, niebo rozbłysło światłem rakiet.

–Fajerwerki to niezły sposób na to, żeby zamaskować rakietę sygnalizacyjną. Ten hałas także da nam pewną przewagę – zauważył Davis.

–Bez radiostacji możemy mieć kłopoty z łącznością, dowodzeniem i kontrolą, ale oni mają do dyspozycji niezły sprzęt monitorujący, a przecież nie chcemy postawić na nogi straży – dodał Cameron.

Abrams skinął głową i pomyślał: Jeśli się wam wydaje, że możemy mieć problemy z łącznością, to poczekajcie, aż wszystkie odbiorniki radiowe w Ameryce Północnej przestaną działać. Spojrzał na ludzi Pembroke'a. Kiedy spotkał ich w jednym z pomieszczeń w piwnicy Van Doma, przypomniał sobie, że to właśnie ich widział na cmentarzu. Pembroke powiedział mu, że obydwoj należeli poprzednio do królewskich komandosów, obydwoj byli weteranami wojny na Falklandach i zostali zwerbowani przez Pembroke'a, gdy ich służba dobiegała końca. Cameron był Szkotem, a Davis Anglikiem. Zgodnie z tym, co mówił George, Pembroke wynajmował tylko byłych żołnierzy brytyjskich: Anglików, Szkotów, Irlandczyków i Walijszczyków.

Tony spojrzał na niebo. Wiał teraz spokojniejszy wiatr, przesuwiał się front atmosferyczny. Szare, niewielkie chmury sunęły szybko po niebie z północy na południe. Powietrze było chłodne i pachniało deszczem. W kierunku północno-wschodnim, nad cieśniną Long Island, w stronę Connecticut przetoczył się grzmot i w długich odstępach rozbłysły błyskawice. Przypomniał sobie, co powiedział Van Dom podczas ostatniej rozmowy: „Jeśli całe niebo na zachodzie rozświetli się blaskiem błyskawic, będziecie wiedzieć, że chwila nadeszła. Waszym zadaniem nie będzie już uderzenie obronne, ale zemsta. Naciskajcie. Weźcie ze sobą, ilu tylko zdołacie. Nie będzie powodu, żeby wracać”. Abramsowi było trudno pogodzić łagodny, przeznaczony dla ogółu wizerunek O'Briena, Van Doma i ich przyjaciół, z ich skłonnością do angażowania się w polityczne morderstwa i ataki komandosów.

–Tony, spójrz – Katherine przerwała tok jego myśli.

Poszedł za jej spojrzeniem. W niebo wzbila się ogromna rakietą, której ognistym pióropuszem igrał wiatr. Nagle przyjęła kształt ognistej kuli. Abrams nigdy przedtem nie widział czegoś takiego.

Nocnym powietrzem wstrząsały eksplozje. Tony poczuł nawet falę uderzenia i zobaczył, jak drżą drzewa. Chwilę później zaczęły wybuchać mniejsze rakiety. Z odległości około dwustu jardów dobiegł go zgrzyt umieszczonych na słupie głośników Van Doma i pierwsze dźwięki brytyjskiego hymnu Boże, chroń królową. Niezłe pociągnięcie, George, pomyślał. Cameron i Davis wstali, a za mmi Abrams i Katherine.

–Idziemy gęsiego w odstępach dziesięciu stóp. Uważajcie teraz. Przechodzimy na drugą stronę.

Abrams nigdy przedtem nie słyszał niczego podobnego, chyba że w brytyjskich filmach wojennych. Spojrzał na Kate. Mrugnęła

do niego i chcąc dodać mu otuchy, wysunęła kciuk w górę, a potem głębiej nasunęła kaptur na twarz. Ruszyli naprzód do celu: pokoju łączności na poddaszu. Mieli do pokonania pół mili, ale Abrams pomyślał, że ostatnie kilka jardów po schodach na poddasze -jeśli uda im się zejść tak daleko – będą, jak powiedziałyby Cameron, trochę ryzykowne. Zastanawiał się, czy spotka jeszcze raz Androwa. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby zobaczyć Aleksego Kalina albo Petera Thorpe'a. Zastanawiał się też, co czuje Katherine na myśl o możliwości konfrontacji z ojcem. Pomyślał, że tego wieczoru rozszalały się złe moce zrodzone z wiatru nadchodzącej burzy. I że wszystkie prądy historii i czasu spotkają się w tym postawionym na szczycie wzgórza domu, za następną linią drzew. Doszedł do wniosku, że moce te sprzyjają zuchwałym, a gubią słabych i niezdecydowanych.

57

Kar! Roth przejechał ćwierć mili Dosoris Lane w kierunku południowym, zanim zasygnalizował zamiar wjazdu na teren Rosjan. Kierujący ruchem rozpoznał Rotha i jego dostawczą furgonetkę i machnięciem ręki zezwolił na wjazd. Roth skręcił w prawo i przejechał przez chodnik pomiędzy policyjnymi zaporami w stronę wartowni znajdującej się około trzydzieści stóp za bramą. Zbliżył się do małego, oświetlonego domku i zatrzymał furgonetkę na wprost drzwi wejściowych. Trzęsły mu się ręce i nogi. W dalszej części podjazdu pojawiło się dwóch uzbrojonych wartowników. Kari wygasił reflektory i opuścił szybę. W drzwiach wartowni stanął jakiś cywil. Roth przełknął ślinę i przywitał go po angielsku:

–Jak się masz, Bunin?

–Co tu robisz, Roth? – zapytał Bunin, także po angielsku. – Mówili, że przyjedziesz później.

Roth wysunął głowę przez okno.

–Musiałem przyspieszyć przyjazd.

Bunin pochylił się do przodu i oparł ręce na szybie. Zajrzał do środka.

–Gdzie twoja żona? Mówili, że przyjedzie razem z tobą.

–Została u Van Doma.

–Śmierdzisz whisky i wyglądasz okropnie – stwierdził Bunin, przyglądając mu się badawczo. Roth nie odpowiedział. – Trzymają nas tu wszystkich w pełnym pogotowiu – wyszeptał Bunin. – Wiesz może dlaczego?

–Myślisz, Bunin, że mówią mi o wszystkim? – Wzruszył ramionami.

–Masz coś dla nas?

Roth zwilżył wargi i spojrzał w stronę wartowni. Przez okno widać było młodego, umundurowanego mężczyznę piszącego coś przy biurku. Strażnicy na podjeździe stali kilka stóp od furgonetki. Spojrzał w boczne lusterko i zauważył, że z tego miejsca nie widać ani bram, ani ulicy.

–Roth!

–Tak, tak. Mam bliny, kawior i twarożek. Otwórzcie tylne drzwi.

Bunin dał sygnał strażnikom, którzy przeszli szybko na tyły samochodu. Marc Pembroke przykucnął za zamkniętym lewym skrzydłem drzwi. W rękach trzymał pistolet wymierzony w tył głowy Rotha. Brezent pokrywał stos paczek, pomiędzy którymi leżeli dwaj ludzie Pembroke'a, Sutter i Llewelyn. W dużej, wbudowanej z boku skrzyni leżała Ann Kimberiy.

Prawa strona drzwi otworzyła się i dwaj strażnicy zaczęli wyciągać pojemniki z żywnością. Pembroke spojrzał szybko w prawą stronę. Ramię jednego z mężczyzn było oddalone o mniej niż trzy stopy od jego nogi. Spojrzał na Rotha i zauważył, że dostawca obserwuje strażników i Pembroke'a we wstecznym lusterku.

Gdyby miał zamiar ich zdradzić, to nastąpiłoby to teraz. Ale wyglądało na to, że Roth jest sparaliżowany ze strachu. Dobiegło go trzaśnięcie drzwi i usłyszał kroki strażników oddalające się w stronę wartowni.

–Poczekaj tutaj – powiedział Bunin do Rotha. – Muszę zadzwonić do rezydencji, żeby się dowiedzieć, czy chcą cię już widzieć.

Roth nie odpowiedział.

–Teraz – wyszeptał Pembroke.

Llewelyn i Sutter odrzucili brezent. W tej samej sekundzie Ann Kimberiy wyskoczyła ze skrzyni. Pembroke pchnął obie części drzwi i czworo ubranych na czarno ludzi wyskoczyło na podjazd, szybko ominęło furgonetkę i wpadło do małego pokoju z

przodu wartowni. Dwaj strażnicy niosący pojemniki odwrócili się zdumieni. Młody, umundurowany mężczyzna za biurkiem

wstał i patrzył, co się dzieje. Obok biurka stał Bunin, sięgając lewą ręką do telefonu wiszącego na ścianie.

–Nie ruszać się! – krzyknęła Ann po rosyjsku. Bunin wsunął szybko prawą rękę do kieszeni marynarki. Pembroke oddał krótką serię ze swojego M-16. Kule rzuciły ciałem Bunina o ścianę.

Na ułamek sekundy wyprostował się, zrobił krok naprzód i przewrócił się, padając u stóp trzymającego w górze ręce mężczyzny.

Strażnicy upuścili pojemniki, z których na drewnianą podłogę wysypały się bliny, kawior i twarożek. Wydawało się, że Bunin przygląda się temu bałaganowi, obserwując jednocześnie płynącą w stronę jedzenia szkarłatną strugę krwi.

Ann wydała serię dobitnych rozkazów. W ciągu kilku minut trzej pozostali Rosjanie leżeli związani i zakneblowani w pokoju na tyłach wartowni. Sutter stanął obok furgonetki, pilnując Rotha i obserwując podjazd. Llewelyn sprawdził tętno Bunina, stwierdził jego brak i posadził ciało zabitego za biurkiem, tak żeby każdy przejeżdżający obok samochodem mógł go zobaczyć przez okno. Pembroke znalazł w szufladzie biurka książkę raportową i wziął ją ze sobą. Cała czwórka wycofała się szybko do furgonetki.

–To było niezłe przedstawienie, Kari – powiedział Marc do Rotha. – Zdaje się, że ta whisky pomogła ci trochę. Zapal reflektory. Ruszaj!

Kari włączył drżącą ręką reflektory i zapuścił silnik. Ann uklękła obok Pembroke'a i w świetle małej latarki przejrzała strony książki raportowej.

–Meldunki pojawiają się co trzydzieści albo czterdzieści minut. Bunin złożył ostatni dziesięć minut temu, więc przez pewien czas niczego nie odkryją.

Pembroke skinął głową. Milczeli, kiedy furgonetka przesuwała się powoli w górę zwirowanego podjazdu w kształcie litery S.

Sutter obserwował drogę przez tylne okna. Llewelyn przechylił się ponad siedzeniem i spoglądał przez przednią szybę. Ann przerzuciła kilka stron dziennika i powiedziała:

–Dwie godziny temu zanotowano przyjazd Petera Thorpe'a.

Nie odnotowano jego wyjazdu.

Pembroke znowu skinął głową.

–Andrew wydał rozkaz aresztowania Karla oraz Maggie Rothów natychmiast po ich przyjeździe – dodała Ann. Mrugnęła do Pembroke'a, który uśmiechając się, odwrócił się w stronę Rotha.

–Słyszałeś?

Tamten skinął głową, ale nic nie powiedział. Ann przewróciła kolejną stronę.

–Och, coś ciekawego... Co pewien czas do wartowni przyjeżdża oficer straży, żeby podpisać dziennik. Ostatnim razem był przy bramie prawie godzinę temu. Może się tam zjawić w każdej chwili.

Roth krzyknął i wszyscy zwrócili się w jego kierunku. Przez przednią szybę zobaczyli odbijające się od drzew za zakrętem światło pojedynczego reflektora.

–Jedź dalej, aż będziesz w odległości dziesięciu stóp, a potem zatrzymaj się – warknął Pembroke do Rotha.

Cała czwórka schowała się za przednimi siedzeniami. Zbliżające się światło rozjaśniło wnętrze furgonetki. Pembroke przyłożył pistolet do karku Rotha.

–Kto to jest?

–To oficer straży. Jeździ otwartą lambrettą z kierowcą – odpowiedział Kar! drżącym głosem.

–Nie pozwól, żeby cię wyminął – ostrzegł go Marc. \ Roth skinął głową i poczuł na karku zimny dotyk lufy. Skiero; wał pojazd na środek wąskiej ścieżki i zatrzymał się. Kierowca, wykrzyknął coś po rosyjsku.

I- Pyta, co Roth sobie myśli – wyszeptała Ann do Pembroke'a.

–Dobra, wycofaj się powoli i pozwól mu przejechać z prawej strony – rozkazał Marc.

Roth włączył wsteczny bieg i rozpoczął cofanie. Motocyklista ruszył małym, trójkołowym pojazdem w stronę luki pomiędzy prawym bokiem furgonetki a kamiennym murem podjazdu. Kiedy tylko lambrettą weszła w zasięg wzroku Pembroke'a, ten przesunął drzwi po prawej stronie. Na odgłos rozsuwanych drzwi obaj mężczyźni na motocyklu odwrócili się w jego kierunku i zobaczyli J lufy oddalonych o mniej niż trzy stopy automatycznych pistolel^tów. Kierowca krzyknął z przestachu. Pistolety plunęły ogniem. ^Kierowca spadł z siodełka, pociągając lambrettę za sobą. Oficer plji wygramolił się spod pojazdu i wstał, trzymając się za pierś. Poty|||;kając się, ruszył w stronę drzew, zachwiał się i upadł. Pembroke Ji;t Llewelyn wyskoczyli z furgonetki, dobili Rosjan strzałami w głoi We i zaciągnęli ich dała między drzewa. Sutter pomógł im postaJ| 'wic lambrettę i potoczył ją pomiędzy drzewa. Wskoczyli do furgon|| -notki.

–Ruszaj.

Roth zapuścił silnik i koła zachrzęściły na żwirze.

–To chyba dobrze, że nie pozwoliliśmy im przejechać – przerwała ciszę Ann.

–Tak, jechali prosto do wartowni.

–A jednak mogliśmy ich wziąć do niewoli.

–Mamy już spóźnienie – uciął krótko Marc.

–Całe szczęście, że na nich wpadliśmy. Nie ten jeden posterunek straży zostanie dziś wyeliminowany z gry – dodał Llewelyn. – Nie chcemy, żeby zmotoryzowany oficer kręcił się po okolicy i sprawdzał porządek.

Ann nie odpowiedziała.

–Rozumiem, że to dla ciebie coś nowego – odezwał się Pembroke. – Jeśli okaże się później, że sprawy nie idą po naszej myśli, będziesz żałować, że nie wzięliśmy z sobą jeszcze kilku. To jest niestety krwawy interes. Ale to jest interes.

Furgonetka pokonała ostatni zakręt na podejździe. Przed nimi pojawił się budynek, którego sylwetka rysowała się na tle rozświetlonego nieba. Dom był ciemny, jedynie na poddaszu świeciło się we wszystkich oknach.

–Pracują dziś do późna – zauważył Pembroke.

–Wygasimy światła i położymy ich spać – powiedział Sutter.

Pembroke skinął głową.

–Jak się czujesz, Kari? – zapytał.

Roth odetchnął głęboko i skinął głową, ale nic nie powiedział.

Spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej i zaczął się zastanawiać, kiedy zacznie działać trucizna. Miał nadzieję, że już niedługo.

Furgonetka wjechała na długi dziedziniec i skierowała się w stronę domu.

–Panie i panowie, przed wami Killenworth – powiedział Marc. – Zatrzymamy się tutaj na chwilę, żeby rozprostować kości. Nie zapomnijcie zabrać ze sobą broni.

Roth potrząsnął głową. Szaleństwo, pomyślał.

Tbm Grenville uważał się za dobrego kompana, lecz także zdawał sobie sprawę z tego, że zgodnie z pełnym niedomówień stylem obowiązującym w tej zbiorowości, sugestie przełożonych tak naprawdę są rozkazami, podobnie jak wtedy, gdy był porucznikiem w marynarce wojennej. Życzenie kapitana jest rozkazem.

428

Kiedy więc George Van Dom stwierdził, że nie zachwycą się golfem, Tom Grenville poddał się, choć on sam uwielbiał ten sport.

George nie był jednak osobą, która bez powodu wygłaszałyby arbitralne sądy. Kierowały nim praktyczne cele: stwierdził, że rękom mężczyzny przystoją nie kije golfowe, lecz broń. W rezultacie Grenville zajął się strzelaniem do rzutków, polowaniem, i zawodami w strzelaniu do tarczy. Przypomniawszy sobie, jak około roku temu, w porze lunchu, O'Brien i Van Dom zapytali go, czy kiedykolwiek zastanawiał się nad skokami ze spadochronem. Grenville nigdy nie zastanawiał się nad tym bardziej niż nad możliwością skoku z Niagary w beczce, ale odpowiedział z entuzjazmem, że tak.

Kiedy nadszedł moment prawdy przed pierwszym skokiem, Grenville przeżywał uzasadnione obawy. Zdał sobie jednak sprawę, że prawie wszyscy spośród starych członków BSS byli kiedyś spadochroniarzami i że wielu z nich, na przykład O'Brien, skakało dalej. Zamknięte kiedyś drzwi otworzyłyby się przed młodym człowiekiem, który potrafiłby skakać z Patrickiem O'Brienem i jego przyjaciółmi. Van Dom byłby zadowolony, podobnie jak O'Brien i pozostali wspólnicy firmy.

Rozejrzał się po blado oświetlonej kabinie dużego, ratowniczego helikoptera typu Sikorsky, który mógł jednocześnie spełniać funkcję amfibii. Kierujący skokami Bamey Farber był starym przyjacielem O'Briena i Van Doma. Firma Farbera, związane z przemysłem obronnym przedsiębiorstwo elektroniczne, przejęła | ten helikopter od marynarki wojennej. Na ławce po przeciwnej | stronie siedzieli dwaj inni oldboye: Edgar Johnson, emerytowany | niedawno generał oddziałów spadochronowych i Roy Hallis, na t | wpół emerytowany agent CIA. ; Grenville wiedział, że cała ta operacja została zaplanowana i jest pod ich kontrolą. I nie doszłaby do skutku, gdyby kilku z tych weteranów nie brało osobiście udziału w tym locie. Grenville spojrzał na Johnsona i Hallisa. Obydwaj byli uczestnikami drugiej wojny światowej, choć nie dałby im więcej niż sześćdziesiąt lat. Pomyślał, że to jest ich ostatnie zadanie, ostatni skok.

Być może wychowankowie BSS po raz ostatni wezmą bezpośredni udział w takiej operacji. Nawet oni byli już zbyt starzy, żeby wykonywać skoki bojowe. Przyglądał im

się badawczo. Wyglądało na to, że są przygotowani nawet na walkę pod ostrzałem, czego on o sobie nie mógł powiedzieć. Miał mdłości. Helikopter osiadł , na swoich pontonach na środku cieśniny Long Island i mocno się kołysał. Podniósł się wiatr i fale uderzały o kadłub. Grenville nigdy przedtem nie cierpiał na chorobę morską.

Obok niego siedziało dwóch ludzi Pembroke'a: Collins i Stewart. Pomyślał, że w swoich czarnych strojach wyglądają wyjątkowo złowieszczo.

–Skakałeś kiedyś w nocy, chłopie? – zapytał Stewart.

–Kilka razy – odpowiedział zgodnie z tym, co radził mu kiedyś O'Brien. – Łatwiej to zrobić ze sztywno zawieszzonego helikoptera.

–Tak.

–Ale nie przy dzisiejszej pogodzie. Luźno zawieszony amortyzuje przynajmniej podmuchy wiatru.

Grenville pokiwał niepewnie głową.

–To jak próba skoku z rozkołysanej łodzi. Uważaj, żebyś nie zaczepił o ponton. Widziałem, jak coś takiego przydarzyło się pewnemu chłopakowi na południowym Atlantyku.

Tom wiedział, że południowy Atlantyk oznaczał Falklandy.

Wydawało się, że Stewart wie o wszystkich nieszczęściach i katastrofach, które mogą powalić istotę ludzką.

–Złamał kark – dodał Stewart.

Grenville poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Jedynym pocieszeniem był fakt, że kamuflaż maskował kolor, który prawdopodobnie przybrała jego twarz. Collins zapalił cygaro i kabina wypełniła się dymem. Odezwał się z silnym irlandzkim akcentem:

–Ten wiatr przedmucha ci tyłek, jeśli za szybko otworzysz spadochron, chłopie. – Grenville był coraz bardziej nieszczęśliwy.

Collins radził dalej: – Czekać do ostatniej chwili, a później daj sobie jeszcze parę sekund, żeby zdobyć całkowitą pewność, odmów szybko „zdrowaśkę” i pociągnij za dźwignię. – Zaśmiał się.

Dowódca położył ręce na słuchawkach, nasłuchiwał przez chwilę i powiedział do mikrofonu:

–Przyjąłem. – Wstał i dodał: – Mamy rozkaz do działania.

Zanurkował do kabiny pilota, poklepał go po ramieniu i w geście powodzenia pokazał mu kciuk. Pracujący na luzie silnik przyspieszył obroty z ogłuszającym rykiem. Grenville poczuł, jak helikopter próbuje oderwać się od wody. Maszyna uniosła się nad wzburzonym morzem. Kołysanie zmieniło się w huśtawkę. Tom odwrócił głowę i spojrzał przez kwadratowe okno. Byli już na wysokości stu stóp, ale jego żołądek zachowywał się tak, jakby wciąż kołysali się na powierzchni morza.

Ponad rykiem silnika dało się słyszeć głos Stewarta:

–Ten cholerny księżyc jest dziś w pełni i prawie wcale nie jest zasłonięty chmurami. Zauważą nas jak amen w pacierzu, Tom. –

Grenville starał się nad sobą zapanować. – Nie miałbym też nic przeciwko temu, żeby nie było tych pieprzonych błyskawic. Widziałeś kiedy, Tom, trafionego piorunem spadochroniarza?

–Ostatnio nie.

–Co powiedziałeś, chłopie? Nic nie słyszę!

Grenville spoglądał na niego przez kilka chwil, a potem wykrzyknął:

–Powiedziałem, że uwielbiam skakać w czasie nocnego sztormu! Wprost nie mogę bez tego żyć!

–Och, Tom, mój chłopie, zanim minie ta noc, będzie z ciebie prawdziwy komandos – zarechotał Collins.

Grenville wstał i ruszył do przodu. Przytrzymując się drzwi, wyrzwał w noc. Helikopter wznosił się coraz wyżej. Tom nie chciał być komandosem. Chciał być tylko współwłaścicielem firmy i był gotów ciężko pracować, aby osiągnąć swój cel. Czasami jednak Van Dom i O'Brien wymagali od niego zbyt wiele. Nocny skok na terytorium uzbrojonego wroga to naprawdę było już za dużo.

59

Joan Grenville krążyła niespokojnie po małym piwnicznym pokoju jasno oświetlonym rzędami fluorescencyjnych lamp. Ponad nim znajdował się zamknięty kort tenisowy, będący kiedyś częścią Killenworth, a należący teraz do lokalnego oddziału YMCA. Wysoki płot zwieńczony kolczastym drutem oddzielał chrześcijan od ateistów. Joan przypomniała sobie, jak Tom wspominał, że w głównym budynku YMCA mieściło się prawdopodobnie biuro FBI, ale nie widziała tu śladów innej organizacji niż BSS.

Stanicy Kuchik leżał wyciągnięty na dużej paczce i śledził jej ruchy.

–Boi się pani czegoś, pani Grenville?

–Po pierwsze, mów mi Joan, a po drugie, tak, boję się.

Staney nie znał żadnej dojrzałej kobiety podobnej do niej. Był nią bardzo zainteresowany. Przyglądał się jej spod oka. Czarny kombinezon opinał ściśle jej ciało.

–Hej, możesz tu zostać, jeśli chcesz – powiedział. – Sam też sobie dam radę.

Joan zazgrzytała zębami.

–Stanicy, przestań mnie traktować jak młodą dziewczynę.

Jestem dorosłą kobietą. Potrafię równie dobrze zrobić to co i ty, i to nawet lepiej.

–Pewnie, pani... okay, Joan. – Staniey uśmiechnął się do niej. – Zdaje się, że to robota w sam raz dla nas dwojga.

–Zaczyna boleć mnie głowa. – Joan przycisnęła palce do skrom.

–Czy jesteś jednym z tajnych agentów Van Doma? – zapytał Stanicy.

–Zdaje się, że już tak. – Opadła na ławkę i ścisnęła głowę rękami, przypominając sobie pogrożki Van Doma. A ten idiota Tom dał się nabrać. Wyglądało to w ten sposób, że George podszedł do niej, położył ręce na jej ramionach i powiedział:

–Joan, oboje wiemy, że nie chcesz zrobić tego, o co cię proszę, bo się boisz. Ale twój kraj jest w niebezpieczeństwie. Potrzebujemy cię. – Wyjaśnił krótko sytuację i zapytał: – Czy pomożesz swojej ojczyźnie?

–W jaki sposób dałaś się wciągnąć w to wariactwo? – Głos Stanieya przerwał jej rozmyślenia.

–Mój kraj mnie potrzebuje.

–Ja to robię dla frajdy – powiedział po chwili wahania. – To moje dziesiąte zadanie.

Joan spojrzała na niego z powątpiewaniem. Chciała już powiedzieć, że to bzdury, ale przyszło jej na myśl, że być może jej życie zależy od tego buńczucznego wyrostka. Rzuciła mu spojrzenie, które wyrażało jednocześnie zdziwienie i strach.

–To niewiarygodne.

Stanicy zarumienił się.

–Trzymaj się mnie, a wrócisz tu cała i zdrowa.

–Okay. – Uśmiechnęła się do niego szeroko.

Joan zadumała się nad tym, co powiedział jej Van Dom.

Brzmiało to niewesoło. Nie chciała, żeby przyjęcie się skończyło.

Nie poświęcała się wiele w swoim życiu, ale poświęciłaby wszystko dla przedłużenia

tego przyjęcia. Doszła do wniosku, że patriotyzm może przyjmować różne formy.

Staniey spojrział na wojskowy zegarek i zaczął naciągać kombinezon. Był zrobiony z jakiegoś elastycznego materiału i mógł z powodzeniem służyć tancerzom z baletu. Facet, który mu go dostarczył, powiedział, że to ubranie dla włamywacza, więc wszystko się zgadzało. Stanicy poczuł na brzuchu pistolet spoczywający w ukrytej kieszeni.

–Zastrześliś kiedyś kogoś? – zapytał.

–Co...? Nie, oczywiście, że nie. Ale byłabym w stanie to zrobić – dodała. Pomyślała, że zastrzeliłaby z chęcią Toma, George'a i Marca, choć niekoniecznie w tej kolejności.

Gdzieś na górze otworzyły się drzwi i na kamiennych schodach rozległy się kroki dwóch osób. Staniey wyciągnął pistolet.

–Odłóż to – warknęła Joan.

W drzwiach pojawili się mężczyzna i kobieta, oboje w starszym wieku, ale o zwawych ruchach i czujnych twarzach. Nosili kosztowne, sportowe ubrania, ale Joan wiedziała, że nie szukają tu partnerów do tenisa. Kobieta o nazwisku Claire Goodwin podeszła do Joan i wyciągnęła do niej rękę.

–Jak się masz, Joan?

Joan wstała i ujęła jej dłoń.

–W porządku, Claire.

–Nie zauważyłam cię na przyjęciu.

–Odpoczywałam na górze.

–Biedactwo. Znasz Gusa Bergena?

–Tak, spotkaliśmy się kiedyś. – Joan uściśnęła dłoń mężczyzny. Przypomniała sobie, że podczas wojny Bergen razem z ojcem Toma brał udział w nieudanej operacji w Hanoi.

–Co teraz robi Tom? – zapytał Bergen.

–Zaczął skakać ze spadochronem.

Bergen uśmiechnął się i zwrócił się do stojącego obok Stanieya.

–Jak się masz, młody człowieku?

–Słyszałam o panu same dobre rzeczy – powiedziała Claire.

Staniey wymamrotał coś i spojrzał na Joan. Joan też słyszała wiele dobrego o Claire, jak na przykład to, że w czasie wojny, w Szwajcarii, sypiała z połową niemieckiego korpusu dyplomatycznego. Oczywiście dla Boga i ojczyzny. Joan

pomyślała, że czułaby się lepiej, gdyby miała do wykonania podobne zadanie. Nie doceniono jej możliwości. Rozmawiali przez kilka minut, dopóki Bergen nie spojrzął na swój zegarek.

–Najwyższy czas, żeby zacząć działać. – W pokoju zapadła cisza. – Wiecie już, co macie robić na miejscu – mówił dalej Bergen. – Pokażę wam teraz, jak się dostać do środka.

Podszedł do ściany i wskazał na okrągły otwór nad betonowym fundamentem.

–To stare przejście podziemne biegnące do głównego budynku. Dawniej mieściła się w nim instalacja grzewcza, wodna i elektryczna. Od czasu podziału posiadłości YMCA wyposażyła oczywiście budynek tenisowy na własną rękę.

Stanicy wpatrywał się w otwór. Nie zauważył go przedtem.

Miał średnicę dużej pizzy.

–Nie ma w nim teraz żadnej aparatury – powiedziała Claire. – GUS musiał wynająć karłów, żeby ją usunęli. GUS jest członkiem miejscowego zarządu organizacji – dodała.

Członek YMCA. Karły. Podziemne przejście do posiadłości Rosjan. Co za dziwactwo, pomyślała Joan.

–Ale nadal wystają z niego jakieś przewody – stwierdziła, patrząc na otwór.

–Kable – odpowiedział Bergen. – Musicie wziąć pod uwagę, że stąd do piwnicy głównego budynku jest co najmniej kilkaset jardów, cały czas pod górę. To odcinek prawie nie do pokonania.

Zainstalowałem więc elektryczny wyciąg. – 1 te osły nie zorientowały się?

Przez następne kilka minut Bergen i Claire przekazywali im informacje.

–Jakieś pytania? – zapytał Bergen.

Staniey potrząsnął głową.

–Skąd macie pewność, że przejście prowadzi do nie używanego pokoju? – zapytała Joan.

–Byłeś już tam kiedyś w kotłowni, prawda, synu? – spytał Bergen Stanieya.

–Nikogo tam wtedy nie widziałem.

Joan wzruszyła z powątpiewaniem ramionami. Bergen spojrzał na nią.

–Oczywiście nie musisz brać w tym udziału.

Joan popatrzyła na Stanieya. Też był wystraszony, ale widać było, że z nią czy bez niej, jego pączkujące męskie ego popchnie go do tej czarnej dziury. Było to tak pewne, jak gdyby musiał to zrobić pod groźbą śmierci.

–Nie mogę się wycofać. Więc ruszajmy.

Bergen ustawił drabinę malarską.

–Stanicy.

Chłopak naciągnął na głowę czarny kaptur.

–Powodzenia – powiedział Bergen.

Stanicy wspiął się na szczyt drabiny i zobaczył dwa małe, składane wózki. Przez kilka sekund zaglądał w czarną, nie kończącą się rurę, a potem położył się na plecach, umieściwszy jeden z wózków pod pośladkami. Sięgnął w górę i pociągnął za kabel wyciągu.

–Okay

Usłyszał szum silnika. Kabel ruszył, wciągając go razem z wózkiem w okrągły otwór. Jak torpeda wciągana do luku, pomyślał.

–Albo jesteś w sytuacji bez wyjścia, albo nie masz za grosz wrażliwości, że posyłasz tego dzieciaka do takiej akcji – powiedziała cicho Joan do Bergena.

–Ma siedemnaście lat – odpowiedział chłodno. – Znam ludzi, którzy w tym wieku brali już udział w walce.

–No tak, najpierw kobiety i dzieci. – Joan wzruszyła ramionami, wspięła się na drabinę i zajrzała w mały otwór przejścia. – Masz tam miejsce dla następnego?! – krzyknęła.

–Pewnie. – Głos Stanieya rozległ się echem.

Joan spojrzała w dół na Claire i Bergena. Zawahała się.

–Słuchajcie. Wiem, że to ważne. Jeśli coś się nam przydarzy, to pamiętajcie, że zgłosiliśmy się na ochotnika. I nie traktujcie tego zbyt serio.

–Potraktujemy to serio, choć nie z poczuciem winy – odpowiedziała Claire. – Powodzenia.

Joan spojrzała na nich po raz ostatni. Twardziele z BSS. Zawsze byli zwariowani. Odetchnęła głęboko, położyła się na wózku, po czym uchwyciła kabel dłońmi w rękawiczkach.

–Jestem gotowa.

Silnik zaszumiał jeszcze raz i została wciągnięta w głąb ciemnego przejścia. Wysłuchała się w dźwięki gumowych kółek wózka na glinianym podłożu, w odległy szum motoru, skrzypienie wyciągu i poczuła, jak jej ramiona ocierają się o boczne ściany kanału. Przełknęła ślinę i cicho zawołała:

–Stanicy?!

–Tak.

–Jak ci idzie?

–Okay.

–Wciąga nas – zauważyła.

–To lepsze niż czołganie się – zaśmiał się niepewnie.

Zamilkli. Światło wejścia gasło w oddali, a odgłos silnika był coraz słabszy. Joan wiedziała, że w każdej chwili może puścić kabel i wózek zawiezie ją z powrotem do piwnicy. Ale wiedziała też, że tego nie zrobi. Jeszcze kilka minut, pomyślała, i będziemy na miejscu. Zawsze była ciekawa, jak wygląda ten dom.

George Van Dom stał przy oknie i obserwował kolejne rakiety wzbijające się w niebo. Podniósł słuchawkę jednego z trzech niedawno zainstalowanych wojskowych telefonów polowych stojących na szerokim okiennym parapecie i zakręcił korbą. Odpowiedział mu starszy pirotechnik, Don La Rosa.

–Ile mamy jeszcze rakiet, panie La Rosa? – zapytał.

–Zostało nam jeszcze około trzystu, panie Van Dom.

–W porządku. Chcę, żeby wybuchały nisko ponad celem. Nie mają zanadto oświetlać okolicy, ale niech robią dużo hałasu.

–Okay. Hej, słyszał pan ten wybuch?

–Nie można go było nie słyszeć.

–Mam nadzieję, że przestraszył nie tylko kota pańskiej żony, panie Van Dom.

Van Dom spojrzał na stojącą na środku pokoju Kitty.

–Na pewno. Słuchaj, Don, czy nasza „rura” jest gotowa?

–Oczywiście.

–Czekamy do północy. Macie prowadzić ostrzał co sześćdziesiąt, najwyżej co osiemdziesiąt sekund. Ma paść nie mniej niż dwadzieścia wystrzałów. Kiedy już z celu pozostanie tylko drewno na podpałkę, wystrzelicie pięć razy z Willy Petera, żeby zrównać z ziemią to, co zostało.

Don La Rosa powtórzył rozkazy.

–Mam tu na miejscu helikopter-amfibię, który natychmiast po akcji zabierze twoich ludzi i moździerz. Wylądujecie w Atlantic City na przystani. Wszystko już przygotowane.

–Brzmi super.

–Odezwę się później. – Odłożył słuchawkę. Pomyślał, że byłoby jeszcze lepiej, gdyby La Rosa i jego kompani mogli spędzić noc na uprawianiu hazardu i zabawie z dziewczynkami. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby zrobić to samo.

–Co to takiego Willy Peter, George? – zapytała Kitty.

–To taka wojskowa nazwa, kochanie. Dokładnie mówiąc, to biały fosfor. Substancja zapalająca.

–Och. To okropne. Taki piękny dom.

–Wojna jest piekłem, Kitty.

–Powoduje tyle zniszczeń.

–Niestety.

Van Dom podszedł do zestawu stereofonicznego. Słuchał żwawych tonów melodii I'm a Yankee Doodle Dondy George'a M. Co436 hana, której dźwięki rozlegały się także z głośników na boisku do gry w polo. Zanucił melodię, kiwając do rytmu głową.

–George, czy ty naprawdę masz zamiar wystrzelać tych okropnych ludzi z sąsiedztwa? – zapytała Kitty.

Van Dom ściszył radio.

–Co? Och, tylko wtedy, gdy nie uda się bezpośredni atak. Czy uzgodniłaś już wszystko z doktorem Frankiem i doktorem Poulosem?

–Tak. Są już w piwnicy i organizują tam punkt pomocy lekarskiej. Asystują im Jane Atkins i Miidred Fletcher. Są takie podniecone tym, że mogą się przydać. Obydwie były-kiedyś pielęgniarkami w Kobiecym Korpusie przy Armii Brytyjskiej.

–Postaram się, Kitty, żeby się nie rozczarowały. Jeśli nie będzie ofiar, to sam się postrzelę.

–Belle La Ponte jest psychiatrą. Mam ją tu sprowadzić?

–Czemu nie? Wszyscy jesteśmy zbzikowani.

–Ona jest doktorem medycyny.

–W porządku, Kitty. Czy mamy dość sprzętu medycznego?

–Zdaje się, że tak. Doktor Frank był pod silnym wrażeniem.

George skinął z roztargnieniem głową. Starał się przypomnieć sobie, co jeszcze zostało do zrobienia. Odwrócił się do jednego z pozostałych dwóch mężczyzn obecnych w gabinecie, pułkownika Williama Ostermana, człowieka, który był za młodu porucznikiem w londyńskim sztabie BSS.

–Pierwszy etap powinien już dobiegać końca – powiedział Van Dom.

Osterman podniósł wzrok znad rozłożonych na biurku planów architektonicznych i zdjęć lotniczych radzieckiej rezydencji.

–Tak przypuszczam – powiedział Osterman. – Plan ma tę wadę, George, że zakłada prawie doskonałą synchronizację działań, ale bez kontaktu radiowego. Wystarczy, iż jedna grupa zawiedzie, a pozostałe trzy będą w kłopotliwym położeniu.

–Pembroke i jego ludzie to fachowcy, Bili – odpowiedział Van Dom. – Są przyzwyczajeni do tego rodzaju wypadów i potrafią działać bez komunikacji. Czasami wydaje mi się, że mają zdolności telepatyczne.

Z zasłoniętego parawanem pomieszczenia, w którym znajdował się teleks, wyłonił się Wallis Baker, starszy współpracownik Firmy.

–Przyszła długa wiadomość z dowództwa, George.

–Trzeba ją natychmiast rozszyfrować.

Baker był już za biurkiem i trzymał w ręku księgę szyfrów.

Zadzwonił telefon i Van Dom spostrzegł, że odezwał się jego numer publiczny. Zignorował to, ale najwidoczniej nikt w całym domu nie zamierzał go odebrać. Zdał sobie nagle sprawę z tego, kto mógł telefonować, i podniósł słuchawkę.

–Rezydencja Van Doma.

–Och, pan Van Dom – odezwał się jakiś głos. George spojrzął na obecnych w pokoju mężczyzn, a później na Kitty.

–Pan, Androw.

–Tak. Pochlebia mi, że poznał pan mój głos.

–Nie znam wielu ludzi mówiących z rosyjskim akcentem.

Czemu zawdzięczam pański telefon, Androw? To niegrzecznie niepokoić ludzi o tak późnej porze.

–Nie chodzi o to, że staram się spać, a „dzięki” pańskiej muzyce i fajerwerkom jest to niemożliwe, ale o to, że pańskie rakiety wybuchają niebezpiecznie blisko mojego domu. – W głosie Rosjanina brzmiała złość.

–To znaczy jak blisko?

–Panie Van Dom, jako urzędnik do spraw współpracy z miejscową społecznością starałem się utrzymać dobre stosunki z moimi sąsiadami.

–Co też pan mówi, Androw. Dobrze poinformowane źródła podają, że pańscy ludzie nigdy nie odrzucają nam piłek tenisowych – odpowiedział sarkastycznie Van Dom.

–Jakie to ma teraz znaczenie? – zniecierpliwiał się Androw.

George uśmiechnął się. Surowość Androwa bawiła go. Jego telefon oznaczał jednak, że ani grupa Pembroke'a, ani Katherine i Abramsa nie zostały zauważone, i to było najważniejsze.

Androw z pewnością sprawdzał, czy Van Dom jest u siebie. Nawet banalna rozmowa telefoniczna była dla obu stron formą wywiadu.

–To nasze święto, panie Androw – powiedział Van Dom. – Moim zdaniem protokół dyplomatyczny wymaga szacunku dla tradycji kraju, którego jest pan gościem.

-Tak, to prawda. Ale ta muzyka... Z całym szacunkiem chciałbym prosić o...

-To nie koncert życzeń. Musicie się zadowolić tym, co słyhać. Nie jestem disc jockeyem, panie Androw.

-Nie o to chodzi. Chcę prosić o to, żeby pan ściszył tę muzykę, albo będziemy zmuszeni wezwać policję.

-Nie wydaje mi się, żeby to było rozsądne.

–Bo nie ma być. Moi ludzie są bardzo zdenerwowani, a psów nie można uspokoić.

–W takim razie niech się pan postara o inne, lepiej wyszkolone. Albo niech pan poszuka psychiatry.

Androw zignorował jego uwagę.

–O której godzinie możemy się spodziewać końca tego przedstawienia? – zapytał.

–O północy. Obiecuję panu, że po północy nikt nie będzie was już niepokoił.

–Dziękuję panu, Van Dom. Życzę miłego wieczoru.

–Wzajemnie, panie Androw. – George odłożył słuchawkę i podniósł wzrok na obecnych. – Trzeba mieć tupet, żeby uskarżać się na moje przyjęcie, podczas gdy czeka się na wybuch nuklearny.

Osterman i Baker uśmiechnęli się.

–Znowu potraktowałeś go niegrzecznie, George – powiedziała Kitty.

–Przykładasz zbyt dużą wagę do etykiety, Kitty. Według ciebie Ukrzyżowanie nie mogłoby się obyć bez czarnego krawata i mistrza ceremonii.

–Uważam tylko, zresztą podobnie jak pan Churchill, że grzeczność nic nie kosztuje, nawet jeśli masz zamiar kogoś zabić.

–Masz zupełną rację. – Uśmiechnął się do żony.

–Muszę już iść – oświadczyła Kitty – ale przedtem chciałabym ci oświadczyć, George, że absolutnie nie zniosę dłuższej obecności pana Pembroke'a i Joan Grenville w tym domu. – Przerwała na chwilę. – Chyba że będą ranni, wtedy zrobię wyjątek. Dobranoc, George. Panowie. – Odwróciła się i wyszła.

W pokoju zapadło milczenie. Pułkownik Osterman spojrzał na zegarek.

–Trudno wytrzymać bez łączności.

–Nawet gdyby wszyscy zginęli albo zostali wzięci do niewoli, to i tak byśmy o tym nie wiedzieli – dodał Baker. – 1 dlatego mamy ten mózdzierz – powiedział Van Dom. – Następnym razem powinniśmy rozmawiać przez telefon Androwa z jednym z naszych ludzi. Jeśli do północy tak się nie stanie, to odpowiem natychmiastowym uderzeniem. A potem, tak jak powiedziałem, nikt już nie będzie niepokoił Wiktora

Androwa.

Wiktor Androw usiadł za biurkiem w swoim gabinecie. Dawną kaplicę oświetlała tylko mała lampa z abażurem, której blask padał na pobliskie witrażowe okno. Androw przyglądał się religijnej scenie: mieszkańcy Sodomy próbowali wejść siłą do domu Lota, aby porwać dwóch pięknych aniołów, a potem aniołowie zsyłali na nich tak oślepiające niebiańskie światło, że odwracali wzrok.

–Niektórzy twierdzą, że aniołowie byli przybyszami z kosmosu i że zniszczyli Sodomę i Gomorę za pomocą bomby nuklearnej.

Henry Kimberły wyprostował się w zielonym, skórzanym fotelu.

–Kto wie, jak za cztery tysiące lat będzie się interpretować wydarzenia dzisiejszej nocy.

–Interpretacja wydarzeń dzisiejszej nocy będzie zależała tylko od partii. Podobnie jak interpretacja Biblii zależała wyłącznie od kapłanów i rabinów.

–Ale za cztery tysiące lat nie będzie już żadnej partii, Wiktorze, i ty dobrze o tym wiesz – powiedział Kimberły. – Nie będzie też zresztą ani kapłanów, ani rabinów. – Zapalił papierosa. – Choć to prawda, że to właśnie partia nakreśli historię świata na najbliższe tysiąc lat.

Rosjanin wzruszył ramionami. Wstał, podszedł do bocznego okna i otworzył je na oścież. Do kaplicy wpadł północny wiatr, przesuwając dokumenty na biurku. Z oddali dobiegał hałas z głośników Van Doma, zmuszając Androwa do podniesienia głosu.

–Wydałem rozkaz, żeby zabić każdego, kto otworzy okno albo drzwi po jedenastej trzydzięci. – Zamilkł na chwilę. – Ten impuls elektromagnetyczny to dziwne zjawisko. Podobnie jak duchy przenika przez dziurki od klucza i szczeliny wokół drzwi i okien. Nawet impuls o niewielkim natężeniu może spowodować wiele szkód. – Mówił dalej z dużą pewnością siebie: – Na szczęście ten dom był sprawdzany setki razy. Jest szczelny jak łódź podwodna. Mógłby wytrzymać pełne zanurzenie. – Zaśmiał się.

Kimberły nie odpowiedział. Androw spojrzał na północną stronę nieba.

–Mołnia pędzi w naszą stronę z ciemnych przestworów nieba.

–Mołnia?

**–Satelita, który przeniesie ładunek nuklearny. Otrzymałem wiadomość od kuriera.
Dobrze to wymyślili.**

Kimberly potaknął z aprobatą.

–Kiedy to nastąpi?

–Osiągnie najniższy punkt toru gdzieś ponad Nebraską kilka minut po północy – odpowiedział Androw, spoglądając ciągle przez okno.

Kimberly obserwował unoszącą się nad papierosem smugę dymu.

–Co jeszcze powiedział ci kurier? – zapytał.

–Premier przesłał nam wszystkim, a szczególnie tobie, serdeczne życzenia. Poinformował nas też, że wiadomość o Uderzeniu została przekazana wszystkim moskiewskim decydentom. – Androw skinął głową w zamyśleniu i dodał: – W odróżnieniu od przygotowań do wojny atomowej ten plan jest tak prosty, że wystarczyło powiadomić zaledwie kilku ludzi. Tylko kilka osób musiało podjąć jakieś działania. Wystarczy, jeśli jedna osoba naciśnie guzik detonatora. Tą osobą będzie właśnie premier.

Kimberly wstał i podszedł do okna. Spojrzał ponad odległą linią drzew, których rozkołysane wierzchołki rysowały się na tle czarnego nieba.

–Nie wiem, czy wiesz, Wiktorze – powiedział – że George Van ' Dom i ja chodziliśmy do tych samych szkół wojskowych. W armii amerykańskiej panuje filozofia agresji, a nie obrony. Amerykanie i wierzą głęboko w skuteczność nagłych wypadów, zaskakujących uderzeń i ataków komandosów, zresztą podobnie jak Brytyjczycy. – Rzucił Androwowi spojrzenie z ukosa. – Powinieneś się do niego dobrać, zanim on dobierze się do ciebie.

Rosjanin zamknął okno i podszedł do biurka. Nacisnął przycisk na konsoli i z głośnika rozległ się głos George'a Van Doma.

Kimberly słuchał w milczeniu.

–To jest nagranie rozmowy Van Doma z Pentagonem. Jest mało prawdopodobne, żeby spróbował czegoś na własną rękę, ponieważ przekazał im już ostrzeżenie na temat naszych planów i na pewno wierzy, że sytuacja jest opanowana. – Nacisnął następny przycisk i w pokoju rozległ się kobiecy głos. – To twoja córka, Ann – powiedział. – Rozmawia z Agencją Bezpieczeństwa Narodowego na temat Mołni.

Kimberly słuchał przez kilka sekund głosu Ann, a potem podszedł do biurka i wyłączył nagranie.

–Skąd wiedzą?

Androw wzruszył ramionami.

–Zdaje się, że zaczęli się domyślać, że chcemy ich zniszczyć,

i zaczęli działać. A jak mogli wpaść na rozwiązanie tego problemu? Zadali sobie pytanie: „W jaki sposób można zniszczyć Amerykę, nie narażając siebie na niebezpieczeństwo?” Doszli do tych samych wniosków co i my. Widzisz więc, Henry – ciągnął Androw – to nieprawda, że nie doceniam Van Doma i jego organizacji. Wiemy, że już dawno temu odłożyli na bok szpadę i używają teraz tylko płaszcza. Van Dom dowiedział się czegoś i wezwał swoich przyjaciół z armii, żeby się tym zajęli. Ale na pewno nie przyjdzie tutaj z bronią w ręku.

–Ale przecież on ich uprzedził, Androw. W tej sytuacji Amerykanie mogą wykorzystać swój system automatycznego reagowania – zauważył Kimberiy po chwili.

–Wiem. Ale pozwól mi, proszę, dokończyć. Musisz zrozumieć, że w tym kraju prawie każdą rozmowę telefoniczną na dalszą odległość przekazują pracujące na krótkich falach stacje radiowe. Jest to dla nas bardzo wygodne, ponieważ nasza posiadłość znajduje się w centrum tego, co nazywa się „aleją fal radiowych”.

Przechwytyując rozmowy radiowe, możemy słuchać nie tylko dyplomatów z Nowego Jorku, ale także współpracowników systemu obrony z Long Island i Connecticut. Kontrolujemy wszystkie rozmowy z agencją rządową w Waszyngtonie. Oczywiście Van Dom zabezpieczył się przed tym. Zainstalował światłowodową linię telefoniczną, połączoną bezpośrednio z główną wiązką podziemnych przewodów amerykańskiego systemu telefonicznego.

Wierzy, że nie można w żaden sposób założyć podsłuchu na jego telefon, i dlatego zupełnie swobodnie rozmawia. – Androw spojrzał na Kimberiy'ego. – Jednak, ponieważ tych zastrzeżonych linii telefonicznych jest tak niewiele, centrala telefoniczna może przełączać rozmowy na stacje radiowe. Dlatego, jeśli uda się przekupić pracującego w centrali technika, nie będzie przeszkód, żeby przekazywać rozmowy pana Van Doma drogą radiową, stwarzając w ten sposób możliwość założenia podsłuchu. Tą właśnie drogą zyskaliśmy sposobność słuchania...

–To już teraz wiele nie pomoże – przerwał Henry. – Pentagon został zaalarmowany.

–Tych rozmów wcale nie musi odbierać Pentagon, Henry.

Można je przekazywać na przykład tutaj. W rzeczywistości twój przyjaciel nie rozmawiał wcale z Pentagonem, ale ze znajdującym się na tym poddaszu Nikitą Tułowem, który spędził znaczną część swojej młodości, ucząc się myśleć i rozmawiać jak oficer dyżurny z Pentagonu.

–Trafienie, Androw.

Androw skinął z wdzięcznością głową.

–Musieliśmy jednak przekazać rozmowę twojej córki, ponieważ nie byliśmy przygotowani na naśladowanie kogoś z NSA. Ale przynajmniej mogliśmy posłuchać. Udało nam się także przejąć kłopotliwy teleks wysłany przez Van Dorna – dodał. Spuścił wzrok. – Zresztą twoja córka także sprawia mnóstwo kłopotów.

Nie chciałbym się nad tym dłużej rozwodzić, ale teraz, gdy jesteś w Ameryce, muszę cię zapytać...

Kimberiy machnął z irytacją ręką.

–Och, rób co chcesz, Wiktor. Przestań zawracać mi tym głowę.

Jeśli osobiście masz coś przeciw niej, możesz postąpić, jak zechcesz.

A jeśli nie, pozwól, żeby aparat państwowy zajął się nią tak samo jak pozostałymi dziesięcioma milionami ludzi na liście naszych wrogów. Zobaczymy się później na górze. – Otworzył drzwi kaplicy.

–Jeszcze jedno, Henry! – wykrzyknął za nim Androw.

–Tak?

–Chodzi o kuriera. Przekazał nam coś, co może cię zainteresować. – Androw podszedł do drzwi i stanął na wprost Kimberly'ego. Spoglądał na niego przez kilka sekund. – Dziś wieczorem...

Talbot numer trzy będzie tutaj dziś wieczorem.

–Podejrzywałem, że jeśli Talbot numer trzy żyje i przebywa teraz w kraju, to pewnie poszuka schronienia przed Uderzeniem. ^Spodziewałem się, że możemy się dzisiaj spotkać – powiedział Henry, kiwając głową.

Androw spojrzał na niego.

–Wiesz, kto to jest?

Kimberiy potrząsnął głową.

–Ktokolwiek by to był, będzie to ktoś, kogo wtedy znałem. i – Tak. Na pewno. Jeden

z tych twoich błękitnokrwistych przyjaciół z Ivy League. W Białym Domu odbędzie się wiekopomne | spotkanie. Prezydent Kimberiy, sekretarz stanu Allerton i szef S służby bezpieczeństwa... Kto?

Wyraz twarzy Kimberly'ego nie zmienił się.

–Nie ma sensu spekulować na ten temat. Poczekamy na niego.

Andrew pokiwał z wolna głową.

–Słusznie. Nie wiemy nawet, jaką drogą on albo ona przybędzie; lądem, morzem czy z powietrza. Jednak myśl o tym, kto przekroczy dzisiaj progi naszego domu, nie daje mi spokoju.

–Nie dziwię się. – Kimberiy odwrócił się i wyszedł.

Kłęcząca na wilgotnej ziemi Claudia Lepescu poczuła na karku lufę pistoletu. Strażnik odciągnął złowrogo warczącego psa.

Inny mężczyzna składał raport przez krótkofalówkę. Starszy oficer odezwał się głośno po angielsku:

–Kim pani jest?

–Claudia Lepescu. Pracuję dla Aleksego Kalina.

Rosjanin przesunął światłem latarki po całym jej ciele, a potem skierował je prosto w jej twarz.

–Nie jest pani Amerykanką?

–Jestem Rumunką.

–Czego pani tutaj szuka?

–Azylu. Schronienia.

–Dlaczego? – Ścigają mnie.

–Kto panią ściga?

–Podałam już wszystkie istotne informacje. Proszę mnie natychmiast zabrać do Kalina albo to się źle dla pana skończy – powiedziała Claudia po rosyjsku.

Kiedy tylko wymówiła te słowa, zdała sobie sprawę z tego, że nie powinna była obrażać go w języku, który mogli zrozumieć jego towarzysze. Czekwała. Przez kilka sekund Rosjanin nie reagował, ale w końcu zamachnął się i uderzył ją prosto w twarz.

Claudia krzyknęła z bólu i przyłożyła rękę do policzka.

–Wstawaj – warknął oficer.

Kiedy wstawiała, pies rzucił się w jej kierunku, ale trzymający go mężczyzna ściągnął krótko smycz. Drugi Rosjanin zbliżył się do niej i obszukał ją, przesuważąc brutalnie ręce wzdłuż ciała.

–Proszę was, muszę zobaczyć Kalina. Mam dla niego pilne informacje.

–Jeśli to rzeczywiście pilne, to będziesz musiała biec – powiedział oficer.

Wydał krótki rozkaz i dwaj umundurowani strażnicy z przewieszonymi przez pierś kałasznikowami zajęli miejsca u jej boku.

–Szybko, marsz! Ruszać!

Ciaudia wraz z dwoma mężczyznami ruszyła prawie biegiem.

Potknęła się, wówczas jeden z nich pomógł jej stanąć na nogi.

Kamienie i drobne gałązki wbijały się w jej nagie stopy, a grube gałęzie drzew chłostały jej spocone ciało. Od czasu do czasu któryś ze strażników popędzał ją pchnięciem karabinu w pośladki.

Wydawało się, że czas ciągnie się w nieskończoność. W końcu wpadli na zalany światłem reflektorów trawnik i Ciaudia ujrzała

ogromny, kamienny budynek rysujący się majestatycznie na szczycie wzgórza. Zmusili ją do jeszcze szybszego biegu, zatoczyli łuk wokół tarasu, aż dotarli do otoczonego murem dziedzińca.

Rosjanie zwolnili kroku i Claudia mogła nareszcie złapać oddech. Była półżywa ze zmęczenia i niemal nie zdawała sobie sprawy z tego, że prowadzą ją przez wypełniony pojazdami dziedziniec. Minęli podwójne drzwi, pokonali połowę kondygnacji schodów i poszli długim, blado oświetlonym korytarzem, mijając umieszczone w równych odstępach drzwi. Pomieszczenia dla służby, a potem wąski korytarz i rząd małych, zamkniętych drzwi wywołał wspomnienie innego miejsca i osób: ubranych w ciężkie buty, uzbrojonych Rosjan wlokących ją pomiędzy sobą; dwa lata jej życia, o których usilnie starała się zapomnieć. Pomyślała nagle, że oto, do czego zmierza świat: do ciemnych, samotnych korytarzy, uzbrojonych strażników, tupotu ciężkich butów i stąpania bosych stóp na zimnych podłogach, i podróży do nieznanego miejsca przeznaczenia.

Strażnicy zatrzymali się, otworzyli drzwi i wepchnęli ją do środka. W padającym z korytarza świetle ujrzała mały pokój wyposażony jedynie w łóżko i wiadro z wodą. Drzwi zatrzasnęły się i usłyszała za sobą szcęk przekręcanego w zamku klucza. Stała nieruchomo, wsłuchując się w swój ciężki oddech. W końcu rąbkiem sukni powoli wytarła lepkie od potu ciało. Ostrożnie przemierzyła pokój. W przeciwległej ścianie znajdowało się wysokie okno. Z trudem przyciągnęła do niego łóżko i stanęła na nim.

Z okna rozciągał się widok na blado oświetlony dziedziniec. Przez brudne szyby wpadało do pokoju słabe światło. Okno było zaryglowane z zewnątrz i nie było sposobu, żeby je otworzyć. W pokoju panował przykry zaduch. Zeszła z łóżka i podeszła do drzwi, starając się wymacać wyłącznik światła, ale bez rezultatu. Domyśliła się, że najprawdopodobniej znajduje się na zewnątrz.

W końcu była to więzienna cela, a po dwuletnim pobycie w podobnym miejscu wiedziała coś na ten temat.

Claudia rzuciła się na łóżko. Czekanie i niepewność zawsze wykańczały jej umysł i wolę. Przesłuchania i obelgi były nieomal ulgą – jeżeli nie posuwano się zbyt daleko. Podczas przesłuchań wiedziała przynajmniej, na czym stoi. Zadawano pytania, padały odpowiedzi. Po oskarżeniach następowały zaprzeczenia i wyjaśnienia. W końcu albo uzyskiwało się zwolnienie, albo szło się do więzienia, a w ostateczności zapadał wyrok śmierci. Czasami zdarzało się co innego. Padała propozycja współpracy. Jej zapropo445 nowano wcielenie się w postać hrabiny Claudii Lepescu, którą aresztowano w tym samym czasie. Przyjęła propozycję i spędziła cały rok we

wspólnej celi z byłą hrabiną aż do czasu, gdy KGB upewniło się, że Magda Creanga, tak brzmiało jej prawdziwe nazwisko, stała się pod każdym względem, z wyjątkiem urodzenia, hrabiną Lepescu. Prawdziwą hrabinę zabrano i najprawdopodobniej zastrzelono, aby nie wyjawiała sekretu.

Nowej Ciaudii Lepescu umożliwiono wyjazd do Ameryki. Pomógł jej Patrick O'Brien i jego przyjaciele, którzy nalegali na wydanie dla niej wizy zezwalającej na opuszczenie Rumunii. Spełniła obowiązek wobec swoich radzieckich mocodawców, wkradając się w łaski ludzi z kręgu O'Briena. Zwabiła nawet biednego Tony'ego Abramsa na dach. Powiedziano jej, że ma zostać porwany, ale ona miała na ten temat inne zdanie. Rosjanie działali w perfidny sposób. A teraz jej przydatność jako szpiega należała już do przeszłości. Zaświtało dla niej jednak nikłe światełko nadziei. Wyszkolono ją nie tylko do roli szpiega, ale także w innej dziedzinie. Była znakomitą i utalentowaną uwodzicielką, niezłą dziwką. Pomyślała, że może choćby z tego jednego względu Kalin i Androw, którzy często brali ją do łóżka, okażą miłosierdzie.

Uklękła obok łóżka i odnalazła wiadro z wodą. Woda była czysta, więc Claudia umyła się, przeczesła palcami włosy i poprawiła suknię. Przyszło jej do głowy, że Rosjanie bardzo łatwo padają ofiarą seksualnych podbojów. Amerykański piętnastolatek wie więcej na temat seksu niż oni. Ich kobiety wiedzą jeszcze mniej.

Na korytarzu rozległ się odgłos kroków. Zatrzymały się przy drzwiach. W zamku obrócił się klucz. Drzwi otworzyły się i ujrzała w nich ciemną sylwetkę mężczyzny. Zauważyła, że nie ma munduru. Mężczyzna sięgnął ręką i zapalił światło.

–Aleksy! – Rzuciła się w jego stronę.

Kalin odepchnął ją, zamykając jednocześnie za sobą drzwi.

–Dlaczego przyszłaś tą drogą? Czekali na ciebie przy bramie.

Przyszłam tą drogą, ponieważ Van Dom tak mi kazał; żeby jego ludzie mogli zająć odpowiednie pozycje, pomyślała. – Ścigali mnie. Nie wiem jak, ale odkryli... – zaczęła się tłumaczyć.

–Truciznę?

–Tak. Zgadza się. Roth zrobił, co mu kazano. I ja też. – Podeszła do mego po raz drugi i tym razem pozwolił jej otoczyć się ramionami.

–Co się ze mną stanie, Aleksy? – zapytała.

–Potrafisz posługiwać się bronią – odpowiedział chłodno. – Być może będziesz mogła się przydać.

Zauważyła, że jego obietnica nie sięga daleko w przyszłość.

W nikłym świetle spojrzała na jego twarz.

–Co ci się stało?

–Miałem spotkanie z twoim przyjacielem Abramsem. Gdzie jest teraz ten drań?

Wzruszyła ramionami.

–Nie widziałam go u Van Doma.

Ukryła twarz na jego piersi. Jej palce powędrowały pod jego marynarkę. Zaczęła wysuwać mu koszulę ze spodni. Kalin rozluźnił uścisk i spojrzał na zegarek.

–Dobrze, ale mamy mało czasu.

Rozebrała się szybko i stanęła naga na środku pokoju.

–Pragnę cię, Aleksy – uśmiechnęła się.

Rozebrał się, rzucając ubranie na podłogę. Powiesił futerał z bronią na gałce u drzwi.

–Nie ma czasu na wszystko, co potrafisz – powiedział. – Zmierzaj prosto do celu.

Uklękła na wprost niego, masując mu łydki i uda. Kalin oparł się o drzwi.

–Taka kobieta jak ty przyda się podczas długiego oblężenia... – powiedział łagodnie. – Nie sądzę, żeby Androw kazał ci nosić broń. Nie, stanowczo masz inne zalety... – Zamknął oczy i oparł głowę wygodnie o drzwi.

Ciaudia zacisnęła dłonie na jego pośladkach. Poczwała, jak jigsawka skóra futerału ociera się o jej przedramię.

Davis szedł pierwszy, Cameron za nim w odstępie piętnastu j stóp, a dalej Abrams. Tony spojrzał przez ramię na idącą tuż za nim Katherine. Dodali sobie odwagi skinieniem głowy Podeszli J; do kamiennego muru i Davis przesadził go, jak gdyby

nie była to | przeszkoda na miarę międzynarodową, ale jakiś pasterski płot j|::txa Falklandach. Cameron poszedł w jego ślady, a za nim Abrams piKatherine. Weszli szybko pomiędzy drzewa. Abrams trzymał za •Jkolbę przewieszoną przez pierś broń, tak jak go uczono w akade447 mii policyjnej. Znał dobrze pistolet typu M-16, ale od dobrych kilku lat nie strzelał z podobnej broni. Skierował wylot lufy w lewo w przeciwieństwie do Camerona, który zwrócił broń w prawo. Davis trzymał swój M-16 pod ramieniem wycelowany prosto przed siebie. Abrams odwrócił się do Katherine. Tak jak jej kazano, zrobiła kilka kroków do tyłu, a potem uczyniła nagły zwrot, rozglądając się badawczo na boki.

Abrams słuchał dźwięków muzyki niesionych przez północny wiatr. W niebo wlatywały pod niewielkim kątem rakiety i wybuchały nisko nad horyzontem. Ich krótkotrwały blask oświetlał wznoszącą się linię drzew. Poprzez fontannę złotych iskier Abrams uchwycił przez krótką chwilę widok radzieckiej rezydencji. Zmienili nieco kierunek marszu i ruszyli w kierunku wybuchających rakiet.

Tony spojrzał przed siebie. Davisa nie było już prawie widać.

Ciemna noc budziła niepokój. Abrams pomyślał, że dla cywilizowanego człowieka stanowiła zagrożenie, ciągnęła się jak nocny koszmar od zachodu słońca aż do świtu. Nie mógł sobie wyobrazić kontynentu, nad którym zapadła absolutna ciemność. Usłyszał jakiś dźwięk i dostrzegł, jak Cameron uniósł rękę wysoko w górę i zaterkotał blaszanym sygnalizatorem. Abrams zatrzymał się i zwróciwszy się w lewo, przyklęknął na jedno kolano.

Katherine przykucnęła, spoglądając do tyłu. Cameron i Davis naradzali się przez chwilę, aż w końcu Cameron wrócił do nich.

–Davis mówi, że zauważył ślady stóp i wzruszoną ziemię – wyszeptał Tony'emu do ucha. – Najprawdopodobniej w tym miejscu zatrzymali Claudię. Należałoby sprzątnąć ten patrol, zanim posuniemy się w głąb – dodał.

Abrams skinął głową. Eufemizmy na temat śmierci i zabójstw wprawiały go zawsze w zdumienie.

–Postaramy się ich tu zwabić – powiedział Cameron. Udzielił Abramsowi kilku krótkich instrukcji.

Tony skinął na Katherine. Podeszła do niego i uklęknęła obok.

Przyłożył usta do jej ucha i powtórzył to, co przekazał mu Cameron.

–Do twarzy ci w czerni – dodał.

Davis wspiął się na ogromny klon i obserwował teren przez noktowizor. Abrams

sięgnął do podręcznej torby i wyjął małe elektroniczne urządzenie do emitowania nieuchwytnych dla ludzkiego ucha ultradźwięków. Włączył je i prawie natychmiast w niedalekiej odległości rozległo się szczekanie psa. Cameron zawrócił ze ścieżki i poszedł w kierunku małej, porośniętej mchem

polany. Na gałęzi drzewa cedrowego uwiązał znalezione wcześniej pończochy Claudii. Davis dał sygnał – dwa krótkie dźwięki, trzy długie i cztery krótkie – wróg w zasięgu wzroku, trzech mężczyzn w odległości czterdziestu jardów. Katherine i Abrams zbliżyli się do siebie i uklękli, zajmując pozycję na wprost odległego o dwadzieścia stóp przewidywanego miejsca walki. Davis zsunął się na niższe konary klonu i zawisł niemal dokładnie nad polaną. Rozłożył się płasko na dużym rozwidleniu gałęzi. Pułapka była gotowa.

Abrams usłyszał kroki ludzi idących wąską ścieżką. Dobiegły go trzaski radia, przyciszone głosy i nieprzerwane szczekanie psa.

Wstrzymał bezwiednie oddech. Nagle, trzymany na smyczy, duży owczarek niemiecki rzucił się ze ścieżki na polanę, pociągając za sobą uzbrojonego w karabin, umundurowanego strażnika.

Abrams szybko wyłączył ultradźwiękowy gwizdek. Pies ucichł, a potem zaczął skomleć i węszyć przy ziemi. Zatrzymał się pod drzewem. Pojawił się następny Rosjanin z karabinem pod pachą.

Rozmawiał przez krótkofalówkę. W końcu na polanę wszedł powoli trzeci mężczyzna. Nie miał karabinu, ale Abrams dostrzegł w jego dłoni pistolet. Domyślił się, że to dowódca. Owczarek wspiął się na tylne łapy. Wyrwał się i warczał tak, że przewodnik musiał ściągnąć go do tyłu. Dowódca patrolu podszedł bliżej, H zauważył pończochy i ściągnął je z drzewa. Żołnierz trzymający psa na smyczy przyłożył mu pończochy do nozdrzy i rzucił jakiś nieprzyzwoity żart. Cała trójka roześmiała się. Przewodnik ukląkł i pozwolił psu obwąchać pończochy. Śmiejąc się ciągle, zawiązał je na szyi żołnierza z krótkofalówką. Owczarka interesowało nadal tylko jedno miejsce, skomlał i węszył nisko przy ziemi, napił najać mocno smycz. Jeden ze strażników odezwał się przez krótkofalówkę. Abrams nasłuchiwał uważnie, a potem zwrócił się do j Camerona. Skinął głową, potwierdzając w ten sposób to, co Cameron zdążył już wydedukować: przekazał, że alarm był fałszywy. Cameron dał Abramsowi i Katherine sygnał ręką, a potem wynurzył się z kępy krzaków, przyłożył M-16 do ramienia i wycelował. Tony także wstał. Sekundy dłużyły się w nieskończoność.

Patrol zawrócił w stronę ścieżki. Pies znowu zaszczekał i pociągnął za sobą przewodnika. Ten podniósł wzrok i dostrzegł ciemną postać oddaloną o mniej niż dwadzieścia stóp. Krzyknął ze zdumienia. Wylot lufy pistoletu Camerona rozjarzył się na czerwono. Oprócz dźwięku częściowo wytłumionego strzału słychać było tylko metaliczny szczęk zamka. Przewodnik wyskoczył wysoko w górę, a potem upadł na ziemię, natomiast strażnik z krótkofalówką zamarł w bezruchu, przez ułamek

sekundy nie zdając sobie sprawy z tego, co się stało. W końcu upuścił krótkofalówkę i uniósł broń. Strzał z pistoletu Davisa rzucił Rosjanina na ziemię. Po dwóch pierwszych wystrzałach dowódca patrolu przywarł do ziemi, a potem ruszył na czworakach w dół ścieżki. Katherine i Abrams jednocześnie wypłuli ze swojej broni śmiercionośny strumień stali. Rosjanin poczołgał się jeszcze kilka stóp, a potem upadł na twarz.

Przez kilka sekund nikt się nie poruszał. W lesie panowała cisza. W końcu rozległo się wycie psa i jęki. Cameron podszedł i spojrzał na podziurawione jak rzeszota ciała pierwszych dwóch ofiar. Choć wydawało się, że nie żyją, dla pewności strzelił każdemu w głowę, a potem podszedł do rannego psa. Abrams i Katherine weszli na polanę. Katherine zatrzymała się na skraju i odwróciła wzrok.

–Zejdź jakieś trzydzieści jardów w dół ścieżki i stań na straży – wyszeptał do niej Cameron.

Obeszła ciała dookoła i nie spoglądając na nie, weszła na ścieżkę, mijając po drodze drugiego martwego Rosjanina. Abrams zauważył, jak ranny w zad owczarek wlecze się w stronę swojego przewodnika. Cameron przyłożył lufę pistoletu do głowy psa i oddał pojedynczy strzał.

Davis siedział ciągle na drzewie i obserwował okolicę. Zasygnalizował, że w zasięgu wzroku nie ma nikogo. Abrams przykucnął obok trzeciego mężczyzny, który leżał na ścieżce. Żył jeszcze. Tony przewrócił ciało i zauważył, że nogi trzymają się tylko na pasmach mięśni i ścięgien. Oficerski mundur pokryty był krwią, białymi odłamkami kości i szpikiem.

–Pomóż mi, proszę – poprosił ranny po rosyjsku i powtórzył po angielsku: – Na miłość boską, pomóż mi.

–Przyślemy tu kogoś, jak tylko to będzie możliwe – odpowiedział Abrams po rosyjsku i pochylił się nad nim. – Co się stało z kobietą? – zapytał. – Z Ciaudią.

–Jest w rezydencji – odpowiedział Rosjanin z trudem.

–Ile patroli znajduje się w tej okolicy?

Tamten zdawał się zastanawiać nad odpowiedzią.

–Jeśli powiesz prawdę, przyślemy pomoc medyczną – obiecał mu Abrams.

–Są jeszcze dwa patrole... z tyłu, przy murze – padła odpowiedź.

Cameron podszedł do Abramsa, który powtórzył rozmowę.

–Masz jeszcze jakieś pytania? – zapytał. – Ten drań i tak nie powie ci prawdy. – Pochylił się nad ciałem i strzelił Rosjaninowi w czoło.

Tony był wstrząśnięty, choć nie zdziwiony. Trudno było osądzić, czy dobijanie rannych jest aktem miłosierdzia czy okrucieństwa, ale podejrzewał, że Cameron nie tylko się nad tym nie zastanawia, ale nawet go to nie obchodzi. Tamten tymczasem zebrał karabiny i pistolety Rosjan i odrzucił je głęboko w krzaki.

Davis ześliznął się z klonu, lądując na polanie. Spojrzał na ciała zabitych.

–Widzisz te zielone lamówki na ich mundurach? – zapytał kolegę. – Ci faceci należą do Dowództwa Straży Granicznej. Cameron skinął głową i wyjaśnił Abramsowi:

–To mundury elitarnych oddziałów KGB. Takich jak nasi marines. To nie są zwykli strażnicy z ambasady.

Tony nie wiedział, czy to dla nich lepiej czy gorzej.

–No dobra, nie chciałbym natknąć się na następnych – powiedział Cameron. – Lepiej będzie się stąd wynieść.

Abrams poczekał na Katherine. Znowu ustawili się w szyku ; i ruszyli w kierunku eksplodujących rakiet. Szli, unikając ścieżek i szlaków spacerowych. Doszli do skraju przerzedzonego lasu : i przykucnęli blisko trawnika. Abrams ogarnął wzrokiem szeroką, trawiastą przestrzeń rozciągającą się w kierunku widniejącej w odległości stu jardów wielkiego domu położonego na grzbiecie wzgórza. Przyjrzał się bacznie podobnej do fortecy budowli, długo patrząc na jej czarny kształt rysujący się na tle niebieskiej i wznoszące się nad wykuszowymi oknami złowieszcze wieżyczki. Światła reflektorów oświetlały każdy cal krótko przyciętej trawy. Ich silne promienie padały też na otaczające teren lasy. Nagle błędzący strumień światła ruszył w ich kierunku i zatrzymał się kilka stóp obok.

–Teraz spokojnie – powiedział Cameron. – Reflektory są sterowane automatycznie, nie ręcznie. Przesuwają się nieregularnie i na chybił trafił.

Kiedy tylko skończył mówić, światło przesunęło się dalsze dziesięć jardów w prawo, a potem gwałtownie ruszyło w lewo i zanim zatrzymało się kilka jardów dalej, przesunęło się po nich.

–Jestem pewien, że te cholerne urządzenia podsłuchowe już wychwyciły naszą obecność – powiedział Davis.

–Iwan nie lubi nie zapowiedzianych gości – dodał Cameron, kiwając głową.

–Tak czy inaczej, wkrótce będziemy w rezydencji – uciął krótko Davis.

Abrams dostrzegł trzy postaci na tarasie. Byli to uzbrojeni strażnicy na posterunku. Katherine spojrzała na zegarek.

–Mamy kilka minut spóźnienia.

–To nie będzie miało znaczenia, jeśli pozostali nie dotarli jeszcze do celu. Nie przedostaniemy się przez ten trawnik bez pomocy – stwierdził Cameron.

Davis przyłożył do oczu lornetkę i spojrzał w kierunku domu.

–Widać ściany i dziedziniec... Widać też japońskie latarnie przy podjeździe i miejsce wjazdu... – Podniósł głos: – Jest furgonetka! Pembroke mija już wartownię. Samochód jedzie w kierunku frontowych drzwi. – Odłożył lornetkę i spojrzał na trójkę towarzyszy. – Niezły pokaz.

Cameron kiwnął głową.

–Został im jeszcze kawałek drogi. Nam zresztą też. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Bieg przez ten trawnik zajmie nam jakieś piętnaście sekund. – Spojrzał na Abramsa i Katherine. – Każdy z nas musi mówić w tym czasie jakiś wiersz albo modlitwę. Ja wybrałem „Ojciec nasz”. To niezawodny sposób.

Tony pomyślał, że gdyby było inaczej, Camerona nie byłoby tutaj z nimi.

–Dobra – rzucił Cameron. – Mocujcie bagnety.

63

Dostawcza furgonetka Rotha toczyła się powoli przez rzęście oświetlony dziedziniec. Pembroke wyrzwał ostrożnie ponad siedzeniem. Co dziesięć jardów stał strażnik uzbrojony w broń automatyczną.

–Nie wygląda to zachęcająco – zauważył Marc.

Roth mamrotał coś, a jego głos załamywał się histerycznie.

–Wszyscy zginiemy... Rosjanie nas pokonają... Zabiją mnie...

Och, mój Boże, Pembroke... Nie chciałem dla nich pracować...

Szantażowali mnie... Bałem się... Już nie wierzę.

–Zamknij się, Karl.

Furgonetka skręciła w lewo i podjechała przed drzwi frontowe.

Roth nacisnął na hamulce. Pembroke i Ann przesunęli się na tyły

furgonetki do Llewelyna i Suttera, którzy trzymali dłonie na klamkach gotowi do walki. Wszyscy nasunęli na głowy czarne kaptury.

Strażnik podszedł do okna samochodu i odezwał się po angielsku:

–Co tu robisz, Roth? Nie odebrałem z wartowni żadnego meldunku.

Karl otworzył usta, ale nie padło z nich żadne słowo. – Śmierdzisz whisky – powiedział oschle strażnik. – Zostań tutaj. – Odszedł od okna.

Pembroke odciągnął zamek swojego M-16 i pozwolił mu odskoczyć z głośnym, metalicznym szczęknięciem. Pozostali zrobili to samo. Za każdym razem Roth podskakiwał na swoim miejscu.

Marc wolno się podniósł i wyjrzał przez przednią szybę. Obok samochodu przechodziło właśnie czterech umundurowanych mężczyzn. Strażnik wrócił po chwili.

–Telefon na wartowni nie działa. Po co tu przyjechałeś?

–Z jedzeniem. Dla Androwa. – Roth wziął głęboki oddech.

Strażnik nic nie powiedział i Karl odzyskał pewność siebie.

–Mam coś dla ciebie. – Odwrócił się i pogrzebał w leżącej na sąsiednim miejscu torbie. – Wódka i szkocka. Sześć butelek. – Podniósł torbę do okna. Strażnik rozejrzał się dookoła, a potem złapał torbę.

–Ruszaj, Roth.

Tamten skinął szybko głową i ruszył z miejsca. Jego stopa spoczywająca na pedale gazu drżała tak mocno, że furgonetka zaczęła posuwać się naprzód krótkimi zrywami. Skręcił znowu w lewo wzdłuż południowego skraju dziedzińca, a potem w prawo na mały podjazd, który prowadził prosto do budynku. Pembroke przykucnęła za nim.

–Wszystko w porządku. Jeszcze jeden punkt kontrolny. Jeśli nas bezpiecznie przewieziesz, to kupisz sobie przebaczenie. Teraz spokojnie. Dobrze ci idzie.

Furgonetka zatrzymała się przy żelaznej bramie prowadzącej na otoczony murem dziedziniec. Strażnik osłonił oczy przed blaskiem reflektorów. Dał znak, że rozpoznaje kierowcę, a potem otworzył jedno skrzydło bramy na oścież. Roth zatrzymał się w połowie przejazdu. Pembroke schował się za siedzeniem kierowcy. Strażnik położył ręce na krawędzi szyby.

-Przywiozłeś coś ekstra, Roth?

Karl skinął głową, podniósł z podłogi małą torbę i wręczył ją strażnikowi, który natychmiast do niej zajrzał.

–Co to za paskudztwo?

–Słodkie likiery. Dla pań. Bardzo drogie.

Wartownik parsknął z niezadowoleniem – - Przez jakąś godzinę będę rozładowywał towar i rozkładał bufet – powiedział Roth.

–Podjedź pod drzwi pomieszczeń gospodarczych i nie blokuj przejazdu.

Roth skinął głową i przejechał przez bramę.

–Co najmniej połowa tych cholernych Ruskich żeruje na biednym George'u – wyszeptał Pembroke.

–Ale jeśli chodzi o darmowe obiady, to dzisiaj kwestujemy na rzecz pana Van Doma – powiedział Sutter.

Ann spojrzała na towarzyszy. Po raz pierwszy spotkała się z podobnym opanowaniem i optymizmem w obliczu tak dużego niebezpieczeństwa. Doszła do wniosku, że ich. dotychczasowe sukcesy zależały od jakiejś nie wyjaśnionej mocy. Po prostu trudno im było uwierzyć w to, że przegrają.

Kari przejechał furgonetką wśród zaparkowanych na zatłoczonym parkingu pojazdów, włączył wsteczny bieg i podjechał pod drzwi. Wyłączył silnik i światła, niepewnie wysiadł i przeszedł na tył furgonetki. Otworzył drzwiczki na oścież.

–Otwieraj wejście. Szybko – nakazał Pembroke.

Roth zeskoczył z furgonetki i otworzył duże, podwójne drzwi w taki sposób, aby spotkały się z drzwiczkami furgonetki i utworzyły swobodne przejście. Pembroke zajrzał do dużego magazynu. W jego drugim końcu znajdowały się zamknięte, pojedyncze drzwi. Wewnątrz nie było nikogo. Pembroke wyskoczył z samochodu i wepchnął Rotha do środka. Sutter, Ann i Llewelyn chwycili kilka pudeł z żywnością, wnieśli je do pomieszczenia i ustawili rzędem pod ścianą. Sutter wrócił do furgonetki, zatrzasnął drzwiczki i zaczął zamykać drzwi magazynu.

–Stać! – Usłyszeli.

Pembroke pchnął Rotha w stronę drzwi. Pozostała trójka przywarła do ściany.

–Roth, zapomniałem ci powiedzieć, żebyś nie zostawiał otwartych drzwi – powiedział strażnik. – Androw każe cię zastrzelić, jeśli nie będą zamknięte po wpół do dwunastej.

–Już zamykam.

–I nie otwieraj ich już.

–Nie, nie.

–Co się z tobą dzieje, Roth? – spytał strażnik, przyglądając mu się podejrzliwie.

–Pewnie za dużo wypilem.

Strażnik nie spuszczał z niego wzroku.

–Dlaczego drżysz? Co...

Pembroke oderwał się od ściany, odepchnął Karla na bok i stanął na wprost Rosjanina. Na widok zakapturzonej zjawy strażnik otworzył szeroko usta. Pembroke chwycił go za pasek karabinu, silnym ruchem pociągnął przez drzwi, okręcił nim dookoła i cisnął o ścianę. Sutter uderzył Rosjanina w pachwinę.

Llewelyn wymierzył mu morderczy cios karate w kark. Rosjanin upadł na ziemię i zamarł w bezruchu. Sutter przewrócił go na grzbiet, ukląkł przy nim i sprawdził, czy daje jeszcze jakiś znak życia. – Żyje. Starzejesz się, Llewelyn.

–Tak czy inaczej, trzeba go stąd zabrać – powiedział Pembroke.

Chwycili nieprzytomnego za ramiona i powlekli go przez magazyn. Pembroke i Roth szli z przodu. Ann zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz. Podążyła szybko za resztą. Pembroke ostrożnie otworzył drzwi w drugim końcu magazynu i zajrzał do pomieszczenia wypełnionego rurami i przewodami. Po lewej stronie stał dźwig towarowy. Wiedział, że poniżej znajduje się kotłownia. Przeszedł przez zagracony pokój i wyszedł drugim wyjściem na długi korytarz. Pozostali szli za nim. Odwrócił się i podążył wąskim korytarzem aż do miejsca, gdzie poprzednio znajdowały się drzwi do pomieszczeń dla służby. Przez chwilę nasłuchiwał i w końcu wszedł do ciemnego pokoju. Skinął na pozostałych, którzy szybko wciągnęli Rosjanina do środka. Ann zamknęła drzwi i przyłożyła oko do dziurki od klucza.

Pokój wyposażony był w pojedyncze łóżko, szafę, kilka krzeseł i lustro. Czuło się, że to pokój kobiety. Pembroke otworzył szafę i zobaczył kilka sukni, spódnic i bluzek. Odwrócił się do Rotha i wyszeptał:

–Wejdz do środka.

Kar! wszedł szybko do małej szafy i skulił się pomiędzy wiszącymi w niej rzeczami.

–Byłeś przez czterdzieści lat zdrajcą, Roth, ale odkupiłeś swoje winy tym jednym czynem. Dlatego darujemy ci życie. Odwróć się.

Roth odwrócił się i stanął twarzą do ściany. Llewelyn związał mu ręce giętkim

przewodem i chciał zalepić usta plastrem.

–Czekaj – zatrzymał go Pembroke. – Roth, czy chciałbyś jeszcze coś powiedzieć? Coś, co pomoże nam wykonać zadanie?

Roth milczał przez chwilę.

–Nie... nie. Nic nie wiem.

Pembroke skinął na Llewelyn, a ten zakneblował Karłowi usta. Sutter wyskoczył szybko do przodu i zacisnął mu na szyi pętlę z drutu. Roth szarpnął się konwulsyjnie i upadł na podłogę.

Ann obserwowała zajście otwartymi szeroko oczami, ale nie powiedziała ani słowa.

–W moim kraju zdradę stanu karze się śmiercią przez powieszenie – powiedział Pembroke do Ann. – To najlepsze, co mogliśmy zrobić w tych okolicznościach. – Spojrzał na Rosjanina. – Zdejmijcie strażnikowi mundur i dajcie mu coś na sen.

Sutter i Llewelyn ściągnęli z nieprzytomnego mundur, zdjęli mu buty i odpięli pas z bronią. Sutter wyciągnął małą strzykawkę i wbił igłę w ramię strażnika. Razem z Llewelynem ułożyli go obok Rotha i zamknęli drzwi szafy.

–Llewelyn, ty jesteś mniej więcej jego wzrostu – powiedział Pembroke. – No i masz takie ponure słowiańskie rysy. – Uśmiechnął się ze swego dowcipu.

Llewelyn zdjął czarny, maskujący uniform i buty i włożył mundur. Wsunął swoje ubranie i ekwipunek pod łóżko. Spojrzał w lustro i z fasonem założył furażerkę na głowę.

–Wyglądasz jak jakiś stróż – skomentował Sutter.

–Odpieprz się – odwarknął Llewelyn. Założył pas z bronią.

Pembroke spojrział na zegarek.

–Dobra, jesteśmy gotowi – stwierdził.

Sutter także sprawdził czas.

–Mniej więcej zgodnie z planem.

Ann pstryknęła palcami i wszyscy spojrzeli w jej kierunku.

Spoglądała przez dziurkę od klucza. Na korytarzu rozległy się odgłosy kroków. Ann

podniosła w górę trzy palce. Drugą rękę ułożyła jak pistolet: trzech uzbrojonych strażników. Mężczyźni zatrzymali się i jeden z nich odezwał się po rosyjsku. Drugi odpowiedział i dało się słyszeć śmiech, po czym oddalili się w głąb korytarza. Ann odwróciła się od drzwi i wyszeptała:

–Chodziło o tę rumuńską hrabinę, Cłaudię. I o faceta nazwiskiem Kalin. Są w jednym z tych pokoiów służących za areszt.

Możemy jej jakoś pomóc?

–Nie, musi sobie sama poradzić – odpowiedział Pembroke. – W końcu oddaje nam przysługę z własnej woli, a bardziej się

nam przyda, siedząc w samym środku tego, co się dzieje. – Zastanawiał się przez chwilę i dodał: – Poza tym nie ufam jej do końca.

Podszedł do drzwi i gdy był już pewien, że Rosjanie oddalili się na bezpieczną odległość, powoli je otworzył. Skinął dłonią na Llewelyn, który pierwszy ruszył naprzód. Rozejrzał się po korytarzu, odwrócił się do Pembroke'a i skinął głową. Ann i Sutter poszli za nim. Marc wyszedł ostatni, zamykając za sobą drzwi.

Wrócili szybko do windy towarowej i weszli do środka. Sutter zamknął drzwi, a Llewelyn pociągnął za dźwignię i drewniany dźwig powoli ruszył.

–Następny przystanek, drugie piętro. Stamtąd przejdziemy schodami na poddasze – powiedział Pembroke. – Bliżej Boga i nieba.

Winda zatrzymała się. Sutter przyłożył ucho do drzwi. Pembroke i Ann złożyli się do strzału. Llewelyn chwycił uchwyt u drzwi i rozsunął je, odsłaniając małe foyer. Odczekał pełną minutę, a potem szybko opuścili wagon windy. Llewelyn wyszedł do długiego na około sto stóp korytarza, równoległego do osi budynku. Po obydwu stronach ciągnęły się rzędy dębowych drzwi rozmieszczonych w nierównych odstępach. Llewelyn podszedł szybko do trzecich drzwi po prawej stronie. Stał do nich plecami i przyjął postawę żołnierza na posterunku. Rozejrzał się, nasłuchując uważnie. Poczekał chwilę i przekręcił gałkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Wyciągnął z kieszeni sprężynowy wytrych i przekręcił go w zamku. Pembroke, Ann i Sutter ruszyli za nim i wślizgnęli się do małego pomieszczenia mieszczącego się u stóp schodów prowadzących na poddasze. Llewelyn miał już pójść za nimi, ale zamarł w bezruchu. Z pokoju po przeciwnej stronie korytarza wyszło dwóch Rosjan w cywilu. Llewelyn zamknął drzwi i znowu przyjął sztywną postawę. Kątem oka dostrzegł, że mężczyźni są już blisko. Jeden był szczupły i łysy, drugi mocno zbudowany, w wieku około dwudziestu lat. Pembroke, Ann i Sutter czekali za drzwiami, nasłuchując. Starszy z mężczyzn odezwał się do Llewelyna, który znał tylko dwa słowa po rosyjsku: da i niet.

Patrząc prosto przed siebie, odpowiedział:

–Da!

Tamci spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

–Zapytał, kto postawił go przy schodach na poddasze i dlaczego – wyszeptała Ann do Pembroke'a i Suttera. – Obawiam się, że odpowiedź nie była zadowolająca.

–Tak, rosyjski Llewelyn nie jest zbyt bogaty – wyszeptał Pembroke, kiwając głową. Łysy mężczyzna odezwał się jeszcze raz, tym razem z przynagleniem w głosie.

–Och, cholerne da albo niet i odpieprzcie się! – odpowiedział zirytowany już Llewelyn.

Zaciśniętą pięścią wymierzył cios w twarz mężczyzny. Uderzenie zważyło Rosjanina z nóg i odrzuciło go pod ścianę. Młodszy mężczyzna, który do tej pory nie powiedział ani słowa, krzyknął i spoglądał jak urzeczony na zwinięte ciało towarzysza. Odwrócił się w końcu do Llewelyna i znalazł się oko w oko z lufą rewolweru.

–Dzień dobry, Mikołaju Wasylewiczu – powiedziała Ann po rosyjsku, wychodząc zza drzwi. Zsunęła kaptur i poprawiła fryzurę. – Proszę wejść. Mam do pana słówko.

Młody człowiek otworzył szeroko usta. Llewelyn popchnął go przez drzwi, a potem wciągnął ciało nieprzytomnego Rosjanina do środka i zostawił je na podłodze. Sutter zamknął i zaryglował drzwi. Pembroke spojrzał na leżącego mężczyznę. Trudno było rozpoznać rysy jego twarzy.

–Zdaje się, że to Karpienko, tutejszy główny oficer KGB do spraw łączności – powiedział Pembroke. Spojrzał na Mikołaja Wasylewicza i zapytał: – Karpienko?

Zapytany skinął z wahaniem głową i spojrzał na Ann.

–Nie obawiaj się – powiedziała. – Nie zrobimy ci krzywdy. – Spojrzała na Pembroke'a, a potem znowu na młodego Rosjanina. – Chcemy, żebyś słowo po słowie powtórzył nam wiadomość, którą przekazałeś Wiktorowi Androwowi.

–Nie zrobię tego. Równie dobrze możecie mnie zastrzelić – stwierdził stanowczo.

Ann przetłumaczyła jego słowa. Pembroke wyciągnął automatyczny pistolet z tłumikiem, odbezpieczył i wycelował w twarz Karpienki.

–Śmierć Komitetowi Gosudarstwiennoj Biezopasnosti. – Powiedział całkiem poprawnie po rosyjsku i wystrzelił trzy razy w twarz nieprzytomnego Karpienki, zamieniając ją w krwawą miazgę.

Mikołaj Wasylewicz zbladł i zaczął drżeć. Marc zwrócił broń w jego stronę i odezwał się po angielsku: – Śmierć wszystkim draniom z KGB.

–Nie, nie. Ja nie jestem z KGB. Jestem żołnierzem. GRU,

wywiad wojskowy – powiedział Rosjanin, potrząsając przecząco głową.

Ann położyła dłoń na jego ramieniu.

– Jesteś za młody, żeby umierać, Mikołaju – powiedziała P° rosyjsku. – Przysięgam ci, że jeśli tylko będziesz chciał z na" mi współpracować, nie spotka cię żadna krzywda. – " Zajrzała głęboko w jego orzechowe oczy. – A teraz powtórz fszystko słowo w słowo. Wierz mi, że potrafię stwierdzić, czy mówisz prawdę.

Mikołaj Wasylewicz stał ze wzrokiem zwróconym pro^0 przed siebie i wyrecytował monotennie treść wiadomości, takjok to zr0bił dla Wiktora Androwa. Kiedy skończył, Ann streści)8 P° angielsku to, co powiedział, a potem powiedziała do Penibroke'a:

–A więc to jednak Mołnia i nastąpi to dziś w nocy. I^asze podejrzenia potwierdziły się. Nie wiedzieliśmy tylko, że przybędzie tu trzeci Talbot. Zresztą może już jest na miejscu.

Pembroke skinął z namysłem głową i spojrzał na E08^1'111^ zdradzającego teraz duży niepokój.

–Co prawda już nie zabija się tych, którzy przynoszą z^ wiadomości, ale...

–Nie, Marc – zaprotestowała Ann, kładąc rękę na uniesionym w górę pistolecie. – Obiecałam. Poza tym, on jest ^ki ^^Y- Schowaj go pod tymi schodami – powiedział do Suttera Marc, uśmiechając się porozumiewawczo.

Sutter wyciągnął strzykawkę i podszedł do Rosjan111'1- Ten zrobił krok do tyłu.

–Czas na sen, drogi Iwanie – powiedział. – Daj rękęAnn powiedziała kilka uspokajających słów. Młody człowiek zawahał się, ale w końcu wyciągnął ramię. Sutter wl^ w me strzykawkę z większą siłą, niż to było konieczne, a pote)11 zaprowadził Rosjanina do małej szafy pod schodami i wepcha S° do środka w chwili, gdy tamten już zaczął zapadać w sen.

Pembroke zlustrował wąską, słabo oświetloną klatka schodową prowadzącą na podest. Znajdowały się na nim stałość® drzwi, o których wiedział, że prowadzą do południowego końca głównej części poddasza. Były tam jeszcze trzy inne prowadząc^ na P°d" dasze klatki schodowe. Każda z nich kończyła się stalowy™ drzwiami zabezpieczonymi sztabami.

–Za tymi drzwiami znajduje się święty Graal – powiedział cicho Marc do Ann.

–Możesz go sobie zatrzymać. Mnie interesuje radiofo^a.Jesz459 cze przed północą muszę połączyć się z Waszyngtonem i z Moskwą.

Pembroke spojrział na zegarek.

–Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Llewelyn był już u szczytu schodów. Przymocowywał ładunki wybuchowe do stalowej framugi drzwi.

–Nie możemy sobie pozwolić na strzelaninę tam, na górze – ostrzegła Ann. – Te urządzenia mają dla nas zasadnicze znaczenie.

–Rozumiem.

–Jeśli nam się uda, Marc, nie chcę tu żadnej masakry – powiedziała, patrząc na niego uważnie. – Po prostu chcę się stąd wydostać.

–A jeśli nam się nie uda?

–Wtedy, tak jak powiedział George, zginiemy, lecz zabierzemy ze sobą, ilu tylko zdołamy.

–A co z twoim ojcem? Chcesz go żywego czy umarłego?

–Chcę, żeby znalazł się tam, gdzie powinien być, to znaczy w grobie – odpowiedziała bez wahania.

–Thorpe? – Żywy. Chcę go żywego.

–Jakieś inne instrukcje?

–Tak. Jeśli to prawda, że trzeci Talbotjest tutaj, znajdź go.

–Zanim opuszczę to miejsce, ten dom zdradzi nam wszystkie swoje sekrety – stwierdził Pembroke, kiwając energicznie głową.

Duży helikopter Sikorsky zmierzał na południe w stronę linii brzegowej Long Island.

–Cel dokładnie trzy mile na południe! – wykrzyknął dowódca skoków, Farber. – Wieje północny wiatr z szybkością dziewięciu mil na godzinę na poziomie morza. Tutaj, w górze, dziesięć do piętnastu mil. Księżyc za chmurami. Chmury deszczowe przesuwają się w naszym kierunku. Cel jest dobrze oświetlony i łatwo go zidentyfikować. Nie wylądujcie przypadkiem na terenie George'a, bo was zastrzeli. – Zaśmiał się i dodał: – Ustawić się rzędami.

460

Grenville wstał i podszedł do przesuwanych drzwi. Za nim ustawili się ludzie Pembroke'a, Stewart i Collins. Jeszcze dalej Johnson i Hallis. Tom wiedział na tyle dużo o taktycznych skokach ze spadochronem, żeby docenić znaczenie „braterstwa broni” w takich sytuacjach. Stewart i Collins mogli na sobie polegać.

Domyślał się, że Johnson i Hallis też. Wyglądało na to, że tylko on jest sam. Światła na pokładzie nagle zgasły, w kabinie pilotów także zapanowała ciemność. Piloci zaciągnęli zasłony na bocznych oknach i wyłączyli zewnętrzne światła nawigacyjne. Grenville uznał to za bardzo niebezpieczne. Wydawało się, że Farber czyta w jego myślach.

–Nie martwcie się, chłopcy. Nikt inny nie jest na tyle szalony, żeby dziś wieczorem lecieć na tej wysokości.

Zciemniony helikopter przestał posuwać się naprzód i zawisł w powietrzu dziobem pod wiatr. Targało nim coraz bardziej, a pokład mocno przechylał się z lewej burty na prawą. Mężczyźni trzymali się zwisających nad głowami uchwytów.

–Cel dokładnie o milę na południe! – wykrzyknął Farber.

Grenville skontrolował sprzęt i poprawił pas swojego M-16.

Wyjrzał przez szybę w drzwiach. Niebo rozświetlały ciągle błyski, a za oknami przesuwały się ciemne chmury.

–Wysokość pięć tysięcy pięćset stóp! – krzyknął Farber. – Cel sto stóp nad poziomem morza, choć mogłem się pomylić o szerokość jednego „komina”.

Grenville doszedł do wniosku, że nie odpowiada mu poczucie humoru Farbera. W nagłym przypływie rozsądku zdecydował, że nie będzie skakał. Odwrócił się i znalazł się oko w oko ze Stewartem. Jego twarz oświetlało światło księżyca, który akurat

wyjrzał zza chmur.

Farber nagłym ruchem rozsunął drzwi i do kabiny wpadł podmuch lodowatego powietrza. Hałas obracających się śmigieł zagłuszał każde słowo. Grenville nie słyszał własnego głosu, gdy mówił Stewartowi, żeby zszedł mu z drogi. Tamten uśmiechnął się do niego. Farber uniósł kciuk do góry i błysnął zieloną latarką. Stewart wyciągnął rękę i wypchnął Grenville'a przez otwarte drzwi. Tom poczuł, że nie ma już pod nogami twardego gruntu.

Nigdy nie lubił tego uczucia. Przekoziółkował głową w dół, wyprostował się i rozłożył ramiona jak skrzydła, doświadczając radości swobodnego opadania. Szybował w promieniach księżyca nad cieśniną Long Island, a wiatr niósł go w stronę wybrzeża.

Nie zderzyłem się z tym cholernym pontonem, pomyślał. Rozejrzał się i dostrzegł, że Stewart i Collins szybują niemal nad nim.

Na koniec z kabiny wyskoczył Johnson, a zaraz za nim Hallis.

Natychmiast po skoku Hallisa Farber złapał za uchwyt przesuwanych drzwi. Nagle, ze znajdującego się na rufie luku ładowni wyłonił się mężczyzna. Farber instynktownie wyczuł jego obecność i podniósł wzrok. Ubrany na czarno mężczyzna ze spadochronem na plecach stanął przed stojącym w ciągle na wpół otwartych drzwiach Farberem.

–Hello, Bamey – powiedział.

Farber otworzył szeroko oczy. Mężczyzna wyciągnął ręce i chwycił go wpół, a potem wypchnął przez drzwi i skoczył za nim.

Tom Grenville spojrzał w dół na zbliżające się wybrzeże. Miał nadzieję, że uda im się dostrzec posiadłość, choć nie był pewien, czy on sam ma ciągle zamiar wylądować w jej pobliżu. Tak jak robili to inni skoczkowie, którym zdarzało się nagle posłuchać głosu rozsądku, mógł ominąć cel i tłumaczyć się później, że wziął światła pobliskich obiektów sportowych za radziecką rezydencję.

W miarę jak spadał coraz niżej, powietrze stawało się coraz cieplejsze i słabł wiatr. Zobaczył przed sobą Glen Cove i pasma krzyżujących się dróg opasujących miasteczko jak sieć jasnych, mrugających choinkowych świateł. Poza miasteczkiem ciągnęły się podmiejskie szlaki prowadzące do dużych domów otoczonych ciemnymi plamami lasów i pól. Grenville zauważył radziecką rezydencję i stwierdził, że nie można jej z niczym pomylić. Trzeba zapomnieć o tym pomyśle. Spojrzał w dół. Ziemia zbliżała się teraz coraz szybciej, jak zwykle przed lądowaniem. Zdał sobie sprawę, że aby podejść do bezpiecznego lądowania poza terenem Rosjan, musi już teraz otworzyć czaszę spadochronu. Jeszcze kilka sekund i nie będzie już na tyle z boku, aby zrobić to, co zamierzył.

Położył dłoń na dźwigni. Nagle przypomniał sobie to, co usłyszał od Van Doma przed startem, i zawahał się. Poza gadaniną o patriotyzmie i zapewnieniami o nagrodzie Van Dom powiedział:

–Jeśli tobie i Joan uda się wrócić, wszystko się między wami ułoży, i to na długo.

Grenville instynktownie zdawał sobie sprawę z tego, że to prawda. Jego uczucie do Joan było bardzo silne. Po prostu coś się

między nimi zepsuło. Musiało połączyć ich coś szczególnego, aby do ich związku powróciła ta życiodajna iskra. Coś takiego jak akcja komandosów.

–Nie mogę pozwolić, aby sama brała w tym udział – powiedział do siebie. – Muszę być tam razem z nią.

Spojrzał w dół na dużą, oświetloną reflektorami przestrzeń wokół domu. Była już bardzo blisko i było za późno, aby uniknąć spotkania z nią i walki na śmierć i życie.

–Och, cholera.

Spojrzał na szybko zmieniające się czerwone cyfry na wyświetlaczu wysokościomierza: tysiąc stóp ponad poziomem morza, dziewięćset stóp, osiemset. Pociągnął za dźwignię i wyczuł, jak zwalnia, w miarę jak czas spadochronu wypełnia się powietrzem. Spojrzał w górę na coś, co rozpostarło się nad nim jak skrzydła czarnego nietoperza. Poczuł, że wolno dryfuje, i sprawdził na wysokościomierzu, że ciąg powietrza utrzymuje go na stałej wysokości pięciuset stóp.

–Cholera!

Nie uśmiechało mu się zawisnąć nad celem. Choć zgodnie z planem fajerwerki ustały i jak przypuszczał, nikt już nie obserwował tego, co działo się w górze, to jednak miał świadomość, że widać go jak na dłoni. Wysokościomierz wskazywał czterysta pięćdziesiąt stóp. Opadał o wiele za wolno. Próbował sterować spadochronem w stronę domu. Spojrzał przez ramię. Helikoptera nie było już widać. Tom przypuszczał, że maszyna znajduje się ciągle w tym samym miejscu i ubezpiecza ich z góry, ale jest niezauważalna z powodu maskującej farby i wygaszonych świateł.

Pozostałe cztery czasze spadały tuż za nim. Spadochroniarze wykonywali niezbędne manewry, zbliżając się do rezydencji. Greni ville spojrzał przed siebie, a potem znowu szybko odwrócił głowę li* do tyłu. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, policzył. Coś tu było nie w porządku. Policzył jeszcze raz i znowu wyszło mu pięć. Co u diabła...? Farber? pomyślał. Ale Farber nie miał spadochronu i nie byłby w stanie go założyć tak szybko, żeby być tak blisko.

K Kto to mógł, do licha, być? Może i dla niego mieli druha. Zauwai żył, że pozostali także spoglądają do tyłu i obserwują tajemniczego skoczka. Instynktownie wyczuł, że szósty spadochroniarz me jest jednym z nich. To nie był przyjazny druh.

W miarę jak zwiększyło się nachylenie tunelu, Staniey Kuchik coraz mocniej trzymał się liny. Pomyślał, że powinien już zbliżyć się do końca drogi.

–Jesteś tam? – zawołał cicho do Joan.

–Tylko ciałem. Mój duch błądzi gdzieś w okolicach Lazurowego Wybrzeża.

–Och... nie poddawaj się. Przynajmniej daj mi znać, jeśli będziesz chciała się poddać. Wtedy i ja zrezygnuję.

Joan pomyślała, że chłopak w końcu się przestraszył.

–Na pewno pierwszy się o tym dowiesz – obiecała.

Staniey milczał, a lina ciągnęła go dalej przez tunel. Nagle coś otarło się o jego kask i twarz i usłyszał pobrzękiwanie metalowych dzwonek – sygnał, że za kilka sekund jego palce uchwycą końcowy blok. Szybko puścił linę i wymacał sklepienie tunelu, odnajdując pierwszy z zamocowanych w przewodzie uchwytów.

Siedząc ciągle na wózku, podciągnął się rękoma aż do końca tunelu. Jeszcze raz usłyszał dzwonki. Joan sięgała już po pierwszy uchwyt.

–Dochodzę do końca – powiedział.

–Ja też.

Staniey poczuł, że głowa Joan prawie dotyka jego stóp.

–Poczekaj chwilę – powiedział.

–Chryste, miej mnie w swojej opiece...

Odnalazł następny uchwyt i podciągnął się o stopę dalej. Dotknął kaskiem betonowej plomby, która zamykała wyjście. Odetchnął głęboko. Smród, jaki panował w tunelu, przyprawiał go o zawrót głowy.

–Uderzyłem w ścianę – wyszeptał.

–Spróbuj ją przebić.

–Okay.

Bergen wyjaśnił im, że wynajął karłów, którzy wytrawili kwasem solnym większą część betonowego czopa, zostawiając zaledwie dwucalową skorupę. Staniey wzdrygnął się. Wariactwo. Obrócił się z trudem i położył się na wózku twarzą w dół. Odnalazł przed sobą uchwyt, złapał go mocno. Ruszył razem z wózkiem naprzód i uderzył kaskiem w ścianę. Kruchy, nadżarty kwasem beton rozpadł się natychmiast na kawałki i runął z hałasem na podłogę kotłowni. Do tunelu wdarł się silny strumień światła, które niemal oślepiło przyzwyczajonego już do ciemności Stan464 leya. Zmrużył oczy. Zimne powietrze chłodziło jego spoconą twarz.

Wyciągnął pistolet i wycelował prosto przed siebie. Gdyby ktokolwiek znajdował się w kotłowni lub też wszedł, żeby sprawdzić przyczynę hałasu, miał krzyknąć z całych sił: „czerwone” i oboje mieli odepchnąć się i skierować wózki z powrotem do piwnicy.

Stanicy patrzył na znajdujące się w odległości dwudziestu stóp zamknięte drzwi kotłowni. Wpatrywał się w nie i modlił się, choć nie wiedział, czy o to, żeby się otworzyły, czy też żeby pozostały zamknięte.

–Zielone czy czerwone? – zapytała Joan z naciskiem. – Żółte – zakpił Staniey.

Odczekał chwilę. Jego wzrok przyzwyczajał się powoli do światła. Patrzył ciągle na drzwi, rozważając obie możliwości i w końcu poddał się.

–Zielone! Zielone!

–Zrozumiałam. Zielone – odpowiedziała Joan z cieniem zawodu w głosie.

Staniey włożył pistolet do worka na piersi, a potem zsunął się z wózka i przepchnął go przez wylot tunelu. Guma, z której był zrobiony uderzyła miękko o podłogę. Chłopak strącił kilka odłamków betonu, a potem wysunął z tunelu głowę i tułów. Rozejrzał się po dużej kotłowni oświetlonej nagimi jarzeniówkami. Spojrzał w dół. Bergen mówił, że mają się spodziewać trzech lub czterech stóp wysokości, a tymczasem było ich przynajmniej sześć.

Cholera. Wysunął ciało dalej do przodu i zgiął się w pasie, odpychając się dłońmi od ścian, aż jego ciężar przeważył i poczuł, że zsuwa się w dół twarzą naprzód. Uderzył dłońmi o podłogę, przeokoziółkował i wstał. Wyciągnął szybko pistolet i stanął przy ścianie.

–Okay. Jestem na zewnątrz. Poczekaj chwilę – powiedział do Joan, wsunawszy głowę do tunelu.

Podszedł do drzwi kotłowni i zaczął nasłuchiwać. Z oddali dobiegały jakieś dźwięki, ale nie potrafił ich zidentyfikować. Odwrócił się i ostrożnie obszedł pomieszczenie. Znalazł drewnianą ławkę i zaniósł ją pod ścianę. Stanął na ławce i zajrzał do tunelu.

Kilka stóp od otworu zauważył głowę i ramiona Joan. Leżała nadal plecami na wózku. Widząc ją tam w środku, nie mógł zrozumieć, jak udało im się dotrzeć aż tutaj. Pomyślał, że nie ma mowy o tym, żeby Rosjanie mogli się czegoś podobnego spodziewać.

–Okay, jestem tutaj! – wykrzyknął.

–Wyciągnij mnie stąd, do diabła. Nie mogę dłużej czekać.

–Okay... – Staniey wyciągnął ręce i chwycił ją pod pachy.

–Uważaj, co robisz, Stanicy.

–Bergen tak mi kazał – zająknął się.

–Po prostu pociągnij.

Szarpnął ją mocno. Wózek potoczył się w jego kierunku. Po trwających dłużej chwilę zmaganiach Joan uwolniła się i wpadła w jego otwarte ramiona. Spoglądali na siebie szeroko otwartymi oczami, słuchając, jak wózek odjeżdża z powrotem w głąb tunelu.

–O Chryste... – powiedziała Joan.

–Miałaś go zabezpieczyć... – Stanicy spojrział na nią z wyrzutem.

–Zapomniałam – warknęła Joan. – Postaw mnie na ziemi.

Wskoczyła na ławkę i zajrzała do czarnego tunelu.

–W każdym razie wózek odjechał beze mnie, Stan.

–Powinienem był ci przypomnieć.

Zeskoczyła na podłogę.

–Hej, to ja zapomniałam, a nie ty. Nie zwracaj mi głowy tym swoim męskim poczuciem odpowiedzialności.

–Przepraszam. – Spoglądał na nią lekko zdezorientowany.

–Dobra. Bierzmy się do roboty.

Skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca.

–Ciekawe, w jaki sposób masz zamiar wrócić?

–Ekspresem. Pierwszą klasą. – Rozejrzała się dookoła. – No dobra, trzeba zamaskować nasze przybycie.

Zebraли szybko z podłogi cienkie płytki połamanego betonu i ukryli je za piecem. Joan schowała tam także wózek. Stanicy sięgnął do worka i wyciągnął okrągły kawałek samoprzylepnego materiału. Stanął na ławce, rozwinął materiał i zasłonił nim wylot tunelu. Joan przyglądała mu się z odległego końca pomieszczenia. Kolorem i

fakturą przypominał beton. Była pewna, że w czasie rutynowej kontroli nie zostanie zauważony.

–Wygląda świetnie. Trzeba sprzedać ten pomysł Guggenheimowi.

Staney zeskokczył z ławki i zaniósł ją tam, skąd ją zabrał. Joan sięgnęła w górę i lekko wykręciła dwie z czterech wiszących nisko nad głowami żarówek. Tę część pomieszczenia, w której znajdował się wylot tunelu, ogarnęła ciemność.

–Dużo lepiej. W porządku, chodźmy stąd.

Staney zawahał się, a potem poszedł w stronę drzwi. Znowu wyciągnął pistolet i zauważył, że Joan zrobiła to samo. Chwycił klamkę i popchnął drzwi. Przez wąską szczelinę zajrzał do wielkiego magazynu, który pamiętał ze swojej ostatniej wizyty. Skinął na Joan i oboje wślizgnęli się do środka. Poprowadził ją pomiędzy stertami pudeł z jedzeniem w puszkach. Znał ten odcinek drogi, wyciągnął jednak mały, pobieżny szkic i obejrzał go.

Tę część piwnicy tworzył labirynt drewnianych ścian. Wszędzie znajdowały się drzwi, niektóre oznaczone po rosyjsku, kilka po angielsku. Znalazł te, których szukał, opatrzone tymi samymi rosyjskimi literami co na szkicu. Otworzył je wolno i zaczął iść ciemnym, wąskim korytarzem. Joan szła za nim. Zmierzali w kierunku zachodniej części budynku.

Przejście skończyło się i wyszli do dużego pomieszczenia. Dziesięć stóp przed nimi znajdowała się ściana z zupełnie świeżego betonu długości około pięćdziesięciu stóp. Staney podszedł do pojedynczych, masywnych, pokrytych ołowiem drzwi. Wiedział, że to schron przeciwoatomowy. Powiedziano mu, że wewnątrz znajduje się ponad stu Rosjan: mężczyzn, kobiet i dzieci. Zadaniem Stanieya i Joan było zatrzymać ich w środku.

Joan stanęła obok i skinęła głową. Oboje wyciągnęli z czarnych kombinezonów tuby szybko schnącego kleju epoksydowego i wycisnęli sporą ilość w szczelinę pomiędzy krawędzią drzwi a stalową framugą, uniemożliwiając w ten sposób Rosjanom wydostanie się na zewnątrz.

Staney spojrział jeszcze raz na szkic. Powiedziano mu, że na pierwsze piętro i dalej w kierunku korytarza ciągnącego się pomiędzy salonem i pokojem myśliwskim prowadzi klatka schodowa. Opowiedziano mu o małej dziewczynce, którą Tony Abrams spotkał na schodach. Wyglądało na to, że Van Dom dowiedział się sporo o tym miejscu od swoich szpiegów, ale nie wiedział, czy schody prowadzą z wnętrza schronu czy z zewnątrz.

Joan przeszukiwała blado oświetlone pomieszczenie przylegające do schronu. Zajrzała za kilkoro drzwi, ale żadne z nich nie prowadziły na schody.

–Schody muszą znajdować się wewnątrz schronu – wyszeptała. – Trzeba zrobić coś innego. Popatrz tam.

Wskazała na ścianę. Stały pod nią trzy stalowe pojemniki przypominające kształtem i wielkością duże zamrażarki. W rzeczywistości były to klimatyzatory i filtry powietrza ze schronu.

Z górnej części każdego z nich wyprowadzono przez ścianę kanały wentylacyjne. Musiały kończyć się gdzieś w okolicy południowego tarasu. Kanały poprowadzono też wzdłuż sufitu aż do betonowej ściany schronu. W tej chwili żaden z filtrów nie pracował. !! 467 Stanicy dotykał każdego po kolei i znalazł w końcu jeden, który był jeszcze ciepły.

–To ten.

Zbadał jego stalowe ściany. Nie było w nich żadnego otworu, ale na jednym z boków znajdowała się osadzona na zawiasach płyta. Nacisnął klamkę i uniósł płytę w górę. Zjrzał do środka i ujrzał filtry wypełnione węglem drzewnym i szklaną watą. Wyciągnął jeden z nich i położył go obok pojemnika. Joan podała mu zamkniętą plastikową torbę. Staniey rozerwał ją i szybko wrzucił znajdujące się w niej oczyszczone kryształy w miejsce filtra.

Zatrzasnął płytę i cofnął się natychmiast na bezpieczną odległość, wiedząc, że kryształy zamienią się w bezbarwny i bezwonny gaz.

–Wynośmy się stąd – wyszeptała Joan.

–Muszę mieć pewność, że to zadziała. Takie były polecenia.

–Ja zaraz zadziałam, Staniey. Nie przeciągaj struny.

Stanicy nie ruszał się, wpatrując się w wielki, szary, stalowy pojemnik. Po długiej jak wieczność chwili usłyszał trzask elektrycznego przełącznika. Pojemnik zaczął wibrować, wydając hałas podobny do brzęczenia lodówki. Staniey pokiwał z zadowoleniem głową.

–Wkrótce wszyscy zasną. Chodźmy.

Odwrócił się i ujrzał, że Joan zmierza już w głąb przejścia.

Ruszył szybko w jej ślady. Skręcili w prawo, z powrotem w kierunku kotłowni, ale ominęli ją i podeszli do drzwi pomieszczeń gospodarczych. Staniey otworzył drzwi, wszedł do długiego, wąskiego pokoju i znalazł się twarzą w twarz z jakimś mężczyzną w kombinezonie z papierowym blokiem w jednej ręce i ołówkiem w drugiej.

Joan krzyknęła. Mężczyzna zrobił to samo. Staniey instynktownie podniósł pistolet i trzykrotnie wystrzelił. Tłumik wydał dźwięk podobny do syku powietrza uchodzącego z dziecięcego balu. Mężczyzna zachwiał się. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Rękami zakrył podbrzuszeJak gdyby przyłapano go bez ubrania. Staniey nie wiedział, co robić. Wyobrażał sobie zawsze, że ktoś, do kogo będzie strzelał, padnie jak rażony gromem.

Chciał strzelić ponownie, ale ręka tak mu drżała, że na pewno by nie trafił. Joan zamknęła oczy. Mężczyzna osunął się w końcu na podłogę. Chłopak zbliżył się do niego z wahaniem. Z ramienia i pachwiny postrzelonego płynęła krew, tworząc plamę na kombinezonie i po chwili kałużę na szarej podłodze. Pierś rannego unosiła się w gwałtownym oddechu. Staniey odwrócił się. Poczul,

jak jego żołądkiem szarpią mdłości. Nie wytrzymał i z wymiotował żółcią, kwasem i czekoladowym balonikiem. Joan podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

–Och... och, mój Boże, Staniey...

Wziął kilka głębokich oddechów i z pewnym wysiłkiem odzyskał nad sobą kontrolę.

–Musimy... go dobić.

Joan nie odpowiedziała. Staniey odwrócił się i spojrział na mężczyznę z nadzieją, że jest już po wszystkim, ale tak nie było.

Chciał, żeby Rosjanin żył, ale miał inne rozkazy: nie wolno mu było zostawiać świadków. Wycelował w głowę mężczyzny, zamknął oczy i wystrzelił. Kula roztrzaskała czaszkę. Stali przez kilka sekund w milczeniu, aż w końcu Joan odezwała się z wymuszonym spokojem:

–Pomóż mi go ukryć.

Zaciągnęli zwłoki w zastawiony drewnianymi kłocami róg pomieszczenia i ukryli je tam. Joan znalazła szczotkę. Zmyli krew i ukryli szczotkę pod dużą prądnicą. Przez krótką chwilę spoglądali na siebie, wiedząc, że stali się współsprawcami czegoś, czego nigdy nie zapomną. Joan pierwsza spojrzała na zegarek.

–Boże, mamy prawie cztery minuty spóźnienia.

Staniey szybko wyciągnął fotografię z worka na piersi i porównał ją z dużą tablicą rozdzielczą. Fotografia była powiększeniem zdjęcia, które zrobił przed miesiącem. Zaznaczono na niej kopiowym ołówkiem interesujące ich wyłączniki obwodu. Jeden z nich mieli wyłączyć, a z drugim, jedynym, który był już wyłączony, mieli postąpić odwrotnie. Van Dom przykazał mu, żeby niczego poza tym nie dotykał, tak żeby wyglądało, że wyłącznik przestał pracować z powodu przeciążenia sieci. Tego, który mieli włączyć, i tak nie zauważono by od razu. Trzymając fotografię tuż przy wyłącznikach, Staniey sięgnął ręką i przełączył te, które mu kazano. Van Dom poradził im, żeby po wykonaniu zadania jak najszybciej opuścili to miejsce, ponieważ spodziewał się natychmiastowej reakcji Rosjan.

–Zjeżdżajmy stąd!

Rzucili się przez otwarte drzwi. Gdy zmierzali w stronę kotłowni, z pobliskiej klatki schodowej dobiegły ich pospieszne kroki.

–O cholera!

Przyspieszyli tempa, ale w labiryncie wejść i korytarzy, nie potrafili odnaleźć właściwej drogi.

–Zdaje się, że zmyliliśmy drogę – powiedziała Joan, łapiąc oddech.

Nagle po prawej stronie otworzyły się drzwi. Stanicy instynktownie przywarł do podłogi i zamarł w bezruchu. Joan zrobiła to samo. Przez drzwi, jakieś piętnaście stóp od nich, wyszli czterej ludzie, dwaj uzbrojeni strażnicy i dwaj mężczyźni w kombinezonach. Skręcili w lewo i pobiegli w kierunku, z którego przed chwilą przyszli Stanicy i Joan. Chłopak nie ruszał się z miejsca. Drżał na całym ciele, a jego twarz pokrył zimny pot. Joan wstała i pomogła Stanicyowi zrobić to samo.

–Spieprzajmy stąd – wyszeptała.

Szli już teraz ostrożnie. W końcu znaleźli magazyn z żywnością. Joan stanęła w cieniu stosu paczek.

–Idź dalej. Będę cię ubezpieczać.

Stanicy ruszył przez otwartą przestrzeń i otworzył na oścież drzwi magazynu. Wszedł ostrożnie do środka i rozejrzał się dookoła. Pomieszczenie wyglądało tak samo jak wtedy, gdy je opuszczali.

Skinął na Joan, która natychmiast rzuciła się przez otwartą przestrzeń. Wbiegli do kotłowni. Stanicy nie tracił czasu. Umieścił pod wylotem tunelu ławkę, a potem wyciągnął z za kotła swój gumowy wózek. Wskoczył na ławkę i zerwał z otworu zamaskowanie. Podniósł wózek, ale nie wiedział, co robić dalej. Przymocowany od wewnątrz wózek Joan miał zabezpieczyć jego pojazd przed stoczeniem się w dół pochyłego tunelu. Ale przecież jej wózka nie było.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co Bergen i Claire powinni byli zrobić z pustym wózkiem. Zdziwił się, że nie wysłali go z powrotem. Wyciągnął latarkę i skierował światło do wnętrza tunelu.

–Chryste... – W głębi zauważył sylwetkę wózka. Prawdopodobnie utknął w miejscu, gdzie łączyły się kamionkowe rury. – O cholera!

–Co się stało? Dlaczego stanęłaś? – zapytała Joan.

Odwrócił się w jej stronę.

–Twój wózek utknął w środku. Bergen i Claire nie wiedzą, że go straciliśmy.

–Nie ma co. Rzeczywiście pokpiłam sprawę. No nic, dalej, Stanicy. Pomogę ci. – Weszła na ławkę.

–Nie. Ty pojedziesz. Powiesz im, co się stało i wyślecie po mnie wózek. Będę się tu jakoś trzymał, gdyby...

Joan uderzyła go mocno w twarz.

–Właż w tę cholerną dziurę albo wypruję z ciebie flaki.

Dotknął ręką policzka, wpatrując się w nią z osłupieniem.

Podsunięła mu wózek pod pierś, tak że wygięcie wózka dotykało jego ciała, a koła wystawały na zewnątrz.

–Trzymaj.

Odwinęła od pasa nylonowy sznur, który miał zabezpieczać jej wózek. Przełożyła jego końce pod ramionami Stanieya i przywiązała mu wózek do piersi.

–Dobra, dzieciaku, wszystko gotowe. – Spojrzała na niego, a potem pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta. Staniey zarumienił się i otworzył szeroko oczy. Joan przyklękła na jedno kolano i złożyła ręce na kształt siodełka. – No dalej. Ruszaj.

Staniey wsunął stopę w jej złożone ręce jak w strzemię i podciągnął się w górę aż do wylotu tunelu. Opierając dłonie na jego pośladkach, pomogła mu wsunąć się jeszcze dalej. Staniey zaczął staczać się w dół. W miarę posuwania się naprzód wózek nabierał coraz większego pędu. Wreszcie uderzył wyciągniętymi rękami w zablokowany wózek Joan, wprawiając go w ruch. Na dłuższą chwilę zamknął oczy, a kiedy je otworzył, przy końcu długiego tunelu zobaczył światło. W jego oczach wezbrały łzy i światło straciło swoją ostrość.

Joan Grenville wyciągnęła pistolet i podeszła powoli do drzwi kotłowni. Wiedziała, że wkrótce zacznie się zamieszanie, i nie była pewna, co powinna zrobić.

Gdzieś na zewnątrz znajdował się Tom i pozostali. Wykonała właśnie bardzo poważne zadanie i miała szansę wydostać się stąd. Inni nie mieli tego szczęścia. Ale tak jak powiedział Van Dom, w zaistniałej sytuacji nikt już nie był całkowicie bezpieczny. Pomyślała, że być może na górze wybuchnie strzelanina.

Otworzyła drzwi, ale nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, co robi. Znalazła się na błądo oświetlonym korytarzu, szukając schodów, które mogłyby zaprowadzić ją na górę.

Ciaudia Lepescu wyciągnęła małokalibrowy pistolet z wiszącego na gałce futerału. Pochłonięty grą erotyczną Kalin niczego nie zauważył. Ciaudia odbezpieczyła broń i aby stłumić wybuch, wsunęła

chłodną stal głęboko pomiędzy nogi Rosjanina. Wystrzeliła. Kalin opadł na drzwi, wydając tylko krótki jęk. Claudia odskoczyła do tyłu i spojrzała na niego. Wyglądał, jakby nic mu się nie stało. Nie zmienił pozycji i tylko na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Ujrzała w końcu, jak pomiędzy jego rozstawionych nóg płynie krew.

Kalin sięgnął rękami do rany. W jego złożonych dłoniach zaczęła zbierać się krew, wypływając strużkami między palcami.

Ciaudia stała, nadal celując do niego z broni. Czekwała na znak, że jego rana jest śmiertelna. Obserwowała, jak z jego twarzy znika wszelka barwa, jak ta woskowiała, śmiertelna fala wędruje w dół, jak odbiera różowość piersiom, później brzuchowi, jak cała czerwień jego ciała wypływa przez otwór za moszną.

Kalin zrobił mały krok w jej stronę i otworzył usta.

–Claudio...

Splunęła na podłogę i otarła usta. Spróbował iść ku niej, ale nogi ugięły mu się w kolanach i upadł twarzą na podłogę. Claudia zebrała rzeczy i szybko się ubrała. Wyszła na korytarz i szła powoli, trzymając przed sobą pistolet Kalina. Nigdy przedtem nie była w tym domu, ale widziała jego plan w gabinecie Van Doma i wierzyła, że potrafi odnaleźć biuro Androwa. Trzeba było wyrównać rachunki i poszukać zadośćuczynienia. Miała swoją godność i nie udało im się jej złamać ani zmienić w uległą, tchórzliwą dziwkę. Z chwilą gdy znalazła się w Stanach Zjednoczonych, rozpoczęła ostrożną, podwójną grę.

Przeszła przez drzwi, wspięła się do połowy kondygnacji schodów i weszła do głównego skrzydła budynku. Wierzyła w moce nadprzyrodzone i tak jak inni przedstawiciele jej narodu była przesądna. Wyczuwała zło, które uosabiał Androw.

Abrams, Katherine, Davis i Cameron wyciągnęli z pochew długie, czarne bagnety i przymocowali je do uchwytów poniżej tłumików. Abrams pomyślał, że ich widok przywodzi na myśl śmierć.

Nigdy nie brał udziału w walce na bagnety, ale to, co jeszcze niedawno było nie do pomyślenia, dziś okazywało się realne.

Katherine spojrzała na zegarek.

–Coś ich zatrzymuje.

Nagle wszystkie reflektory przy północnym krańcu budynku przeszły od

oślepiającej bieli do przytłumionej czerwieni i w końcu zgasły, pogrążając północny trawnik w ciemności. Cameron wstał i wydał prostą komendę:

–Do ataku!

Cała czwórka wypadła zza linii drzew i rzuciła się przez trawnik. Wszyscy byli dobrymi biegaczami i odległość, którą mieli pokonać, zmniejszała się szybko. Abrams pomyślał, że Cameron nie zdołał nawet odmówić swojej modlitwy, a już znaleźli się na prowadzących na taras, wyłożonych płytami schodach. Kątem oka dostrzegł na środku tarasu swastykę, a zaraz potem wyrosła przed nimi szara, kamienna ściana budynku z oknami i oszklonymi drzwiami oświetlonymi słabym, dochodzącym z wnętrza domu światłem. W miejscu, gdzie spotykały się obydwie skrzydła budynku, w rogu, na tle dużego okna, Abrams spostrzegł sylwetkę strażnika. Odwrócił się i załadował broń. Wartownik usłyszał zbliżające się kroki i na wszelki wypadek uniósł karabin. W ułamku sekundy Abrams zorientował się, że nie dosięgnie go bagnetem. Zdecydował się strzelić. Mężczyzna zgiął się wpół i zwałił na taras.

Cameron rzucił się w kierunku dwóch rozmawiających z ożywieniem mężczyzn. W ostatniej chwili zwrócili się w jego kierunku. Cameron wbił długi bagnet w pachwinę bliższego z nich i ciął nim, w górę, otwierając jamę brzuszną aż po żebra, po czym nogą zsunął ciało z bagnetu. W tym samym momencie Davis uderzył swoim bagnetem jak harpunem i zatopił go w sercu drugiego Rosjanina. Wytarli ostrza o mundury swoich ofiar.

Katherine przystanęła na schodach i kiedy padły strzały, spojrzała na oświetlone okna i drzwi. Wyglądało na to, że nikt nie zwrócił uwagi na hałas. Mężczyźni szybko do niej dołączyli.

–Uciekajmy stąd, zanim zapalą się światła – powiedziała.

Pobiegli wzdłuż tarasu, zmierzając w stronę tyłów budynku, aż dotarli do dużej werandy dobudowanej do tylnej ściany domu.

Davis runął przez wejście osłonięte parawanem, a za nim Cameron, Katherine i Abrams. Skręcili w lewo i Davis podbiegł do pojedynczych drzwi. Otworzył je na oścież. Wbiegli do salonu i ukryli się za masywnymi meblami. Abrams spodziewał się skrycie, że w fotelu obok lampy z zielonym abażurem ujrzy Henry'ego Kimberl/ego, ale fotel był pusty. Lampa nadal się paliła, rzucając na fotel krąg światła. Dalsza część pokoju była ciemna. Zauważył, że popielniczka jest pełna niedopałków.

Cameron podniósł się i rozejrzał dookoła.

–Nie ma nikogo. Chodźmy – wyszeptał.

Przeszli przez szeroki pokój, cały czas trzymając broń gotową do strzału. Cameron i

Davis skierowali się w lewo, do drzwi, które prowadziły na galerię. Abrams i Katherine podeszli do tych, w których Abrams rozmawiał z Kimberiyem. Ich zadaniem było sprawdzić parter, od zachodniego końca budynku do wschodniego, pokój po pokoju. Gdyby było to konieczne, mieli nie tylko rozpoznać sytuację, ale także zniszczyć wroga. Abrams pomyślał, że muszą szukać Wiktora Androwa i jego kumpli z KGB, Petera Thorpe'a i Henry'ego Kimberly'ego. Szukali ich nie tylko dla nich samych, ale i po to, żeby znaleźć wyłącznik, który miał zatrzymać „tykający zegar”.

Tom Grenville spojrzał w dół. Dokładnie pod jego stopami rysowała się sylwetka rezydencji Rosjan. Zastanawiał się, jak to się stało, że znalazł się aż tutaj, i czy kiedykolwiek wróci tam, skąd przybył.

Rozejrzał się dookoła i stwierdził, że reszta grupy zbiera się tuż za nim. Wybrali do lądowania dach, licząc na to, że grupa, którą Van Dom określił na sposób wojskowy jako „patrol rozpoznawczy”, zachowa się w zaplanowany sposób. Jej zadanie miało polegać na oznaczeniu strefy szczególnego zagrożenia i choć dach budynku obejmował powierzchnię prawie połowy akra, Van Dom stwierdził na podstawie zdjęć lotniczych, że większa jego część jest niebezpiecznie nachylona i pokryta śliskimi dachówkami.

Tam, gdzie było płasko, znajdowały się anteny, oraz talerze satelitarne i mikrofalowe. Van Dom porównał to miejsce z antyspadochronowym ukształtowaniem terenu z czasów wojny, które miało zwodzić skoczków i prowadzić do ich zguby. Grenville znowu poczuł, że żołądek odmawia mu posłuszeństwa. Lądowanie mogło być możliwe, gdyby grupie rozpoznawczej udało się włączyć na dachu światła ostrzegawcze. Tom zdawał sobie jednak sprawę, że patrol składa się z Joan i przyszczatego młodzika.

W związku z tym Grenville nie miał wielkiej nadziei, że zobaczy jakiegokolwiek światła, i to sprawiło mu ulgę.

Spadali wolniej, ale jednocześnie wiejący z tyłu wiatr popychał ich coraz szybciej naprzód. Grenville wiedział, że w ciągu następnych kilku sekund będą musieli podjąć decyzję co do miejsca lądowania. Spojrzał w lewo na dryfującego obok Stewarta, który miał dać sygnał świetlny: mrugające światło miało oznaczać dach, a stałe – przelot nad domem w kierunku leśnej polany. Światło zapaliło się w końcu i zaczęło mrugać. Grenville przyglądał się mu w zdumieniu, a potem spojrzał w dół. Na północnym trawniku ciągle było ciemno, ale na dachu zapaliły się białe światła.

–O cholera! Joan, chcesz mnie chyba wykończyć.

A jednak poczuł dumę, a potem ogarnęła go ulga na myśl, że Joan żyje.

Jasno oświetlony dach znajdował się teraz około dwustu stóp przed nimi i sto stóp

poniżej. Kąt spadania był tak duży, że nie wiadomo było, czy zdołają wylądować na wyznaczonym miejscu.

Grenville spojrzał szybko do tyłu na tajemniczego skoczka, który kierował teraz swój spadochron w stronę rozświetlonego, dużego dziedzińca. Collins także obserwował, jak szósty skoczek dryfuje dalej przed siebie. Collins nie wiedział, kto to jest, ale zdawał sobie sprawę, że to ktoś z zewnątrz. Uniósł pistolet, złożył się do strzału i wypalił. Odległość nie była duża, bo wynosiła około pięćdziesięciu jardów, ale zmieniające się położenie spadochroniarzy utrudniło dokładne wycelowanie. Mężczyzna dostrzegł błysk z lufy i odwzajemnił strzał. Miał tę przewagę, że widział wyraźnie czerwone smugi pocisków i był w stanie dokładnie określić swój cel. Collins szarpnął się pod spadochronem, a potem upuścił broń i zawisł w bezruchu. Nie kontrolowany spadochron poszybował na południe w kierunku odległej linii drzew.

Tom Grenville obserwował wymianę strzałów z poczuciem niedowierzania. Ta cicha śmierć nad ziemią była czymś niesamowitym. Kątem oka dojrzał, jak szósty spadochroniarz znika za wysoką linią dachu po lewej stronie. Zobaczył strażników biegnących w jego stronę. Spojrzał w dół i mniej niż trzydzieści stóp poniżej ujrzał płaski, szary dach. Ten widok wyrwał go z szoku i sprawił, że po raz ostatni ściągnął w dół podnośniki. Stewart, Johnson i Hallis byli tak blisko, że ich spadochrony prawie dotykały czaszy jego spadochronu. Każdy starał się znaleźć na dachu skrawek wolnej przestrzeni pomiędzy antenami, talerzami i przewodami. Było oczywiste, że jeszcze dziesięć stóp, a miną dom i wylądują na jasno oświetlonym, południowym tarasie, gdzie zaalarmowani już teraz Rosjanie mogli ich odpowiednio powitać.

Grenville zamknął oczy i czekał.

Joan Grenville krążyła po ciemnej piwnicy z pistoletem w jednej dłoni i szkicem w drugiej. Odzyskała już kontrolę nad sobą i zdecydowała się wrócić do kotłowni. Niestety, nie potrafiła odnaleźć drogi. Była w tej części podziemia, której nie odwiedził

jeszcze żaden szpieg, a opatrzonej na szkicu napisem Dostępne tylko dla personelu KGB. Brzmiało to tak, jak gdyby straszyły tam duchy.

Spojrzała na kompas i skręciła wąskim przejściem w dół, aż doszła do nie oznaczonych żadnym napisem, pomalowanych na czerwono drzwi, jedynych w tym kolorze, na które dotychczas trafiła. Minęła je, ale zawahała się i po chwili wróciła w to samo miejsce. Nasłuchiwała, ale nie dobiegł jej żaden dźwięk. Przekręciła wolno porcelanową gałkę i popchnęła drzwi. Otworzyła się przed nią czarna pustka. Weszła do środka i stanęła cicho w ciemnościach. Poczowała jakiś nieprzyjemny zapach. Z elastycznego worka na piersi wyciągnęła małą latarkę, zapaliła czerwone światło i omiotła promieniem ściany. To tylko pusty pokój. Zrobiła krok naprzód i potknęła się. Wyciągnęła ręce, żeby złagodzić upadek, i stwierdziła ze zdziwieniem, że leży na piasku. Do diabła... Podniosła się na kolana i zdjęła z latarki czerwony filtr.

Przesunęła promieniem dookoła i zobaczyła, że cała podłoga małego pomieszczenia jest pokryta świeżo zagrabionym białym piaskiem. Nie mogła zrozumieć, w jakim celu. Może to piaskownica?

Absurd. Wstała i rozglądając się dalej, spostrzegła coś przy przeciwległej ścianie. Ruszyła w tę stronę. W betonowych fundamentach osadzono podstawę komina. Na wysokości piersi znajdowały się żelazne, częściowo otwarte drzwiczki paleniska. Znalazła przynajmniej jakiś punkt orientacyjny. Spojrzała na szkic i sprawdziła umiejscowienie kominów. Zwróciła wzrok na drzwiczki i zauważyła teraz, że są większe od tych, które zdarzało się jej widywać. Były zupełnie nowe, osadzone w świeżej zaprawie, choć cały komin zbudowany był ze starej cegły. Pomyślała, że wygląda bardziej na piec do wypalania porcelany czy wapna niż na popielnik.

Skierowała światło na palenisko i zobaczyła zwęgloną czaszkę. Czarne, puste oczodoły wpatrywały się wprost w nią. Krzyknęła, upuściła latarkę i upadła na miękkim piasek.

–Och, och, mój Boże!

W przeblysku intuicji zdała sobie sprawę z tego, że znajduje się w miejscu, w którym dokonywano egzekucji. Skoczyła na równe nogi, strzepując z siebie piasek, który przywarł do jej kombinezonu. Wybiegła z pomieszczenia, zatrząskując za sobą drzwi.

Oparła się o ścianę, starając się złapać oddech. Zgubiła latarkę, ale w trzęsącej się dłoni nadal trzymała pistolet. Podjęła marsz na nowo, próbując się uspokoić.

«'- W porządku, Joan, wszystko w porządku. – Nie mogła jednak pozbyć się obrazu czaszki. Wyobraziła sobie, jak klęczy w wilgotnym dole, z chłodnym pistoletem przyłożonym do czaszki, a ogień płonący w piecu kremacyjnym rzuca krwawy blask na biały, zagrabiony piasek. – Och, dobry Boże... co to za ludzie?

Nagle cała ta idiotyczna historia z płaszczem i szpadą nabrała sensu. Tom nigdy nie potrafił jej o tym przekonać. To, co czytała albo słyszała o KGB i Związku Radzieckim, nie robiło na niej żadnego wrażenia. Ale ten pokój wrył się w jej pamięć i wiedziała, że ten widok będzie jej towarzyszył już zawsze. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że chodzi w kółko.

–O cholera.

W świetle żarówki spojrzała jeszcze raz na szkic. Podeszła do drzwi, których przedtem nie zauważyła. Zrobione były z solidnie wyglądającego dębu i inaczej niż drzwi z cienkiej sklejki zamocowane w drewnianych przepierzeniach, te umieszczono w betonowej ścianie. Miała nadzieję, że prowadzą do tej części piwnicy, z której przyszła. Przyłożyła do nich ucho, ale nic nie było słychać. Drzwi były zaryglowane od jej strony, więc odsunęła żelazną zasuwę i spróbowała je popchnąć. Z trudem udało jej się uchylić je na kilka stóp. Gdy uderzyło w nią oślepiające światło, wycofała się gotowa do ucieczki, ale ze środka nie dobiegały żadne niepokojące dźwięki. Zmrużyła oczy i w świetle jarzeniówek ujrzała pomieszczenie o powierzchni około dwudziestu stóp kwadratowych, którego ściany i podłogę pokrywały białe, ceramiczne kafelki. Jak jakaś ogromna łazienka. I rzeczywiście, w przeciwległym końcu znajdował się prysznic, a obok stała biała, porcelanowa toaleta i umywalka. W rogu znajdowało się szpitalne łóżko, a na ścianie po prawej strone wisiały skórzane pasy. Sala operacyjna, pomyślała z początku. Ale wiedziała, że to coś innego. Pasy, a może czerwona plama na podłodze w okolicy prysznic, doskonale widoczna na tle białych kafelków, podsunęła jej myśl, że oto ma przed sobą nowoczesną salę tortur.

–Cześć, Joan.

Poczuła suchość w ustach i niemal straciła kontrolę nad pęcherzem. Odwróciła głowę w prawo i spojrzała w róg pomieszczenia. Otworzyła szeroko oczy.

–Dzięki Bogu, że to ty – powiedział Peter Thorpe.

Chciała się odezwać, ale nie mogła. Utkwiła wzrok w nagiej postaci otaczającej rękami kolana. Zauważyła, że jego twarz jest pokaleczona, a jedno oko zapuchnięte. Joan zacisnęła palce na

rękojeści pistoletu. Thorpe wstał powoli, odsłaniając całe ciało, które, jak zobaczyła, także nosiło ślady uderzeń.

–Nieźle przebranie, Joan. Uwypukła wszystkie twoje wdzięki. Zaatakowali, prawda? Wiedziałem, że tak będzie.

Joan skinęła głową. Nic już nie mogło jej zdziwić. Odzyskała głos.

–Jak się tu znalazłeś?

–Kto wygrywa walkę na górze? – zapytał, ignorując jej pytanie.

–My – odpowiedziała ostrożnie.

Thorpe spojrzał na nią z uwagą.

–Czy pozostali są blisko?

–Tak.

–To dobrze. W takim razie chodźmy. – Zbliżył się do niej.

–Stój spokojnie. – Uniosła pistolet, stojąc nadal w otwartych drzwiach.

–Wejdz do środka i zamknij drzwi, zanim ktoś nadejdzie – rzucił ostro. – Porozmawiajmy.

Joan zawahała się, ale weszła do pomieszczenia. Drzwi same się za nią zamknęły.

–Powiedz mi, dlaczego we mnie celujesz? – zapytał Thorpe. – Widok nagiego mężczyzny nie wprawia cię chyba w niepokój?

–Jesteś radzieckim agentem – warknęła Joaa. – Powiedziano mi o tym przed akcją.

Thorpe uśmiechnął się i potrząsnął głową.

–Czy zobaczyłabyś mnie tutaj, w tym pomieszczeniu, gdybym dla nich pracował? – Nie odpowiedziała. Po chwili kontynuował: -Van Dom i jego pajace myślą, że znają wszystkie odpowiedzi, ale tak naprawdę, to te kapuściane głowy nic nie wiedzą. Jestem agentem, ale potrójnym, i do tego lojalnym pracownikiem CLA.

Joan skrzywiła się, słysząc o wywiadzie.

–Och, Peter, do cholery z tym, czy jesteś podwójny, czy potrójny. Przyprawiacie mnie wszyscy o ból głowy. Powiedziano mi, że jeśli na ciebie wpadnę, to mam z miejsca do ciebie strzelać i przecież mogę to zrobić.

Thorpe zaśmiał się.

–Joan... – odezwał się słodko. – Nie zapomniałem jeszcze naszej podróży jachtem.

–Idź do diabła.

–Co masz zamiar ze mną zrobić? – zapytał. – Wolałbym, żebyś mnie zastrzeliła, niż zostawiła na pastwę Rosjan.

Spojrzała na niego. Wydawało się, że nie zrobił mu żadnej krzywdy. Próbowła wyciągnąć z tego wszystkiego jakieś wnioski. Mógł pracować dla KGB, ale mógł też być agentem CIA. Van Dom mógł się mylić. No bo przecież, jeśli pracowałaś Rosjan, to dlaczego miałby go wychłostać? A jeśli był agentem... to może mogła go tak tutaj zostawić... Chciała to przemyśleć – Słuchaj, Peter. Jestem nowicjuską w tym biznesie, ale wydaje mi się, że nawet stary wyga nie wiedziałby, co u licha z tobą zrobić – powiedziała.

Thorpe odetchnął głęboko.

–Okay. Ale sumienie nie pozwoli ci chyba zostawić mnie w rękach tych siepaczy? – Nie odpowiedziała. Mówił dalej z blaskiem w głosie: – Pozwól mi tylko stąd wyjść. Chcesz broni, a ja jestem nagi i bezbronny. Na miłość boską zostaw po prostu odryglowane drzwi. – Zwiesił ponuro głowę – może bytoby mnie tutaj, gdybym nie był ich wrogiem.

Joan podjęła decyzję..

–Idę, Peter, i zamykam drzwi. Ale wrócę z ludźmi z Pembroke'a. – Przyglądała mu się badawczo i wydało jej się, że w dostrzegła w jego oczach błysk strachu.

–Oni mnie zabiją – powiedział.

–Dlaczego?

–Nie wiedzą, że jestem agentem CIA.

–To im powiesz.

–Nie uwierzą mi.

–Ale cię nie zabiją. Skontaktują się z twoimi mocodawcami z CIA.

–Nie, nie ściągaj ich tutaj. Po prostu odejdz.

Joan poszła tyłem w stronę drzwi z pistoletem wciąż wymierzonym w Thorpe'a.

–Do widzenia, Peter. Zaraz wracam.

Sięgnęła wolną ręką do tyłu i uchwyciła gałkę drzwi. Pociągnęła ją do wewnątrz mimo oporu zawiasów i weszła do szczeliny. Spojrzała szybko przez ramię w ciemność za drzwiami. Thorpe wiedział, że to robi, i rzucił się naprzód. Joan miała niezły refleks, ale gra w tenisa to coś innego niż strzelanie do atakującego

mężczyzny. Zamarła na ułamek sekundy. Weter ślepnął jedną ręką po broń, a drugą do jej gardła. Joan strzeliła, lecz kula trafiła w ścianę. Pistolet upadł na podłogę. Pocisk przeszedł jednak przez dłoń Thorpe'a. Joan poczuła, jak jego druga dłoń zaciska się na jej gardle, a potem z łatwością wciąga z powrotem do pomieszczenia i przewraca na podłogę. Thorpe zrobił dwa kroki w jej kierunku i wymierzył jej kopniaka w pachwinę. Krzyknęła i skuliła się. Thorpe odwrócił się i pochylił, aby podnieść pistolet. Joan natychmiast wstała, myśląc na wpół przytomnie, że popełnił dwa błędy: kopiąc ją w pachwinę, jak gdyby była mężczyzną i odwracając się do niej plecami, ponieważ była kobietą.

Z worka umocowanego na udzie wyciągnęła długi, cienki nóż i w chwili gdy Thorpe prostował się, wbiła go głęboko w jego plecy.

Peter obrócił się gwałtownie i wymierzył do niej. Joan krzyknęła i pobiegła w najdalszy róg, nurkując pod łóżko, w chwili gdy kula roztrzaskała kafelek tuż nad jej głową. Thorpe ruszył w jej kierunku. Miał przebite płuco i z każdym oddechem na jego ustach pojawiała się krew. Zatrzymał się, odwrócił sztywno i poszedł ku drzwiom.

Joan odprowadziła go wzrokiem. W jej umyśle kołatała się niedorzeczna myśl, że wystająca z pleców Thorpe'a rączka czarnego noża wygląda jak rekwizyt filmowy. Peter wyszedł z trudem na korytarz. Drzwi zatrzęsły się za nim i Joan usłyszała, że mocije się z zasuwą. Skoczyła na równe nogi i podbiegła do drzwi.

Tom Grenville poczuł, że jego stopy dotykają wysokiej anteny.

–Spadamy! – krzyknął Stewart i pociągnął za dźwignię, uwalniając się od spadochronu. Opadł prosto w dół i runął na dach.

Johnson i Hallis zrobili szybko to samo i trzy czasy odleciały z wiatrem. Grenville zawahał się przez ułamek sekundy i zdecydował, że woli złamać kark na dachu, niż dać się zastrzelić na ziemi. Pociągnął za dźwignię i poczuł, że spada. Uderzył mocno o powierzchnię dachu, ugiął nogi w kolanach i przekoziółkował.

Mało brakowało, a stoczyłby się po pochyłości w stronę południowego tarasu. Wycofał się ostrożnie i niepewnie stanął na nogach.

Rozejrzał się dookoła i zauważył leżącego Stewarta. Ruszył sztywno w jego stronę. Ten usiadł i spojrzał na Toma.

–Cholera, chyba złamałem nogę.

–No tak, to się może zdarzyć w nocy, przy skoku na usiany antenami dach – zauważył Grenville.

Stewart przyjrzał mu się.

–Nic mi nie jest – dodał Grenville.

–Odpieprz się, Tom.

–Hallis spadł na taras. Zdaje się, że nie żyje – zakomunikował Johnson, który przyklęknął przy nich.

–Cholera. – Stewart spojrzał na starego generała. – Kimkolwiek był ten drań, to zagrał nam na nosie. Zresztą może jeszcze o nim usłyszymy.

Ledwie skończył mówić, światła na dachu zgasły, a zapaliły się ponownie reflektory przy północnym końcu trawnika. Zanieśli Stewarta na północny skraj dachu i zajęli pozycje. Tom przykucnął za niskim zwieńczeniem dachu przy jego południowym krańcu i spojrzał w dół. Na kamiennych płytach leżało rozpostarte ciało Hallisa. Nie było wątpliwości, że nie żyje. Czterech strażników biegło w stronę tarasu. Spojrzał na Johnsona, który klęczał przy zachodnim końcu dachu, dokładnie nad werandą. Zwrócił wzrok na ubezpieczającego ich od północy Stewarta. Facet ze złamaną nogą,

siedemdziesięcioletni mężczyzna i niedoświadczony prawnik, pomyślał. Około dwudziestu uzbrojonych strażników, nieokreślona liczba uzbrojonych cywilów, plus oddział KGB o nieznannej sile. I nikt poza nim nie uważał tego przedsięwzięcia za szalone. Zatem to on był szalony. Grenville spojrzął jeszcze raz na czterech znajdujących się teraz przy basenie strażników. Przetawił swój M-16 na funkcję automatyczną i poczekał, aż strażnicy dobiegną do ciała Hallisa. Dwóch spojrzało w górę i wycelowało broń w dach.

Grenville wystrzelił wszystkie naboje z magazynku. M-16 wibrował w jego rękach. Szybko załadował powtórnie broń, ale stwierdził, że nie ma sensu strzelać dalej. Zabił wszystkich czterech. Spodziewał się, że odczuje wstrząs, ale nic takiego się nie zdarzyło.

–Co się tam, u diabła, dzieje, Grenville? – zawołał do niego Stewart.

–Właśnie wykończyłem czterech.

–Człowieku, kto ci kazał strzelać? Zresztą mniejsza o to.

No to odpieprz się ode mnie. Pomyślał nagle o Joan i spojrzął w stronę budynku tenisowego należącego do YMCA. Zauważył, że jest częściowo oświetlony. Pomyślał, że Joan powinna już być na miejscu. Odwrócił się, spojrzął na północ i ujrzał w oddali jasno oświetlony dom Van Doma. Pirotechnicy wznowili działalność, ale tym razem strzelali powietrznymi torpedami. Odgłosy wybuchów wstrząsały nocą. Grenville zdawał sobie sprawę, że

nikt z miasteczka czy z Dosoris Lane nie zwróci najmniejszej uwagi na dobiegające z tej opuszczonej okolicy odgłosy strzałów.

Wszyscy uznają, że to po prostu zwariowany Van Dom przykłada znowu Ruskim.

Ciaudia Lepescu otworzyła drzwi gabinetu Wiktora Androwa i weszła do środka. Za plecami trzymała pistolet. Androw podniósł wzrok znad telefonu. W świetle lampy jego twarz wydawała się biała.

–Zadzwoń później – powiedział do aparatu. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Ciaudię. – Proszę, co za niespodzianka. Czy Kalin już skończył?

Nie odpowiedziała. Pokój był ciemny, z wyjątkiem kręgu światła padającego na biurko, ale witraż nad głową Androwa jarzył się światłami z zewnątrz.

–Nie mam teraz dla ciebie czasu – powiedział.

–To nie będzie długo trwało – odpowiedziała po rosyjsku.

–Dałaś Rothowi truciznę?

–Nie, dałam mu olej roślinny.

Przyglądał się jej przez chwilę i w końcu skinął głową.

–Rozumiem.

–Sądziłeś, że przyłożę rękę do morderstwa zaplanowanego przez ciebie i twoich plugawych komunistów?

–Jesteś przemęczona. Czy Kalin cię obraził?

–Kalin nie żyje.

Androw znowu skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „Rozumiem, zawsze cię rozumiałem”.

–Co masz za plecami? – zapytał głośno. – Pistolet?

–Wstawaj! – Podniosła broń i wycelowała w jego stronę. Androw wstał powoli. – Chciałabym mieć dość czasu, żeby cię upokorzyć, tak jak ty mnie upokorzyłeś. Chciałabym mieć tu bat i zobaczyć cię w sali tortur.

–Ciaudio.

Zamarła. Głos dochodził z lewej strony, z ciemnego kąta pokoju.

–Ciaudio, opuść broń – odezwał się ktoś po angielsku.

Nadal trzymała wymierzony w Androwa pistolet, ale jej ręce drżały. Nie, pomyślała, to nie może być on. To nie może być...

Kątem oka dostrzegła błysk światła i nagle poczuła w boku palący ból. Później nie czuła już nic.

Tajemniczy mężczyzna nadal pozostawał w cieniu. Androw spojrzał w jego kierunku.

–Nigdy bym nie pomyślał, że pospieszy mi z pomocą spadochroniarz z BSS. – Zachichotał. – Co za gra.

Joan Grenville rzuciła się w stronę drzwi do sali tortur. Nie chciała zostać zamknięta w tym pomieszczeniu, ale nie chciała też jeszcze raz zmierzyć się z Thorpe'em. Słyszała, jak boryka się z zasuwą, i spróbowała przekręcić gałkę. Udało jej się otworzyć drzwi na kilka cali. Zatrzasnęła je ponownie i znów otworzyła, aż Thorpe zrozumiał, że nie uda mu się ich zaryglować. Pchnął drzwi, ale Joan zrobiła to samo od wewnątrz, zastanawiając się, czy utrata krwi osłabi w końcu siły tego potężnego mężczyzny.

Usłyszała odgłos wystrzału i zobaczyła rozpryskujące się drewno, ale nabój kaliber.25 nie przedarł się przez grube dębowe drzwi. Joan potrząsała ciągle drzwiami, krzycząc:

–Wynoś się! Odejdź!

Zakaszła. Musiał mieć w ustach dużo krwi. W końcu usłyszała, że Thorpe odchodzi. Odczekała minutę i ostrożnie wyjrzała przez szczelinę. Na betonowej podłodze ciągnęła się smuga krwi.

Kusiło ją, żeby podążyć tym śladem w nadziei, że uda jej się odzyskać broń, gdyby upadł, ale zdecydowała, że jak na jedną noc zrobiła już dość głupstw. Podążyła wąskim przejściem prowadzącym na prawo. Jej jedynym pragnieniem było jak najszybciej wydostać się z tego domu wariatów.

Okazało się, że dokonała kiepskiego wyboru. Przejście kończyło się drzwiami, których nie miała odwagi otworzyć. Odwróciła się i rozpoczęła odwrót. Nagle zza drzwi dobiegły ją odgłosy prowadzonej po rosyjsku rozmowy. Cholera. Zawróciła. Wzięła głęboki oddech i weszła do środka. Stała w całkowitej ciemności, opierając się o drzwi i nasłuchując. Nic. Sięgnęła ręką w prawo i natrafiła na guzik elektrycznego wyłącznika. Nacisnęła go i zapaliło się światło. Rozejrzała się po ogromnym pomieszczeniu, zdając sobie sprawę, że to kuchnia i to nieprawdopodobnie stara. Było w niej dużo rur i antycznych pieców, a ściany były pokryte szarym tynkiem.

Wszystko tutaj pochodziło sprzed roku 1940 i sądząc po kurzu i pajęczynach, ostatni raz sprzątano tu właśnie wtedy. Kuchnia, o której zapomniał czas. Nieomal zaśmiała się w głos.

Joan znała dość dobrze plan ataku i wiedziała, że jeśli wszystko poszło gładko, to Abrams, Katherine i dwaj ludzie Pembroke'a

znajdują się już w rezydencji. Było prawdopodobne, że Marę jest już na górze, ale nie słyszała odgłosów walki. Zdecydowała się przeczekać w tej „kapsule czasu”.

Obejrzała pokryte płytami stoły, zlewy i drewniane kredensy.

Rozejrzała się za czymś, na czym mogłaby usiąść, i zauważyła znajdującą się w ścianie ręczną windę. Zciekawiona podeszła bliżej i spostrzegła, że w środku nadal znajduje się klatka i że jej przewody zrobiono ze stalowej liny. Wyłączyła światło i po omacku wróciła do windy. Zawahała się, ale w końcu wcisnęła się do zakurzonego wnętrza. Tutaj na pewno nie będą szukać. Pociągnęła nieśmiało za przewód i winda uniosła się na kilka cali. Przypomniała sobie nieszczęsny kabel, na którym przesuwiał się jej wózek. Ciągnęła dalej.

Może na górze jest ktoś, kto będzie umiał mi pomóc, pomyślała.

W każdym razie jej położenie nie mogło już się pogorszyć. Poczula litość nad samą sobą, ale pocieszyła się, że najważniejsze, że żyje i że tak długo, jak długo pozostanie w windzie, nic jej nie grozi.

Klatka unosiła się zadziwiająco szybko, lekko skrzypiąc. Joan zauważyła smugę światła, a potem pełen zarys drzwi windy na pierwszym piętrze. Przestała ciągnąć i zaczęła nasłuchiwać, ale nie dobiegł jej żaden dźwięk. Rozsiadła się tak wygodnie, jak to tylko było możliwe. Zamknęła oczy i ziewnęła. Po raz pierwszy od wielu godzin poczuła się naprawdę bezpiecznie. Zdrzemnęła się, ale po kilku chwilach obudziło ją świecące prosto w jej oczy światło. Odwróciła głowę i uderzyła nosem w lufę karabinu.

–Och!

Sięgnęła po przewód, ale ktoś złapał ją za nadgarstek.

–Chrapiesz – rozległ się głos.

Podniosła wzrok i ujrzała przed sobą bardzo przystojnego mężczyznę.

–Wiem. Wszyscy mi to mówią. Ty jesteś Davis, prawda?

–Do usług. Czy chłopakowi nic się nie stało?

–Nie. Jest bezpieczny.

–Udało wam się wykonać zadanie? – zapytał Davis.

–Tak. Gaz usypiający w schronie i światła na dachu...

Pojawił się Cameron. Spojrzał na siedzącą w windzie Joan, ale nie wykazał szczególnego zainteresowania.

–Jakiś spadochroniarz wylądował na dziedzińcu – powiedział do Davisa. – Wprowadzili go przez drzwi wejściowe.

–Czy to był Tom? Mój mąż? – wtrąciła się Joan.

–Nie, to był jakiś starszy mężczyzna. – Cameron spojrział na Joan, a potem przesunął wzrok na Davisa.

–Nie wydaje mi się, żeby to był Johnson czy Hallis, chociaż... jego twarz była jakby znajoma.

–Słuchajcie, czy mogę stąd wyjść? – zapytała Joan.

Davis uśmiechnął się.

–Jeszcze nie teraz. Tutaj będziesz bezpieczna. Wrócimy po ciebie później.

–Peter... Peter Thorpe. Czy to ktoś dobry czy zły?! – wykrzyknęła za nimi.

–Zły – odpowiedzieli jednocześnie obaj mężczyźni.

–To dobrze – odpowiedziała. – Bo zdaje się, że go zabiłam.

Katherine i Abrams weszli na korytarz. Po prawej stronie znajdowały się oszklone drzwi, z których Abrams wziął próbki metalu. Po drugiej stronie korytarza było wejście do pokoju muzycznego, a po lewej zaczynały się schody do piwnicy. Katherine przyklękała na jedno kolano i w chwili, gdy Abrams podchodził szybko do oszklonych drzwi, zbadala wzrokiem okolicę. Tony wyjrzał przez szyby i na położonym od północy tarasie zobaczył coś, czego nie widział w czasie swojej poprzedniej wizyty: radzieckich strażników stojących nad ciałem ubranego na czarno mężczyzny i rozmawiających z ożywieniem.

–Niech to cholera.

Rosjanie unieśli broń do góry. Potem śmiercionośny ogień z dachu powalił całą czwórkę na ziemię. Abrams miał nadzieję, że przynajmniej niektórym ze spadochroniarzy udało się wylądować tam, gdzie zamierzili. Pospiesznie skierował się w stronę wejścia do piwnicy. Drzwi były uchylone i Abrams otworzył je na oścież lufą swojego pistoletu. Katherine wstrzymała oddech.

Schody i podest pełne były leżących obok siebie mężczyzn, kobiet i dzieci. Niektórzy z mężczyzn trzymali w dłoniach broń.

–To schron – powiedział.

Katherine skinęła głową. Tony szukał wzrokiem małej dziewczynki z lalką w ramionach, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Odciągnął Katherine od drzwi i zamknął je.

–Gaz ciągle jeszcze działa...

Jeszcze raz skinęła głową i zdała sobie sprawę, że robi się senna.

–Chodźmy stąd.

Podeszli do oszklonych drzwi prowadzących do pokoju muzycznego i zajrzeli do środka. W pokoju było ciemno. Widać było

tylko światło bijące z ekranu telewizora, a na nim zamazaną sylwetkę spikera. Abrams otworzył powoli drzwi i weszli do środka.

Kiedy dębowa podłoga zaskrzypiała, Katherine uniosła broń. Nad oparciem kanapy pojawiła się czyjaś głowa.

–Kto tam? – rozległ się kobiecy głos.

–To ja – odpowiedział Abrams po rosyjsku. Pochylił się nad kanapą i wycelował broń. Tak jak podejrzewał, była to ta sama kobieta, którą widział, będąc tu pierwszy raz. Popatrzyła na niego w blasku ekranu. Pomyślał, że nie wygląda na zdziwioną ani wystraszoną.

–Czego chcecie? – zapytała.

–Oglądasz za dużo telewizji.

–To moja robota na dzisiejszy wieczór – uśmiechnęła się. – Oglądanie wiadomości. Twój rosyjski nie jest zbyt dobry.

–Jesteś pijana. Jak ci na imię?

–Lara. – Spojrzała na jego maskujące przebranie, a potem skupiła wzrok na broni. Odezwała się w końcu idealną angielszczyzną: – Czy macie zamiar mnie zabić?

–Całkiem możliwe – odpowiedział Abrams też po angielsku. – To moja robota na dzisiejszy wieczór.

Wzruszyła ramionami i sięgnęła ręką po drinka stojącego na stole.

–I tak wkrótce wszyscy umrzemy. Te osły mają zamiar wszcząć wojnę nuklearną. – Wzięła potężnego łyka. – Wszyscy są w schronie – dodała.

Tony przypomniał sobie smutny wyraz jej twarzy, gdy widział ją poprzednio. Teraz odniósł podobne wrażenie.

–Wstawaj – powiedział. – To jest Lara – przedstawił ją Katherine. – Właśnie zasilila szeregi dezertarów.

Kobieta spojrzała na Katherine bez zbytniego zainteresowania i ponownie wzruszyła ramionami. Abrams wyprowadził obie kobiety do korytarza, w którym stał wykrywacz metali. Po przeciwnej stronie znajdowało się dwoje potężnych dębowych drzwi: jedne prowadziły do pomieszczeń służby bezpieczeństwa, a drugie do biura Androwa.

–Czy jest ktoś w tych pokojach? – wyszeptał do Lary.

–Przynajmniej dwóch mężczyzn przez cały czas. – Wskazała drzwi pokoju dla służb bezpieczeństwa. Spojrzała na pozostałe drzwi. – To biuro Androwa. Był tu jeszcze kilka minut temu. Ma więźnia, amerykańskiego spadochroniarza.

Abrams popatrzył na Rosjanę.

–Zastuk:aj do drzwi.

Lara zawahała się, ale po chwili do drzwi Androwi zastukała- Nie było żadnej reakcji, z-Zapukała ponownie.

–Wiktor", czy mogę z tobą ^ pomóc?

B- pistoletu i Lara otworzył a drzwi. 31-ine wbiegli do środka, Biuro było -lił się jeszcze niedopałek. Na podłogę Tony zamknął drzwi. Patrzyli przez Abrams zrobił ruch lufę Krzyknęła. Abrams i Katherine puste, ale w popielniczce pa dze leżała Claudia Lepescu. chwilę na ciało, ale żadne ni-«i powiedziało ani słowa. Abrams rozejrzał się dookoła. A więc -fc-ak wygląda sanktuarium ghnego rezydenta K.GB w Nowym.- Jorku, drugiego ranga»6cenKGB w Ameryce, pomyślał. Mieściła się tu kiedyś kaplica;ednejz najbardziej znaczących amerykańskich rodzin. Być może była to zapowiedź nadchodzących c^sasów.

Katherine uklękła przy z, – włokach Claudii. Zauważyłapistolet w zaciśniętej ciągłej dłoni.

–Patrzcie.

–Radziecka marka... – powiedział Tony, przyłdeta^wszy obok. Spojrzał na miejsca -«-vlotu kul i Jego wzrok powiewał w stronę stojącego w kącie l=»ujanego fotela.

Katherine wstała i podesssszła do fotela. Podniosła ze stdu popielniczkę.

–Amerykańskie papieroski i butelkę szkockiej. – Dewt sy. Camele. – Zauważyłaoboksiklanir.

–Ten spadochroniarz nie był więźniem, lecz kompanem.

Nagle z -wnętrza domu d- obiegły dźwięki alarmu. Katherine, Abrams i L.ara rzucili się ^-w stronę hallu. Dzwonili alarmowe rozbrzmiewały już ze wszystkich stron i dom wypełnił się ich hałasem. Dzwo-zwi do pokoiów asssłużby bezpieczeństwa otwonyły się i wybiegł z nich umundur«-iwany oficer z pistoletem»iłom.

Abrams wypalił ze swojego M-16. Strzał odrzucił ją z powrotem- do pokoju. Katherine wrzuciła za nim odbezpieczony granat. Wszystko zniknę- 3o w chmurze pyłu. •Wybuch granatu wysadził drzwi z zawiasów. Z głębi korytarza wyłonili się szybko Cameron i Davis. Wbie^^li do środka i przeciągnęli seriami z automatów po całym pott-toju. Nie paliła się żadna lampa, w oknach ra-ie było już słońce i w padającym z dziedzińca świetle ujrzeli dwa martwe ciała: je -^ino przy łącznicy

telebilicznij, drugie za biurkiem. Jeszcze jeden mężczyzna potykając się, zmierzał w stronę małych drzwi ukrytych w dębowej boazerii. Po chwili zatrzasnęły się za nimi. Tony, Katherine i Lara wszli do

pokoju. Abrams i Davis podbiegli do drzwi i zaczęli do nich strzelać. W końcu udało im się rozsunać strzaskaną boazerię. Davis wpadł do środka. Rozległ się strzał i Davis upadł z dziurą w czole. Abrams opadł do przysiadu i wystrzelił w ciemność.

Usłyszał krzyk mężczyzny, a potem oddalające się kroki. Cameron przyłączył się do niego i weszli ostrożnie do małego, pozbawionego okien pokoju, oświetlonego jedynie ścienną lampą. Po lewej stronie biegły wąskie schody dla służby. Pełznął po nich ubrany w garnitur mężczyzna. Za jego nogami ciągnął się ślad krwi. W chwili gdy mężczyzna odwrócił się, Cameron dał susa na schody, kopniakiem wytrącił mu broń z ręki i spojrzał na niego z góry. Mężczyzna krwawił z ust i nosa, a rysy jego twarzy wykrzywił ból, ale Cameron rozpoznał go.

–Walentin Mietków, główna szuja do mokrej roboty. I niech mi tylko ktoś powie, że nie ma sprawiedliwości na świecie.

Mietków spojrzał na Camerona zmąconym bólem wzrokiem.

–Proszę was... mogę wam pomóc... proszę, nie...

–Gdzie Androw?

–Na górze. Na poddaszu – wyjąkał Rosjanin.

Cameron wystrzelił i Mietków znieruchomiał. Sygnały alarmowe rozbrzmiewały dookoła i cały dom obudził się do życia, jak z jakiegoś nienaturalnego snu. Z sąsiednich pokoi i korytarzy dobiegały odgłosy kroków. Abrams usłyszał wystrzały w pokoju służb bezpieczeństwa. Katherine strzelała w stronę otwartych drzwi i wycofywała się w jego kierunku. Kule rozpruwały boazerię. Abrams puścił serię w otwarte drzwi.

–Szybko! Biegnij!

Katherine przemknęła do małego pokoju, podczas gdy Tony rozglądał się za Lara. Niedaleko drzwi zauważył jej poszarpane kulami ciało. Ukłął obok Davisa i starał się wyczuć bicie jego serca, ale bezskutecznie.

–Zjeżdżajmy stąd! – wykrzyknął Cameron.

Abrams odpiął od pasa Davisa granat, wyciągnął zawleczkę i cisnął nim w stronę drzwi. W chwili gdy granat eksplodował, Tony zanurkował z powrotem do małego pokoju. Cameron i Katherine byli już na pierwszym podeście wąskiej klatki schodowej i Abrams ruszył za nimi. Wspinali się szybko w stronę poddasza.

Marc Pembroke usłyszał strzały. W korytarzu włączyły się dzwonki i pojawili się biegnący ludzie.

–Cały ten cholerny dom stanął już na głowie – powiedział. – Jeden wybuch mniej czy więcej, co za różnica. – Skinął na Suttera.

Sutter zapalił zapałkę i przytknął ją do końcówek lontu splecionego z sześciu pasm i biegnących wzdłuż klatki schodowej.

Lont zapalił się i płomień pobiegł w górę schodów, rozszczepił się w sześciu kierunkach i wysadził założone przy stalowych drzwiach ładunki wybuchowe. Budynek zatrzęsł się i z sufitu i ścian posypał się tynk. Pembroke ruszył wąskimi schodami na górę i wpadł do pokoju, koziołkując. Llewelyn, Ann i Sutter zrobili to samo. Wszyscy wypuścili serię z automatów do wnętrza pokoju na poddaszu.

–Wstrzymać ogień! – wykrzyknął nagle Pembroke.

Sutter i Ann ukryli się za metalowymi szafkami na dokumenty, stając twarzą do południowego końca poddasza. Pembroke i Llewelyn wpadli do alkowy ukrytej w wieżyczce dachu. Pembroke wyjrzał zza rogu.

–Duży pokój. Zajmuje połowę tego skrzydła. Jest pusty.

W końcu znajduje się ceglana ścianka działowa. Pokój łączności będzie po drugiej stronie. – Obejrzał się do tyłu. – No dobra, idziemy dalej.

Nagle od strony schodów dobiegł jakiś dźwięk i Pembroke odwrócił się. Padł strzał, Marc zatoczył się do tyłu i upadł. Llewelyn odwrócił się na tyle szybko, żeby dojrzeć głowę i ramiona umundurowanego Rosjanina. Llewelyn wypalił krótką serią, posyłając mężczyznę na dół. Wyszarpnął zza paska granat odłamkowy, wyciągnął zawleczkę i rzucił go łukiem do klatki schodowej. Rozległ się ogłuszający wybuch, a po nim hałas zapadających się schodów. Ciemna przestrzeń wypełniła się chmurą dymu i kurzu. Zobaczył, że w kilku miejscach na dole zapalił się ogień. To nam zabezpieczy tyły, pomyślał. I odetnie odwrót. Padł na podłogę i przeczołgał się do Pembroke'a siedzącego teraz w alkowie z Sutterem i Ann u boku. Marc sięgnął ręką pod kuloodporną kamizelkę.

–Roztrzaskał mi żebro.

–Siedź spokojnie. – Llewelyn dojrzał cienką strużkę krwi płynącą z kącika jego

zbielałych ust. – Chyba masz przebite płuco.

–Wiedziałem od razu, że to płuco i żebro. Ruszajcie dalej.

–Tak. Czekaj tu na nas.

Ann i Sutter ruszyli ostrożnie za Llewelynem w stronę oddzielającej skrzydła ścianki. Ann zauważyła kilka płóciennych worków i drewnianych skrzyń opatrzonych angielskimi i francuskimi napisami. **PRZESYŁKA DYPLOMATYCZNA – RADZIECKA DELEGACJA PRZY ORGANIZACJI NARODÓW**

ZJEDNOCZONYCH – NIE PODLEGA

INSPEKCJI AMERYKAŃSKIEJ

KONTROLI CELNEJ.

Sutter objął prowadzenie w chwili, gdy zbliżali się do ceglanej ścianki. Część ściany tworzył zbudowany z cegły komin. Po jego lewej stronie znajdowały się rozsuwane stalowe drzwi.

–Tego się nie spodziewaliśmy – powiedział cicho Sutter.

–Przyjemny domek, nie ma co – dodał Llewelyn. – Niezła forteca. To chyba Ruskie dobudowali te stalowe drzwi. Na szczęście zostało nam jeszcze trochę ładunków wybuchowych.

Sutter spojrzął na drzwi. Prawdopodobnie zabezpieczono je z drugiej strony sztabami ze stali.

–Chyba nie wystarczy nam ładunków.

Ann ruszyła naprzód. Mężczyźni obserwowali z niedowierzaniem, jak uderza w stalowe drzwi kolbą karabinu.

–Androw! Chcę mówić z Androwem! – krzyknęła po rosyjsku i uderzyła jeszcze raz.

Minęła minuta, zanim zza drzwi rozległ się mówiący po angielsku głos:

–Kto mówi?

–Ann Kimberiy, córka Henry'ego Kimberly'ego. Czy mówię z Androwem?

–Tak.

–Posłuchaj uważnie. Wiem, że mój ojciec jest gdzieś tutaj.

Wiem o Mołni i wie też o niej mój rząd. Jesteśmy przygotowani na to, żeby rozpocząć atak nuklearny na terytorium twojego kraju. Van Dom wycelował już

moździerz w kierunku rezydencji. Rozumiesz?

–Czego chcecie? – odpowiedział Androw.

–Chcemy, żebyście odwołali całą akcję. – Spojrzała na zegarek. – Do wybuchu zostało jeszcze osiemnaście minut. Chcemy, żebyście otworzyli te drzwi i pozwolili nam przekazać komunikat przez wasze radio.

–Porozumiem się z Moskwą – powiedział Androw. – Wrócę za kilka minut.

–Kłamiesz! – krzyknęła Ann. – Nie wolno ci o tym mówić przez radio. Nie oszukasz mnie! Otwieraj drzwi. Natychmiast!

Nie było żadnej reakcji.

–Głupcy, wasza sytuacja jest beznadziejna!

Nadal nie było reakcji.

–Nie porozumie się pani z nimi rozsądnie. Przyzwyczaili się już postępować według własnego widzimisię. – Llewelyn umieścił ostatni z ładunków w miejscu, gdzie ceglany komin łączył się ze ścianą. – To ściana nośna – powiedział do Suttera. Skinął w stronę podtrzymujących dach krokwi. – Gdybyśmy ją trochę rozkołysali, istniałaby szansa, że się zawali pod ciężarem dachu. – Spojrzał na Ann. – Ale wszystko zależy teraz od ciebie.

Ann spojrzała znowu na zegarek.

–Niech tak będzie. Nie mamy nic do stracenia.

Abrams, Katherine i Cameron wspięli się na szczyt krętej klatki schodowej i zatrzymali się w małym, pozbawionym okien pomieszczeniu, które rozmiarami przypominało dużą szafę.

W suficie nad ich głowami znajdowała się klapa, do której można było się dostać po opartej o ścianę drabinie. Cameron podniósł głowę.

–Cofnijcie się.

Zdjął z pleców tekturową rurę rozmiarów rolki papieru do pakowania, która zawierała sześćdziesięciomilimetrową raketę, rozciągnął jak peryskop i umieścił ją, gotową do strzału, na ramieniu. Uklęknął.

–Zasłońcie uszy i otwórzcie usta.

Przycisnął guzik detonatora i z tylnego końca rury wytrysnął płomień. Jednocześnie rakietę wystrzeliła wprost w sufit i trafiła w drewnianą klapę, ale w zderzeniu z cienkim drewnem nie wybuchła, tylko przeszła je na wylot i zmierzała w kierunku pokrytego płytami dachu. Wybuch nastąpił jeszcze wewnątrz poddasza, powodując rozprysnięcie się odłamków w promieniu pięćdziesięciu stóp.

Abrams był już na drabinie. Popchnął w górę zamocowaną na zawiasach klapę i przez powstałą szczelinę wyrzucił łukiem granat. W chwili gdy granat eksplodował, Tony opuścił klapę. Z sufitu opadły całe płyty tynku i pokrył ich biały pył. Abrams wyskoczył w górę i otworzył klapę, wygramolił się na podłogę poddasza i odskoczył

w bok. Cameron i Katherine podążyli za nim. Cała trójka przypadła nieruchomo do podłogi z wymierzoną przed siebie bronią.

Pod wpływem wybuchu zgasły wszystkie światła. Przez dziurę w dachu Abrams ujrzał skrawek nocnego nieba. Cała podłoga pokryta była odłamkami. Gdy przebrzmiały już odgłosy wybuchu, dało się słyszeć głuche jęki. Cameron uklęknął na jedno kolano, zapalił latarkę i potoczył ją po podłodze. Wstali, kiedy przekonali się, że nie zajęła się ogniem. Przeszukali całe pomieszczenie, znajdując trzech mężczyzn i dwie kobiety, trafionych odłamkami i ogłuszonych wybuchem. Cameron strzelił do każdego z nich, nie prosząc Abramsa ani Katherine o pomoc i nie wszczynając na ten temat żadnej dyskusji.

–Spójrzcie tutaj! – wykrzyknęła Katherine. – To studio telewizyjne.

Tony wszedł na podwyższenie i oświetlił latarką biurko, kominek i amerykańską flagę. Katherine pochyliła się i zebrała rozrzucone wokół kartki. Rzuciła okiem na wydrukowany scenariusz. Spojrzała na Abramsa.

–To przemówienie mojego ojca do narodu amerykańskiego...

Miał być następnym prezydentem.

–Nie wiedziałem nawet, że kandyduje. – Cameron skierował strumień światła przez pokój i omiółł nim zbudowaną z cegły ścianę, komin i stalowe drzwi. – Jeśli Pembroke znajduje się po drugiej stronie, to wzięliśmy ich w dwa ognie – powiedział. Mają ciągle w swoich rękach główne ogniwo, ale zdaje się, że Stewart jest już na dachu. Są w pułapce.

–My za to straciliśmy sporo czasu. – Ann spojrzała na zegarek. – Do wybuchu zostało około szesnastu minut, ale mózdzierz George'a zacznie strzelać wcześniej. Musimy jak najszybciej dostać się do środka i opanować łączność.

–Możemy je wysadzić – zauważył Cameron, wskazując drzwi.

Abrams usłyszał na dole jakiś hałas.

–Wchodzą po schodach.

Wziął od Camerona ostatni ręczny granat, podszedł do klapy, otworzył ją i rzucił granat w dół, a później szybko się wycofał.

Eksplozja wyrzuciła właz w powietrze i zdruzgotała prowadzącą do niego drabinę. Cameron umieścił we framudze drzwi kilogram ładunków wybuchowych, załączył detonatory i odprowadził zapalnik około pięćdziesięciu stóp od drzwi. Zerknął na zegarek.

–Zostało cholernie mało czasu. Musimy założyć, że wszyscy są na swoich miejscach.

–Jeśli tak nie jest, to znaczy, że nie przeżyli – odpowiedział Tany.

–Nie mamy odwrotu. Wysadzaj drzwi. Musimy rozprawić się z tymi, którzy się za nimi znajdują – powiedziała stanowczo Kate.

Abrams zapalił zapalniczkę.

69

George Van Dom spojrzał na częściowo rozszyfrowaną depeszę, a potem przeniósł wzrok na dwóch stojących obok mężczyzn, pułkownika Williama Ostermana i Wallisa Bakera.

–Ktoś pomylił szyfr. Nic z tego nie można zrozumieć.

–Poprosiłem o powtórzenie wiadomości, ale nic jeszcze nie nadeszło.

Van Dom spojrzał na zegar na kominku. Zostało mniej niż szesnaście minut. Złapał za telefon i wykręcił numer Pentagonu.

–Czy pułkownik Levin jest nadal na przepustce? Muszę z nim rozmawiać.

–Nadal go nie ma – odpowiedział dyżurny oficer.

–Jak to się dzieje, że mogę rozmawiać tylko z panem?

–Ponieważ to ja jestem dzisiaj oficerem dyżurnym.

–Proszę mnie połączyć z sierżantem.

–Nie ma go tutaj.

–W takim razie z kimkolwiek innym. Byle to nie był pan.

–Czy ma pan jakiś kłopot? – zapytał głos po chwili milczenia.

Tak, pomyślał Van Dom, mam poważny kłopot. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

–Możliwe, że za kilka minut przestaniecie żyć.

–Słucham?

–Powiedz Androwowi, że mam zamiar zakończyć pokaz ogni.

Poślę dwadzieścia strzałów z moździerza w ten wasz pieprzony dach. Możecie zasłonić uszy.

–Nie rozumiem, o czym pan mówi.

Van Dom odwiesił słuchawkę i spojrzał na Ostermana i Bakera.

–Zdaje się, że ostrzegałem Rosjan przed nimi samymi. Moja wina – dodał. – Nie zdarza mi się lekceważyć wroga, ale czasami przeceniam możliwości naszej technologii i ludzi, którzy się nią zajmują.

Osterman uśmiechnął się ponuro.

–Przynajmniej ten mózdzierz nas nie zawiedzie, George.

Van Dom skinął głową, podszedł do okna i zakręcił korbą telefonu polowego, który stał na parapecie.

–Panie La Rosa, obawiam się, że trzeba będzie odwołać się do ostateczności. Tak, w ciągu najbliższych kilku minut. Bądźcie w pogotowiu. I przyjmijcie moje uznanie za dotychczasowe pokazy. Wszyscy byliśmy zachwyceni. – Odwiesił słuchawkę. – Nikt nie pragnie strzelać do swoich ludzi, ale przecież znali sytuację, zanim wyruszyli.

–Daj im jeszcze kilka minut, George – powiedział Baker. – Może są już blisko.

Van Dom pogrążył się na chwilę w myślach, a potem jeszcze raz spojrzął na zegar.

–Mołma może być jeszcze bliżej. Jedyne, co wiemy na pewno, to to, że ten dzieciak, Kuchik, wrócił i potwierdził wykonanie zadania. Otrzymaliśmy też meldunek, że światła zapaliły się i zgasły, tak jak się tego spodziewaliśmy. Wiemy również, że lądowanie spadochroniarzy nie przebiegło najszczęśliwiej. Chłopak daje głowę, że wpuścili gaz do schronu, ale z tego co wiem, to przez pomyłkę wrzucili te cholerne kryształki do zsypu na pranie. Joan zaginęła. Mikrofony polowe wychwytyją także odgłosy strzałów.

I wiemy na pewno, że naszym ludziom nie udało się opanować pokoju łączności. W przeciwnym wypadku nie rozmawiałbym z tym oszustem. – Zamilkł na chwilę. – To mi śmierdzi porażką.

–Ale przecież Androw wie, że mamy go na muszce, nawet jeśli nie udało nam się połączyć z Pentagonem. Na pewno jest świadomy tego, że on i jego ludzie są w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Może zawiadomią o tym Moskwę i cała operacja zostanie odwołana.

Van Dom potrząsnął głową.

–Rosjanie są jak barki na Wołdze: powolni, solidni i niewzruszeni. Nie zmieniają szybko kursu.

–No tak, my wyłożyliśmy swoje karty, a oni swoje.

George wyjrzał przez okno na ludzi na dziedzińcu. Miał pewność, że po ataku Pembroke'a Rosjanie nie będą mieli litości dla niego i dla jego gości. Bez względu na to, co się stanie, ci z Rosjan, którzy przeżyją, przyjdą do jego domu i wszystkich wymordują.

Odwrócił się i podszedł do biurka. Wyciągnął z szuflady pęk kluczy i podał je Ostermanowi.

–To klucze do pomieszczeń z bronią. Wyjdziecie teraz na zewnątrz, zaprowadzicie wszystkich słabych, niedołącznych, pijanych i tchórzliwych do piwnicy, a wszystkim pozostałym rozdacie broń. Niech Kitty wam pomoże. Na pewno będzie zadowolona, że może wziąć w tym udział. – Skinęli ponuro głowami i pomaszrowali w stronę drzwi. Van Dom wykrzyknął za nimi: – Jeśli ktoś będzie chciał się pomodlić, nie przeszkadzajcie mu, ale niech nie wie, o co się modli. Bóg jeden wie, co się wydarzy. Dla ludzi będą to informacje zastrzeżone!

George podszedł do stolika i wziął z tacy przekąskę.

–Próbowałeś zatruć jedzenie, prawda, Wiktor? Ty ośle. – Przeżuwał wolno kanapkę z pasztetem.

Podszedł do ściany i zapatrzył się w fotografię, na której był on, O'Brien, Allerton i Kimberły. Zrobiono ją kilka tygodni przed końcem wojny, wtedy gdy cała czwórka muszkietarów była jeszcze razem. Mój Boże, pomyślał, jak niewiele wiemy o ludzkich sercach i duszach.

Zapalony lont rozświetlił cały pokój. Wybuch wyrwał drzwi z zawiasów. Ta część poddasza, w której był pokój łączności, znajdowała się kilka stopni niżej i Abrams miał niczym nie zakłócony widok na całą ogromną jak połowa boiska do piłki nożnej przestrzeń podzieloną ściankami działowymi na kilka stanowisk. Pomieszczenie oświetlały przede wszystkim lampki na pulpitych elektronicznych konsoli. Pracujący przy nich mężczyźni i kobiety w brązowych kombinezonach uciekli na odgłos wybuchu. Abrams, Katherine i Cameron otworzyli ogień. Posyłali pojedyncze strzały, aby oszczędzić urządzenia.

Llewelyn, Sutter i Ann usłyszeli i poczuli wybuch w przeciwnym końcu poddasza.

–Dobra, udało im się – powiedział Sutter. – W porządku, teraz nasza kolej.

Podpalił lont i wszyscy rzucili się na podłogę za rzędem szafek. Pod wpływem wybuchu ceglana ściana i komin podskoczyły na kilka cali, unosząc w górę belki dachu. Belki opadły na swoje miejsce, ale to wystarczyło, żeby cegły i cement popękały, a po495 tem wyrzuciły się i załamały, tworząc w ścianie szczelinę w kształcie litery V, przez którą było widać duże pomieszczenie wypełnione sprzętem elektronicznym. Nawet pobieżne spojrzenie wystarczyło, żeby Ann mogła stwierdzić, że urządzenia te są wytworem najnowocześniejszej technologii.

Sutter i Llewelyn stali ciągle za szafkami i strzelali ponad głowami Rosjan, trzymając ich w szachu. Ann zauważyła, że radzieccy technicy odwzajemniają się o wiele słabszym ogniem.

Udało nam się zrobić wyłom w twardej skorupie KGB, a teraz dobierzemy się do dużo delikatniejszej tkanki, pomyślała.

–Uważajcie na wyposażenie! – wykrzyknęła.

–Wiedzą, że chodzi nam o te cholerne nadajniki, i jeśli damy im wytchnąć, to te kanale zniszczą to, na czym ci tak zależy! – odkrzyknął Llewelyn.

Posłał trzy szybkie strzały w kierunku mężczyzny, który zamierzał się metalową sztabą na coś, co wyglądało na maszynę szyfrującą. Mężczyzna upadł, ale zdążył przedtem uderzyć i z urządzenia posypały się iskry.

–Przepraszam – powiedział Llewelyn. – To już poszło na straty.

Ann spojrzała na zegarek. Prawie północ. Ta zaczarowana pora nocy, gdy otwierają się krypty cmentarne i samo piekło zaraża swym oddechem cały świat.

Mołnia szybko zbliżała się do najniższego punktu swojej orbity, w którym miała zamienić się w nuklearny piorun. Przez ułamek sekundy rozświetli cały kontynent i sprowadzi świat na nowe i straszliwe tory. Tam, gdzie światło jest najjaśniejsze, pomyślała, cienie są najgłębsze.

Tom Grenville stanął przy dużej klapie wjazdu na dachu. Obok niego stał Johnson. Kilka metrów dalej wspierał się na łokciu Stewart. Ponad szczytem dachu wiał wilgotny wiatr. Daleko na północnym wschodzie pojawiły się na horyzoncie gwiazdy i Grenville spojrzał na nie, jakby to miało być po raz ostatni.

Wzdłuż krawędzi wjazdu umieszczono w równym rzędzie dwanaście kanistrów z gazem. Odgłos dwóch eksplozji wyrwał Grenville'a z zapałnienia.

–Wygląda na to – powiedział – że powinniśmy już wrzucić je do środka.

–Zgadza się – odpowiedział Stewart. – A wy pójdziecie za nimi. – Ruchem głowy wskazał dwie nylonowe liny przywiązane do podstaw dwóch anten. – Gotowi?

r Grenville wcale nie był tego pewien. Spojrzał na zegarek.

–Kiedy to się wreszcie skończy?

–Gotowi! Otwieraj!

Tom podniósł ciężką, osadzoną na zawiasach klapę wjazdu i jeszcze wyraźniej usłyszał odgłosy strzałów. Johnson i Stewart zaczęli wyciągać zatyczki i rzucać otwarte pojemniki w dół. Kanistry pękły i zaczęły się z nich wydobywać kłęby białego, dławiącego i łzawiącego gazu. Grenville wrzucił dwa ostatnie pojemniki, a potem zatrzasnął klapę.

–Poczekamy pięć minut, aż zacznie działać.

–Poczekamy sześćdziesiąt sekund – powiedział Stewart. Spojrzał na zegarek i dodał: – Wystarczy ci pięć sekund na zejście, jeśli zabierzesz się do tego porządnie, Tom. Nie wpadaj w panikę i schodząc po linie, nie zatrzymuj się, bo nie dasz rady. I na miłość boską, nie puszczaj liny, bo połamiesz sobie wszystkie kości.

Widziałem już takie przypadki.

–Na Falklandach? – podpowiedział Grenville.

–Nie, chłopie, w Glasgow. Kiedy mąż pewnej damy wrócił niespodziewanie do domu, facet chciał wyjść przez okno jej sypialni. – Zaśmiał się, wyciągnął rękę i poklepał Grenville'a po ramieniu. – Uda ci się, tylko się uspokój. – Spojrzał na Johnsona.

–Uważaj na niego, generale. Będę was ubezpieczał najlepiej jak potrafię. – Spojrzał znowu na zegarek.

–Do roboty.

–Jak długo byłeś na Falklandach?

–Jazda! Maski włoż!

Naciągnęli na twarze maski i poprawili ekwipunek, a potem nałożyli rękawice.

–Otwórzcie klapę.

Odciągnęli wjazd. Tak jak się spodziewali, gaz łzawiący wisiał w dole, a cała powierzchnia pokryta była jakby zaspą śnieżną.

Grenville i Johnson wrzucili liny w otwór.

–Jazda!

Trzymając w ramionach broń, obaj mężczyźni przeszli przez kwadratowy wjazd i rozpoczęli zjazd w dół do pokoju łączności.

Abrams i Cameron naciągnęli maski przeciwgazowe i podeszli szybko, lecz ostrożnie, do wypełnionego gazem przejścia. Katherine została z tyłu w studiu telewizyjnym, aby zabezpieczać otwarty luk. Z pokoju dobiegały odgłosy wymiotowania i kaszel.

Abrams wszedł pierwszy, a zaraz za nim Cameron. Posuwali się

wśród gęstego dymu tak szybko, jak tylko to było możliwe.

Abrams zauważył, że Cameron mija obezwładnionych mężczyzn i kobiety z pewną niechęcią, podobną do tej, z jaką alkoholik odstawia butelkę. Musieli jednak zająć się czymś ważniejszym niż przysparzaniem mu kolejnych nacięć na kolbie karabinu. Szukali głównego nadajnika radiowego, Androwa i Henry'ego Kimberly'ego – i trzeciego mężczyzny...

Sutter przyglądał się, jak z gęstego obłoku gazu wyłania się jakaś postać, przechodzi przez szczelinę w murze i mdleje. Odciągnął ciało z dala od chmury gazu. To była młoda dziewczyna w brązowym kombinezonie. Jej twarz pokrywały czerwone plamy, a wokół ust widać było ślady wymiocin. Ann uklękła obok dziewczyny i lekko ją uderzyła.

–Oddychaj. Oddychaj – powiedziała po rosyjsku. Dziewczyna wzięła głęboki oddech.

–Gdzie znajduje się nadajnik, przez który przekazujecie komunikaty do Moskwy? – zapytała Ann. Dziewczyna spojrzała w górę rozbieganymi oczami. Ann powtórzyła pytanie i dodała: – Masz pięć sekund na odpowiedź albo zginiesz – dodała.

–Nadajnik... przy północnej ścianie... – wyszeptała dziewczyna, oddychając głęboko.

Ann zadała jej kilka krótkich, technicznych pytań na temat częstotliwości, zakłóceń odbioru i jego regulacji, a potem nałożyła maskę gazową i ruszyła w stronę wyłomu w murze. Llewelyn i Sutter podążyli za nią. Przeszli szybko przez pokój w kierunku długiej ściany po prawej stronie. Wielu Rosjan wspięło się na konsole, aby uciec przed wiszącą nisko chmurą gazu. Jeden z nich, Wasyl Czurnik, biorący udział w zajściu w tunelu kolejowym, stanął na jednym z urządzeń i przyglądał się, jak dwaj mężczyźni i kobieta wchodzą do pomieszczenia.

Tom Grenville zsuwał się po sznurze w dół. Poczuł, że uderza stopami o podłogę, ugiął nogi i opadł na kolana, przez cały czas trzymając broń. Spróbował przemknąć wzrokiem obłok gazu, ale widoczność ograniczała się do pięciu stóp. Nieprzejrzysta mgła przepuszczała tylko tajemnicze światełka elektronicznych konsoli. Johnson zrównał się już z nim i w dwójkę utworzyli skromną osłonę. Przez maskę przeciwgazową dobiegł Grenville'a stłumiony głos Johnsona:

–Widzisz, Grenville, gdyby wyposażono ich w odpowiedni

sprzęt ochronny, zrobiliby z nas miazgę. Podczas wojny tak jak w życiu, brak przygotowania prowadzi do opłakanych skutków – generał zacytował starą wojskową prawdę.

Grenville odwrócił głowę w jego stronę.

–Generale.

–Tak, synu.

–Zamknij jadaczkę. I nie odzywaj się, chyba że będzie to mogło uratować mi życie. Zrozumiano?

–W porządku – odpowiedział generał -jeśli w ten sposób...

–Ruszajmy. Ja pójdę swoją drogą, a ty swoją. Do zobaczenia później.

W chmurze gazu Tom rozpoznał trzy ubrane na czarno sylwetki, dwóch mężczyzn i kobietę. Był dezorientowany i nie wiedział, czy to nadchodząca z północy część drużyny Pembroke'a, do której należała Ann, czy też może zbliżająca się od południa grupa Camerona i Katherine. Ale na pewno nie byli to Rosjanie, więc skierował się w ich stronę.

Wasył Czumik przyglądał się trzem mijającym go Amerykanom. Pozostali Rosjanie, w większości ludzie z obsługi technicznej, przyjęli do wiadomości fakt, że zostali pokonani przez większą liczbę komandosów, i obchodziło ich teraz jedynie to, żeby złapać odrobinę świeżego powietrza. Zarówno wyszkolenie, jak i temperament Czumika nie pozwalały mu na spokojne przyglądanie się ruchomemu celowi. Szczególnie po tym upokorzeniu, które spotkało go kilka godzin wcześniej. Pod tym względem był podobny do Camerona. Wyciągnął rewolwer i wystrzelił całą zawartość magazynka w plecy mijającej go trójki. Ife Grenville, który był już bardzo blisko, usłyszał, a później zaś uważał, jak stojący na szarej konsoli mężczyzna strzela do jego A towarzyszy. Posłał mu pojedynczy strzał i tamten stoczył się ^ w dół. W pomieszczeniu rozległy się krzyki.

–W dół! Na ziemię! – wykrzyknął Abrams. Wykręcił tłumik «i wystrzelił w górę, aby zmusić Rosjan do posłuszeństwa. ^ Mężczyźni i kobiety zaczęli zeskakiwać na podłogę. Cameron ruszył w stronę leżącej na ziemi trójki. Llewelyn nie żył, postrzelony w tył głowy. Sutter był ogłuszony, ale jego kuloodporna ka1 mizelka powstrzymała oba naboje, które w niego trafiły. Po szyi ^ Ann płynęła krew. Cameron zbadał biegnącą po lewej stronie szyi ranę. |^11 499 -Wygląda gorzej, niż jest w rzeczywistości, dziecińo. Po prostu krwawisz. Wstawajcie w takim razie. Musimy

znaleźć ten nadajnik.

Ann wstała niepewnie.

Radzieccy technicy uciekali w stronę dwóch wyjść. Gdy zdali sobie sprawę z tego, że nikt ich nie zatrzymuje, wypadli w panice z pokoju.

Katherine usiadła na biurku w studiu telewizyjnym i przyglądała się w milczeniu ludziom zmierzającym w stronę wjazdu. Zatrzymali się, odkrywając, że prowadząca do nich drabina zniknęła.

Z dołu krzyczeli do nich jacyś ludzie. Pomyślała, że to strażnicy.

Rosjanie zaczęli skakać przez otwarty wjazd w poddaszu. Katherine zauważyła z przerażeniem, że jeden z nich idzie prosto w jej kierunku. Ścisnęła mocno kolbę rewolweru i wślizgnęła się pod biurko. Do biurka podszedł wysoki, dobrze ubrany i godnie wyglądający mężczyzna. Światło było tak słabe, że nie mógł zauważyć siedzącej pod spodem Kate. Otworzył górną szufladę i Katherine ujrzała, że wyciągnął z niej kilka przedmiotów, między innymi pistolet. Odwrócił się i skierował do wyjścia. Katherine wyszła spod biurka. Mężczyzna usłyszał hałas i odwrócił się w jej stronę.

–Dzień dobry – powiedziała.

Niebo rozjaśniło się i przez sąsiadujące z kominkiem okno zaświecił niebieskawym światłem księżyc. W jego bladym blasku tańczyły drobiny kurzu, przydając obojgu nieco upiornego wyglądu, jak gdyby spotkali się we śnie. Po twarzy Henry'ego Kimberly'ego przesunął się wolny uśmiech.

–Proszę, proszę, to chyba Kate.

–W rzeczy samej. Opuść ręce – powiedziała.

Trzymał prawą rękę w kieszeni.

–Nie zrobię tego.

–W takim razie, jeśli się poruszysz, będę strzelać.

–Będę stał spokojnie.

Katherine przyglądała się ojcu w bladym świetle księżyca.

–To dziwne, ale nigdy nie zaakceptowałam twojej śmierci. To prawdopodobnie normalna reakcja. Kiedy do mojego biura przyszedł Carbury, przez głowę przemknęła mi irracjonalna myśl, że czekasz w poczekalni. – Kimberly milczał, więc ciągnęła

dalej: – Często wyobrażałam sobie nasze spotkanie, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że będę cię trzymać na muszce pistoletu.

Zmusił się do uśmiechu.

–Nie dziwię się. – On także się jej przyglądał. – No tak, ja także zastanawiałem się nad tym, jak będzie wyglądać nasze spotkanie. Ale to nie była fantazja. Wiedziałem, że któregoś dnia wrócę.

–Tak, przecież miałeś zostać prezydentem – powiedziała, patrząc na biurko.

–Tych kilka nadchodzących lat miałem zamiar poświęcić na lepsze poznanie ciebie i Ann – rzekł cicho.

–Naprawdę? Skąd ta pewność, że ja i Ann chciałybyśmy przyjąć zdrajcę?

–To subiektywne określenie. Zawsze działałem z czystych pobudek. Porzuciłem przyjaciół, rodzinę i majątek dla czegoś, w co wierzyłem. W tamtych czasach wielu ludzi postępowało podobnie.

–A teraz chcesz mi powiedzieć, że straciłeś wiarę? – W jej śmiechu zabrzmiało szyderstwo. – Że masz zamiar naprawić krzywdy wyrządzone rodzime i ojczyźnie?

Wzruszył ramionami.

–Skłamałbym, gdybym coś takiego powiedział. Nie mogę niczego naprawić i nie mam takiego zamiaru. – Jego głos był cichy, jak gdyby dochodził z sąsiedniego pokoju. – Musisz zrozumieć, że kiedy ktoś tak jak ja poświęcił tak wiele dla jakiejś idei, to jest bardzo trudno przyznać się, nawet przed samym sobą, że popełniło się błąd. A kiedy znajdziesz się w Moskwie, bardzo trudno się stamtąd wydostać. Zaprzedajesz się diabłu, bo wskazuje ci krótką drogę do władzy. Będąc tam, zaczynasz sobie cenić władzę i wszystko, co z nią związane. – Odetchnął i spojrzał na córkę. – Właściwie nie oczekuję od ciebie zrozumienia. Prawdopodobnie mógłby mnie zrozumieć tylko ktoś, kto przeżył tamte czasy.

–Znam wielu ludzi, którzy przeżyli tamte czasy. Oni także nie potrafiliby się zrozumieć. Niektórzy poświęcają swoje życie jakiejś sprawie i mówią o tym głośno. Mogłabym zrozumieć, gdybyś był po prostu zdrajcą albo dezertorem. Ale ty kłamałeś i zdradziłeś wszystkich, którzy pokładali w tobie wiarę i zaufanie. Przyczyniłeś się do śmierci przyjaciół i pozwoliłeś swoim dzieciom dorastać bez ojca.

Nie masz serca i sumienia. A teraz mówisz mi, że stałeś się ofiarą okoliczności. – Zamilkła na chwilę i dodała ostro: – Myślę, że jedyną ideą, której potrafisz się poświęcić, jest idea zdrady. Myślę, że... – Po jej twarzy zaczęły płynąć łzy, a głos drżał od szlochu. – Myślę...

Dlaczego? Dlaczego na miłość boską zrobiłeś... mi to?

Henry Kimberiy zwiesił głowę w zamyśleniu, a potem podniósł na nią wzrok. Odezwał się głosem tylko odrobinę głośniejszym niż szept.

–Czasami myślę, że ostatni raz czułem prawdziwą radość w sercu tego dnia, gdy przyjechałem do was na mój ostatni urlop.

Pamiętam, że wziąłem ciebie i Ann do Central Parku... Trzymałem cię na ręku, a Ann wsunęła swoją małą dłoń w moją, bawiliśmy się widokiem małp w zoo.

–Przestań! Przestań!

Milczeli przez chwilę.

–Czy mogę już odejść? – zapytał.

Otarła oczy.

–Odejść... dokąd?

–Jakie to ma znaczenie? W każdym razie nie wrócę do Moskwy. Chciałbym po prostu pospacerować na wsi, zobaczyć swój kraj, odnaleźć spokój. Nie jestem już nikim ważnym. Nikt mnie nie potrzebuje ani w roli bohatera, ani w roli zdrajcy. Nie stanowią już zagrożenia. Jestem starym człowiekiem.

Katherine przełknęła ślinę.

–Kim jest Talbot numer trzy? – zapytała chłodno.

–Trzeci Talbot nie istnieje... Był kiedyś ktoś taki, ale umarł wiele lat temu.

–Kłamiesz – powiedziała, patrząc na niego uważnie.

Wzruszył ramionami.

–Pozwolisz mi odejść? Proszę – powiedział cicho.

–Nie.

–Obawiam się, że muszę odejść, Kate. I wiem, że mnie nie zastrzelisz, tak jak i ja nie zastrzeliłbym ciebie – powiedział tonem, który oznaczał, że ten temat jest już zamknięty. – Cieszę się z tego spotkania. Być może jeszcze kiedyś się zobaczymy. – Skierował się w stronę drzwi.

–Nie! Nie odejdziesz! – krzyknęła Katherine. Odbezpieczyła swego automatycznego browninga.

Henry Kimberiy spojrział przez ramię. Uśmiechnął się i mrugnął do niej.

–Au revoir, mała Kate. – Zniknął w ciemnościach poddasza, zmierzając w stronę podniesionej klapy wyjścia.

Katherine odprowadzała go wzrokiem, trzymając go cały czas na muszce. Drżały jej ręce, a oczy zasnuły się mgłą. W jej głowie zaczęły się kłębić myśli. Wyłonił się z nich w końcu obraz Patricka O'Briena. Przez wszystkie te lata to on był jej prawdziwym

ojcem, a Henry Kimberiy, człowiek jej obcy, przyczynił się do jego śmierci. A O'Brien nie pozwoliłby Henrymu odejść i na pewno nie pochwaliłby jej, gdyby tak zrobiła. Henry Kimberiy musiał zapłacić za swoje czyny. Powiedziała, a przynajmniej wydawało jej się, że mówi „stać”, choć nie była pewna, czy rzeczywiście padło z jej ust jakieś słowo. Kimberiy nie zatrzymał się. Strzeliła.

Wystrzał rozdarł ciszę, a potem odbił się echem od ścian poddasza. Choć minęło kilka sekund, nadal słyszała jego dźwięk, czuła zapach spalonego kordytu. Pokonała wzrokiem dzielące ich dwadzieścia stóp odległości. Henry Kimberiy spojrzał do tyłu. Nie zdziwiło go, że do niego strzeliła, ani fakt, że chybiła. Oboje zrozumieli, że był to akt symboliczny, coś w rodzaju katharsis. Kimberiy pochylił się i zniknął w otwartym wyjściu. Katherine poczuła, że drży, i usiadła w fotelu za biurkiem; w jego fotelu, za jego biurkiem. Kartki z przemówieniem leżały przed nią w rozsypce.

Złożyła głowę na biurku i zaszlochała.

Marc Pembroke siedział w ciemnej alkowie. Słyszał zbliżające się kroki. W półmroku dostrzegł około tuzina kobiet i mężczyzn o bladych twarzach i załamanych oczach zmierzających w stronę klatki schodowej. Trzymał broń w pogotowiu. Oddychał z coraz większym trudem i stracił sporo krwi, ale jego umysł nadal pracował sprawnie. Rosjanie byli o mniej niż dziesięć stóp od niego. Niektórzy z nich byli uzbrojeni. Niektórzy przypatrywali się zawałonym schodom. Z podestu na dole wykrzykiwali do nich strażnicy. Pembroke zauważył, że nad krawędzią wystają ciągle górne części poręczy. Rozgorzała dyskusja nad tym, kto pierwszy ma ich użyć – strażnicy, którzy chcieli wejść na górę, czy technicy, którzy chcieli zejść na dół. Z grupy wyłonił się mężczyzna w cywilnym ubraniu i rozstrzygnął spór. Błady i drżący, lecz wciąż arogancki Wiktor Androw roztrącił tłum i zaczął spuszczać się na dół. Pembroke wymontował tłumik z karabinu.

–Androw! Nie ruszaj się! – krzyknął. Wystrzelił w sufit. Ludzie padli na podłogę. Pembroke i Androw wymienili spojrzenia.

Głowa i ramiona Rosjanina były dobrze widoczne nad poręczami.

Pembroke siedział oparty o ścianę alkowy. – Wiedziałeś, że Arnold Brin był moim ojcem?

Tamten otworzył usta, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Pembroke wystrzelił. Kule dosięgły głowy i karku Androwa. Marc zauważył, jak na jego białej, nalanej twarzy wykwitają szkarłatne rozety krwi niczym jakaś nieoczekiwana wysypka. Rosjanin zamachał ramionami, runął w dół i spadł na podest. Pembroke pomyślał, że wolałby go zabić w bardziej wyrafinowany sposób.

Był jednak zadowolony, że choć los przyniósł mu cierpienie, to jednak sprowadził Androwa w zasięg jego broni.

Zakaszłał. Ostry ból rozdarł mu pierś. Skoncentrował się na ludziach przy drzwiach klatki schodowej. Zaczęli schodzić po drabinie, ale ani on nie był nimi zainteresowany, ani oni nim. Obserwował znikające pod podłogą twarze. Wydawało mu się, że już i tak ciemny pokój staje się jeszcze ciemniejszy, i przestał rozróżniać kształty. Ale zdążył jeszcze rozpoznać jedną z twarzy. Była to twarz człowieka, którego nigdy nie spodziewałby się tu zobaczyć. Pomyślał, że zaczyna mieć halucynacje.

Ann Kimberiy dotknęła opatrunku na szyi. Spojrzała ponad rzędem elektronicznych konsoli, w których mieściły się wszelkiego rodzaju nadajniki, maszyny szyfrujące i łamiące szyfry, komputery, mikrofalowe i satelitarne przekaźniki i odbiorniki razem ze sprzętem podsłuchowym, i zagłuszającym.

–Misja dyplomatyczna, do cholery. Co za dranie.

Usiadła przed dużym nadajnikiem typu SM-35 i obejrzała go dokładnie. Nadajnik nadal pracował i nie wyglądał na uszkodzony. Komputer nieprzerwanie przekazywał do Moskwy zaszyfrowane komunikaty. W większości były to przypadkowe słowa, które miały tylko zafałszować prawdziwą treść i przyprowadzić Agencję Bezpieczeństwa Narodowego o ból głowy. Znalazła wyłącznik i zatrzymała taśmę. Wiedziała, że to powinno natychmiast postawić NSA w stan alarmu. Znalazła na konsoli napisaną po rosyjsku broszurę z instrukcją obsługi.

–Ten cholerny język, nie dosyć, że trudno nim mówić, to jeszcze te litery... Co znaczy to słowo. Tony?

–Zagłuszacz.

Wyłączyła tę część urządzenia, żeby każdy, kto był zestrojony z tą częstotliwością, mógł usłyszeć przekaz. Przekartkowała broszurę.

Sutter znalazł przełączniki wentylatorów i powietrze zaczęło

504

się oczyszczać. Mogli zdjąć teraz maski. Ciągłe łzawiły im oczy, a skóra paliła od unoszącego się w powietrzu gazu. Cameron połączył się z Van Domem.

–Tak, tu Cameron, panie Van Dom. Może pan poczekać z tym mózdzierzem. Trzymamy ich mocno w garści. Ann zaraz zacznie nadawać. Tak, proszę pana. Nie, nie jesteśmy w opresji. To oni są w opresji. Mam się dobrze. Tak, będę z panem w kontakcie i będę informował pana na bieżąco.

Abrams rozejrzał się po ogromnym pokoju. Nie zdawał sobie sprawy, że to wszystko znajduje się tu, na górze, i nie myślał nigdy, że będzie miał okazję to zobaczyć. Spojrzał na otwartą klapę wjazdu prowadzącego na dach, na zbite okna i przypomniał sobie wszystkie szkody na dole.

–Nie wygląda na to, żeby cokolwiek chroniło teraz to miejsce przed IEM – powiedział do Ann.

Uśmiechnęła się. Próbowwała zestroić częstotliwość.

–Nie, to niebezpieczeństwo już minęło. – Pochyliła się nad pulpitem. – No już, zdaje się, że złapałam fałę. – Przysunęła mikrofon, a potem spojrzała na cyfrowe zegary nadajnika. Tutaj na miejscu, do północy brakowało dziesięciu minut, a w Moskwie była za dziesięć ósma rano. – Zostań i pomóż mi z rosyjskim.

Abrams skinął głową. Rozejrzał się po pokoju. Sutter usadowił się na najwyższej konsoli, skąd miał dokładny widok na całe pomieszczenie. Grenville i Johnson przeszukiwali wszystkie kąty i możliwe kryjówki i wybijali kolejne okna, żeby odprowadzić resztki gazu. Ann zaczęła nadawać po rosyjsku:

–Do wszystkich stacji, mówi Ann Kimberiy, obywatelka amerykańska, z Delegacji Radzieckiej przy Organizacji Narodów Zjednoczonych w Glen Cove w stanie Nowy Jork. Moskwa, proszę potwierdzić odbiór. – Odwróciła się w stronę Abramsa: – Nie zrobią tego, ale przynajmniej będą musieli przyjąć do wiadomości, że komunikat pochodzi właśnie stąd. – Dodała po chwili: – Najważniejsze, że wszyscy, którzy zwykle kontrolują tę częstotliwość, zostali ostrzeżeni. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, wywiad Ministerstwa Obrony i CIA. Biały Dom, Pentagon i Camp David także zostaną natychmiast powiadomione. Poczekamy jeszcze chwilę, zanim nadamy to, co najważniejsze. Jak brzmiał mój rosyjski? – zapytała.

–Nieźle, tylko masz trochę dziwny akcent.

–Innymi słowy, nie brzmi dobrze. – Wzruszyła ramionami. – Słucham go bez przerwy, ale rzadko mam okazję mówić. – Zawa505 hała się przez chwilę. – Masz, weź mikrofon. I tak miałeś mnie zastąpić, gdyby mnie zabito.

Tony także się zawahał, ale wziął mikrofon.

–Być może to będzie najważniejszy komunikat radiowy w historii ludzkości. Ale nie denerwuj się. Pomogę ci. Jesteś już na linii. Podaj swoją tożsamość. – Ann nacisnęła odpowiedni guzik.

–Mówi Tony Abrams, obywatel amerykański. – Powtórzył pozdrowienie, wziął głęboki oddech i zaczął: – Ten komunikat skierowany jest bezpośrednio do przywódców na Kremlu, w Białym Domu, w Pentagonie i do wszystkich, którzy mogliby wydać rozkaz odpalenia rakiet nuklearnych. – W miarę jak mówił, jego wzrok wędrował w stronę cyfrowego zegara, a potem na sąsiedni pulpit, na którym paliły się stałym światłem trzy zielone światełka. Abrams kontynuował: – Jeśli nastąpi wybuch ładunku znajdującego się na pokładzie Mołni, to Stany Zjednoczone nie będą miały innego wyjścia, jak użyć w odwecie broni nuklearnej. – Nie wiedział, czy uprzedza politykę obronną, podsuwając ludziom z Waszyngtonu taki pomysł, czy też stara się przekonać Moskwę, że mówi w imieniu rządu amerykańskiego. Nadawał

jeszcze przez minutę, a potem wyłączył mikrofon i powiedział do Ann: – To wszystko, co mogę zrobić.

–Będę nadawała po angielsku. W Moskwie są ludzie, którzy znają nasz język. Chciałabym też zwrócić się do Waszyngtonu i do NSA w Fort Meade.

Abrams otarł pot z czoła.

–Chyba się przejdę. Powodzenia. – Odszedł.

–Tu znowu Ann Kimberły – Ann znowu przemówiła do mikrofonu. – Mówię teraz do moich współpracowników z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Potwierdźcie odbiór.

Zapadła długa cisza i Ann powtórzyła wezwanie. Z głośnika rozległ się męski głos:

–Ann, mówi Chet Forbes z Fort Meade. Słucham cię.

–To ja cię słucham, Chet. Podaj mi raport sytuacyjny.

W głosie Forbesa dało się słyszeć wahanie, a nawet niedowierzanie, ale jego aparatura nie mogła kłamać; wiedział, że rozmawia z Glen Cove. Analiza głosu wykazywała, że jego rozmówcą jest Ann Kimberły, pracowniczka NSA.

–NORAD wszedł w stadium przeduderzeniowe, DEFCON 5.

Flota Polaris, SAC i sojusznicy z Europy otrzymali sygnał Czerwonego Alarmu. Prezydent przebywa w Camp David, ale jest w kontakcie z dowódcami wszystkich jednostek nuklearnych.

– Moskwa, czy słyszycie Fort Meade? – zapytała Ann po rosyjsku. Moskwa milczała. Ann odetchnęła głęboko i zapaliła papierosa. – Chet, czy możesz skłonić prezydenta, żeby przemówił do nich bezpośrednio?

– Prezydent stara się połączyć z premierem Związku Radzieckiego – odpowiedział Forbes.

– Przekaż do Camp David, że James Allerton, doradca prezydenta, jest radzieckim agentem.

Forbes milczał przez chwilę, ale w końcu odezwał się:

– Zrozumiałem. To wystarczy. – Przerwał na chwilę. – Nie wiemy, w jaki, u diabła, sposób znalazłaś się na Zielonych Polach – powiedział, posługując się używanym w NSA kryptonimem dla radzieckiej siedziby w Glen Cove – ale sądząc z tego, co zdążyłaś nadać do Moskwy, cieszymy się, że tam jesteś.

– Mam tylko nadzieję, że mnie słuchają. W tym czasie możecie powiadomić wszystkich sojuszników NATO i wszystkie kraje Układu Warszawskiego, że jeśli rozpocznie się trzecia wojna światowa, to nastąpi to w Moskwie. – Przerwała na chwilę, a potem dodała po rosyjsku: – Czy słyszy pan, panie premierze?

Ale Moskwa nadal milczała.

Tony Abrams poszedł szybko w stronę północnego skrzydła poddasza i uklęknął przy Pembroke'u.

– Marc?

Ranny otworzył wolno oczy. Abrams zauważył, że jest bardzo blady.

– Jak się masz? – zapytał Abrams.

– W porównaniu z czym?

Abrams uśmiechnął się.

– Słuchaj, Van Dom wysłał już swój helikopter, żeby nas stąd zabrać. Wkrótce będziesz w szpitalu.

– To dobrze. Tam jest moje miejsce. Jak wam idzie?

– Wygraliśmy bitwę, ale wojna ciągle wisi na włosku. Ann nadaje przez radio.

Wszystko zależy teraz od Rosjan.

–Szkoda. To nieobliczalna banda łotrów. Która godzina?

–Dochodzi północ. Przynajmniej nie musimy długo czekać.

–To prawda, najważniejsze, że udało nam się wykonać zadanie, prawda?

–Tak.

–Wiem, że straciłem paru dobrych chłopaków, nie mów mi

kogo, sam to wkrótce sprawdzę. Posłuchaj Abrams, moja oferta jest nadal aktualna. Jesteś bardzo dobry.

–Dzięki, ale już się zaciągnąłem.

–Do czego?

–Do Czerwonych Diabłów.

Pembroke przyjrzał mu się uważnie.

–Nigdy o nich nie słyszałem.

–To tajna organizacja. Przyszedłem tylko zmierzyć ci temperaturę. Będzie okay, jeśli zostawię cię na chwilę samego?

–Zawsze jestem sam i zawsze jest okay. Ale dzięki, że wpadłeś tu do mnie.

Tony wstał. Pembroke spojrzał w kierunku klatki schodowej.

–Uciekło tamtędy kilku Ruskich, ale to byli tylko technicy.

Pozwoliłem im przejść.

–Nie ma sprawy. Nie przejmuj się tym.

–Posłuchaj, Abrams, był z nimi Androw. – Pembroke zakaszła. Z ust wypłynął strumyk krwi.

Abrams znowu ukląkł przy nim. Wydawało się, że Marc stara się sobie coś przypomnieć.

–Zastrzeliłem drania – powiedział. – Bądź dobrym kumplem i sprawdź, czy na pewno nie żyje. Bądź ostrożny, stary, na dole są strażnicy...

Abrams podszedł ostrożnie do klatki schodowej i spojrzał w dół. Przez otwarte drzwi padał strumień światła, oświetlając zavalone gruzem schody. Z podłogi aż na poddasze sięgała drabina. Było zupełnie pusto.

–Strażnicy uciekli, zabierając ze sobą wszystkie ciała.

Pembroke skinął głową.

–Mieli nas dosyć. Ciekawe dokąd poszli? – Zastanawiał się przez chwilę. – Jestem pewien, że trafiłem drania w głowę...

–Na pewno.

–Joan – powiedział Pembroke. – Joan Grenville jest na dole, w windzie... Zbierz kilku moich ludzi...

–Dobrze, nic jej nie będzie. – Nie chciał mówić Pembroke'owi, że tylko kilku jego ludzi zostało przy życiu. Zdecydował, że sam pójdzie po Joan. – Przestań się tym wszystkim martwić. Damy sobie radę. – Abrams spojrział na zegarek. – Muszę już iść.

–Czekaj, czekaj... Posłuchaj, widziałem... widziałem...

–Tak?

–Zdawało mi się, że mam halucynacje, ale przecież mój umysł pracuje jasno.

–Kogo widziałeś?

–Patricka O'Briena.

Abrams zamarł w bezruchu, a potem ich spojrzenia się spotkały.

–Gdzie go widziałeś? – zapytał Abrams.

Pembroke wskazał ręką kierunek.

–Tam.

–Nie.

–Tak. Był ubrany na czarno. Abrams zamilkł na chwilę.

–W takim razie to musiał być on.

–Nie rozśmieszaj mnie.

–Nie, wierzę ci.

Milczeli przez moment.

–Co masz zamiar z tym zrobić? – zapytał Pembroke.

–A co ty byś z tym zrobił? Zadanie wykonane. Zasłużyłeś na nagrodę. Wziąłbyś jeszcze nadgodziny i oczekiwał za to zapłaty?

Pembroke skinął głową.

–Tak, gdybym mógł.

Abrams odetchnął głęboko, obejrzał się na schody, a potem spojrział na zegarek.

–Tam na dole, powiedziałeś?

–Tak, na dole. Poszukaj w biurze Androwa. Tam pewnie znajdują się wszystkie dowody. Musi je zniszczyć, zanim i on rozpocznie odyseję do krainy zapomnienia.

Abrams ruszył w kierunku schodów. m

Henry Kimberły szedł szybko długim, opustoszałym korytarzem na pierwszym piętrze. W wypełnionym dymem powietrzu unosił się zapach spalonego kordytu. Kimberły zatrzymał się przy strzaskanych kulami drzwiach gabinetu Androwa. Przyszło mu do głowy, że być może Androw chce odszukać i zniszczyć tajne kartoteki. Pchnął drzwi i wszedł do biura. Usłyszał przy uchu szcęk odbezpieczanej broni i zamarł w bezruchu.

–Henry Kimberły, jak mi się zdaje? – odezwał się ktoś po angielsku.

Kimberły skinął lekko głową. Odwrócił się i ujrzał mężczyznę w czarnym kombinezonie skoczka spadochronowego. Obaj mężczyźni stanęli naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy. Głos Kimberły'ego był ledwie słyszalny:

–Patrick... Mówiono mi, że nie żyjesz – powiedział Kimberly.

–O tobie mówiono to samo – uśmiechnął się O'Brien.

–Jeśli masz zamiar mnie zabić, to nie zwlekaj. Oszczędzisz mi w ten sposób następnego sentymentalnego powitania. O'Brien opuścił broń.

–Widziałem cię już przez mgnienie oka na poddaszu. Najwidoczniej Androw był tak zajęty ucieczką, że zapomniał ci powiedzieć.

–Co miał mi powiedzieć?

–Ze jestem jednym z was.

Kimberly przyglądał mu się ze zdumieniem.

–Mój Boże... – powiedział cicho. – Nie... To niemożliwe, żebyś był...

–Czemu nie? W czasie wojny podejrzewano mnie nie bez powodu. Ale ty nigdy nie byłeś celem wielkiego polowania na wilkołaki. – O'Brien zastanawiał się przez chwilę, zanim dodał: – To ja powinienem był zniknąć i pojechać do Moskwy, Henry. A ty mogłeś wrócić do domu i prowadzić kancelarię. Miałeś rodzinę, byłeś tu bardziej ceniony i miałeś lepsze kontakty. Ale w Moskwie podejmują dziwne decyzje, prawda?

–Tak.

–A my zawsze jesteśmy posłuszni rozkazom, prawda?

–Nie, nie zawsze. – Kimberly rozejrzał się dookoła i jego wzrok napotkał leżące na podłodze ciało Claudii Lepescu.

–Gdzie jest Androw? – zapytał Kimberly. O'Brien wzruszył ramionami.

–Czekałem na niego. Widziałeś go?

–Może jest w piwnicy z resztą – odpowiedział Kimberiy. – Chodźmy. – Skierował się w stronę drzwi.

–Tutaj na niego poczekamy. – O'Brien nie ruszył się z miejsca.

–Dlaczego?

–Ponieważ z wyjątkiem was dwóch nikt inny w Ameryce nie wie, że żyję i kim naprawdę jestem. – Przerwał na chwilę. – Zdaje się, że straciliśmy tę rundę, i nie chcę, żeby Androw wpadł w ręce naszych byłych przyjaciół.

Kimberiy spojrzał na niego i wolno pokiwał głową – Tak, rozumiem. Moskwa to pochwali.

–Jestem pewien, że tak. – O'Brien uśmiechnął się i spytał: – A więc miałeś być kolejnym prezydentem?

–Jest jeszcze szansa. – Kimberiy skinął w stronę okien. – Być może zobaczymy jednak błysk światła.

–Być może. Tylko Moskwa zna plany Moskwy. – O'Brien skinął na Kimberiy'ego. – Poczekajmy tu na Androwa. – Podeszedł do okna i usiadł na parapecie. Kimberiy podeszedł bliżej, ale nie usiadł. – Wiesz co, Henry, nawet jeśli życie w Moskwie nie było łatwe, to przynajmniej nie przeżyłeś koszmaru bycia podwójnym agentem. Ja musiałem grać w najbardziej niebezpieczną grę, w jaką może grać człowiek. Dowodziłem siatką wywiadowczą niebywale bystrych ludzi, naszych starych wyg i jednocześnie służyłem interesom naszych radzieckich przyjaciół.

–Jak ci się to udało? – zapytał Kimberiy.

–Dzięki lustrom. Musiałem być sztukmistrzem, iluzjonistą, a także akrobatą i zonglerem. To trudna sztuka, mój drogi. – O'Brien uśmiechnął się i mówił dalej: – W ciągu ostatniego roku, na przykład, musiałem utwierdzać ludzi z BSS w przekonaniu, że pracuję nad czymś bardzo ważnym, i jednocześnie chronić przed wszelkimi podejrzeniami moskiewską operację Uderzenie, o której zresztą wiedziałem bardzo mało. Co gorsza – ciągnął – Van Dom, Arnold Brin i kilku innych wpadło na trop Uderzenia i naciskało na mnie, żebym się tym zajął. Podałem im kilka pomysłów, przede wszystkim wybuch jądrowy na Wali Street i plan uzyskania dostępu do wszystkich amerykańskich komputerów i zlikwidowania ich pamięci, ale wracali ciągle do IEM.

Stara wiara nadal się trzyma, Henry.

–To prawda. A pamiętnik? O'Brien uśmiechnął się szeroko.

–To był me tylko genialny pomysł, ale i szaleństwo. Byłem już wtedy w desperacji. Podrzuciłem im ten pamiętnik w nadziei, że poszukiwanie Talbota pochłonie ich energię i że ogarnie ich obsesja podobna do tej sprzed czterdziestu lat. Wiedziałem, kim jest Talbot. Przecież to ja nim byłem. Ale nie wiedziałem, że ty też.

–Zapoczątkowałeś tym reakcję łańcuchową, zgadza się, Patrick? – zapytał Kimberiy z lekkim uśmiechem. O'Brien odwzajemnił uśmiech.

–Najpierw mało brakowało, a ten idiota Thorpe by mnie zabił. Potem okazało się, że Tony Abrams, którego wynajęła twoja córka, jest dużo bystrzejszy, niż myślałem. Zdecydowałem, że należy go zabić, aby skończyć z tym jego myszkowaniem dookoła.

Użyłem Claudii – wskazał głową ciało – żeby zastawiła na niego

pułapkę. Sądziła, że pracuje dla Moskwy. Abrams doszedł do wniosku, że to Thorpe kazał go zabić. W gabinecie luster rzeczy wyglądają inaczej, niż nam się zdaje. Ciągłe to powtarzałem i wszyscy mi przytakiwali, tylko że nikt nie wiedział, że to dotyczy mnie samego. – Zaśmiał się.

Kimberly przyglądał mu się przez chwilę, zanim zapytał:

–Jak ci się udało tu dostać? O'Brien uśmiechnął się.

–Wyskoczyłem z helikoptera.

–Masz odwagę, Patrick. Zawsze miałeś.

–To prawda. Dzięki temu mogłem przeżyć, gdy inni umierali.

Jestem też bezwzględny. – Spojrzał na Kimberly'ego. – I niebywale żądny władzy. Chcę być panem.

Kimberly odwzajemnił spojrzenie.

–To ja miałem być „prawowitym następcą tronu”.

–Tak mi powiedział Androw. – O'Brien wzruszył ramionami i spojrzał przez okno. – Wiesz co, Henry, jeśli operacja Uderzenie zakończy się sukcesem, jeśli Mołnia wybuchnie i nad kontynentem przetoczy się fala elektromagnetyczna, wtedy bez względu na to, co się w tym domu dziś wieczorem wydarzyło, ty i ja będziemy najpotężniejszymi ludźmi w Ameryce.

–Jest jeszcze jeden człowiek, z którym musielibyśmy podzielić się władzą. James Allerton. Czy Androw powiedział ci o nim? O'Brien skrzywił się z pogardą.

–Tak, ale wiedziałem o nim już od dawna. Allerton to słaby człowiek. To starzec. Gdyby nie jego reputacja w kraju, Moskwa dawno by już o nim zapomniała.

–Ale tak się nie stało. A teraz należy do naszej trójki.

–Poinstruowałem już jednego z agentów Tajnej Służby Wywiadowczej w Camp David, żeby bez względu na to, co się dziś wydarzy, nie zostawił Jamesa Allertona przy życiu – powiedział O'Brien, mrużąc oczy i potrząsając głową.

Kimberly spojrzał na pistolet O'Briena.

–W takim razie zostaniemy tylko ty i ja, a to o jednego za dużo, nieprawdaż? –

powiedział obojętnym głosem Kimberly. O'Brien pokiwał z roztargnieniem głową, jak gdyby nie zrozumiał aluzji.

–Widzisz, Henry, nawet jeśli Amerykanie wygrają tę rundę, będę mógł wrócić jako bohater, który z ledwością uszedł śmierci. Ale to nie będzie możliwe, jeśli ty albo Andrew wpadniecie w ich ręce.

–W takim razie postąpiłem niefortunnie, otwierając te drzwi.

–Fortuna nie ma z tym nic wspólnego. Zawsze podejrzewałem, że istnieje ktoś trzeci, i chciałem go zlikwidować przy pierwszej nadarzącej się okazji. To, że chodzi o ciebie, mój przyjacielu, utrudnia sprawę, jednak nie zmienia mojej decyzji.

–Innymi słowy, jeśli Moskwa dziś zwycięży, będziesz następnym prezydentem. Jeśli przegra, wrócisz jako dowódca starej gwardii, aż nadejdzie dzień, kiedy Rosjanie wezmą odwet.

–Zgadza się. A w każdym przypadku, ty, Henry, stoisz mi na drodze.

–Możemy razem uciec i wrócić do Moskwy.

–Nie chcę jechać do Moskwy. Jutro będę albo w moim starym biurze, albo w Gabinetcie Ovalnym. – Przyjrzał się uważnie Kimberly'emu. – Żaden wysoki rangą, noszący dobre nazwisko oficer wywiadu nie powinien być zmuszony do dezercji. Zawsze musi znaleźć się dla niego miejsce, z którego dalej mógłby robić to, co robi. To nagroda za życie, które musimy prowadzić.

–Moskwa nie pochwali cię za to – powiedział Kimberly. – Dowiedzą się, że zabiłeś mnie... i Androwa. O'Brien wskazał ciało Claudii.

–Wśród ofiar bitwy łatwo ukryć ofiarę mordu. Pamiętasz?

–Patrick, to nie jest... to nielojalne. Oni chcą, żebym żył. Moskwa chce... – jękał się Kimberly, wpatrując się w wycelowaną w siebie broń.

–Co mnie obchodzą życzenia Moskwy? To oni kreują zdrajców i mieliby oczekiwać od nas lojalności? Moskwa jest dla mnie tylko środkiem do celu. Najkrótsza i w rzeczywistości jedyna droga do Waszyngtonu prowadziła przez Moskwę. Tak jak ostatni cesarze rzymskiego imperium byli osadzani na tronie i zrzucani z niego przez barbarzyńców, tak barbarzyńcy ze Związku Radzieckiego koronują mnie cesarzem Ameryki. – 1 zdetronizują cię, jeśli tak im się spodoba. Byłbyś bardziej bezpieczny, gdybyśmy podzielili się władzą.

–Gdyby było się czym dzielić. Ale to nie jest wcale pewne.

Może, ku zdumieniu moich ludzi, będę jutro z powrotem w Rockefeller Center. Muszę brać pod uwagę wszystkie możliwości, Henry. Bez urazy, stary wiarusie.

–Nie. – Kimberly sięgnął do kieszeni po broń. O'Brien wypalił prosto w serce Henry'ego, który zatoczył się do tyłu i upadł na podłogę. O'Brien spojrział na ciało swojego byłego towarzysza broni.

-I został tylko jeden.

Tony Abrams zszedł na dół. Po drodze zauważył, że ciało Walentina Mietkowa zniknęło. Przeszedł ostrożnie przez roztrzaskane drzwi w boazerii i wszedł do zdemolowanego pomieszczenia służby bezpieczeństwa. Wśród gruzu leżało ciało Davisa, strażnicy zabrali tylko Larę.

Abrams czuł, że idzie śladem śmierci, który prowadzi go tam, gdzie się to wszystko zaczęło – do biura Patricka O'Briena. Nawet wtedy nie potrafił zrozumieć, dlaczego O'Brien go wynajął; teraz jego motywy były jeszcze bardziej nieodgadnione. Wyrzwał do hallu. Nie było nikogo widać, ale z oddali dochodziły jakieś głosy. Wślizgnął się do hallu, podszedł szybko do drzwi gabinetu Androwa i zauważył odstrzelony zamek. Podniósł broń i uderzył ramieniem w drzwi.

Patrick O'Brien przetrząsał papiery na biurku Androwa. Podniósł szybko wzrok i sięgnął po leżący na biurku pistolet. Abrams wycelował broń i O'Brien cofnął rękę.

–Nie spodziewałem się tu żadnego z was – powiedział.

Abrams nie odezwał się, tylko przyglądał się zdrajcy. Ten w końcu wstał.

–Kto mnie wydał?

–Sam się domyśliłem. O'Brien uśmiechnął się i był to prawie przyjemny uśmiech.

–Nie wierzę, Tony. Zostaw mi przynajmniej tę satysfakcję, że byłem najbardziej przebiegłym podwójnym agentem, jakiego kiedykolwiek widział ten kraj.

–To prawda. Ale to już przeszłość.

–Jak się czujesz? – zapytał O'Brien. – Wściekły? Zdradzony?

Oszukany?

–Tak. Byłeś bardzo przekonujący.

–To sprawa wiary w to, co się robi i mówi. Kiedy pracowałem dla naszych weteranów, dawałem z siebie wszystko. Podobnie było, gdy pracowałem dla Rosjan. Nie bierz sobie tego zanadto do serca.

W ciągu ostatnich czterdziestu lat wykiwałem prawie wszystkich tak zwanych asów wywiadu tutaj w kraju i w Wielkiej Brytanii.

-Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

-Na początku to był młodzieńczy idealizm. Potem chciałem z tym skończyć, ale chcieli mnie zabić. To było na polowaniu w Utah. Oczywiście przeżyłem, ale leżąc w szpitalu, zdałem sobie

sprawę z tego, że teraz oni są bezwzględni. My byliśmy tacy sami wobec nazistów, ale złagodnieliśmy. Tak się wtedy mówiło. Pamiętasz? Ameryka złagodniała. I to była prawda. Rosjanie, komuniści, zaczęli brać sprawy w swoje ręce. Około roku 1948 wyglądało na to, że ich panowanie nad światem to sprawa kilku miesięcy. Zdecydowałem się więc przyłączyć do tych bezwzględnych. – Uśmiechnął się. – Wszystko potoczyło się inaczej, ale w tamtych czasach żyłem w zgodzie ze sobą, choć prowadziłem podwójne życie. Nie mam żony ani dzieci i mogłem całkowicie poświęcić się grze. Dzięki temu, że byłem ofiarą zamachu, nie musiałem się już martwić, że zaczną mnie podejrzewać tak jak w czasie wojny.

Abrams spojrział na ciało Claudii, a potem na częściowo ukryte za biurkiem ciało Henry'ego Kimberly'ego.

–To twoja robota?

–Tak.

–Nie wygląda na to, żeby zabijanie robiło na tobie jakieś wrażenie.

–Liczba wszystkich ofiar powojennej walki szpiegowskiej, walki na płaszcze i szpady, jest mniejsza niż liczba zabitych w jednej małej bitwie. Gdyby narody ograniczyły się tylko do tego, żeby pozwolić szpiegom wzajemnie się pozabijać, to wyszłoby to wszystkim na dobre. Taką ofiarę musimy złożyć bogom wojny, jeśli chcemy, żeby oszczędzili resztę ludzi. Gdyby udało nam się dzisiaj wygrać, groźba wojny nuklearnej zostałaby zażegnana.

Ale teraz, dzięki tobie, Van Domowi i pozostałym, znaleźliśmy się z powrotem na krawędzi.

–Wolę żyć na krawędzi niż w jaskini. – Łatwo ci mówić. Powtórz to za pięć lat, gdy zaczniesz się następny kryzys.

–Już za pięć minut to wszystko nie będzie miało dla ciebie najmniejszego znaczenia. O'Brien spojrział na Abramsa z uwagą.

–Masz zamiar mnie zabić?

–Czemu nie?

–Wywiadowi amerykańskiemu zależy na mnie. Każdy szpieg śpiewa, kiedy jest w klatce. Mógłbym tak śpiewać przez dziesięć lat i żadna z moich melodii nie powtórzyłaby się.

Abrams skinął głową. Wiedział, że to prawda. Im lepiej poinformowany był szpieg, tym bardziej było prawdopodobne, że zawrą z nim układ.

–Szkoda tylko, że nie zdążyłem zabić Van Dorna. – O'Brien rozluźnił się i przyjął swobodny ton: – Wydawało mi się zawsze, że zapije się na śmierć. – Zaśmiał się.

–Nawet jeśli tak będzie, nie będziesz miał z tego żadnej korzyści.

–To prawda. – O'Brien odwrócił się i spojrzał przez okno.

–Ciągle jeszcze możemy zobaczyć rozcinający niebo błysk – powiedział do Abramsa.

–Możemy. Powiedz mi, dlaczego postanowiłeś upozorować swoją śmierć? Przydałbyś się im bardziej tu, na miejscu.

–Nie miałem takiego zamiaru. – O'Brien zaśmiał się. – To ten idiota Thorpe chciał mnie zabić. Udawałem tylko atak serca, zanim otworzyłem czaszę spadochronu. Większość spadochroniarzy, którym nie udaje się otworzyć spadochronów, umiera na atak serca.

–A tym razem czym masz zamiar mnie zaskoczyć?

–Niczym. Jestem gotowy pójść z tobą. CIA zrobi z ciebie boga, Tony. Będziesz miał wszystko, o czym tylko zamarzysz. – Wyszedł zza biurka. – Tędy. Nie musimy wracać do hallu. W tej ścianie znajduje się przejście prowadzące bezpośrednio do biura służby bezpieczeństwa.

Abrams zrobił ruch bronią i O'Brien podszedł do wyłożonej boazerią ściany po prawej stronie kominka. Pociągnął za ścienną lampę i ukryte drzwi otworzyły się. Zwrócił się do Abramsa:

–Często sobie wyobrażałem, jak się to skończy. Ale takiego scenariusza nie przewidziałem. – Zastanawiał się przez chwilę. – Wiesz, co czuję? Zakłopotanie. Niepokoi mnie myśl, że stanę przed Kate, Van Domem i całą resztą.

Abrams podszedł bliżej.

–Ruszaj. O'Brien poszedł pierwszy, Abrams za nim. Przeszli przez biuro, mijając po drodze ciało Davisa, otworzyli jeszcze jedno ukryte drzwi i zatrzymali się u podstawy schodów.

–Jeśli może to mieć dla ciebie jakieś znaczenie, to właściwie darzyłem cię sympatią.

To była jedyna rzecz, której nie chciałem, usłyszeć, pomyślał Abrams. Rozejrzał się po małym foyer i nasłuchiwał. Było cicho.

–Postanowiłem oszczędzić ci wstydu. Nie będę tego przeciągał i skazywał cię na cierpienie, choć na nie zasługujesz. O'Brien otworzył usta, chcąc mu przerwać. Abrams uniósł broń i wypalił. Patrick O'Brien upadł na schody. Na jego twarzy

malowało się zdziwienie. Tony przyglądał się mu przez dłuższą chwilę, a potem ruszył na poszukiwanie Joan Grenville. Wiedziałem, myślał po drodze, przez cały czas wiedziałem, że to on. Wszyscy wiedzieliśmy, tylko zawsze trudno pogodzić się z faktem, że nasz ojciec jest kłamcą albo że Boga nie ma i że ksiądz okazał się ateistą. W tym tkwiła jego siła. Nie musiał nas oszukiwać, sami siebie oszukiwaliśmy.

74

Cameron i Sutter znaleźli dwie butelki wódki, a Tom Grenville odkrył wyciąg hydrauliczny, którym przewożono na płaski dach brygadę remontową. Siedzieli teraz na dachu, razem ze Stewartem i Johnsonem, podawali sobie butelki z rąk do rąk, spoglądali na czyste, nocne niebo i czekali. Pembroke był ciągle na dole – nie chcieli go ruszać, a Ann i Abrams siedzieli przy radiu. Katherine zajmowała się Pembroke'em.

Od strony wyciągu dobiegł jakiś dźwięk. Z włazu, jak jakaś zjawka z greckiej sztuki, wyłoniła się Joan Grenville. Zeszła z platformy windy.

–Cześć, Tom.

–Cześć, Joan. – Spojrzał znad butelki, pociągnął i zapytał: – Skąd się tu wzięłaś?

–Wózek mi uciekł. Poczęstujesz mnie? – Wypiła potężny łyk i oddała mu butelkę. – Coś strasznego.

–Prawdziwa radziecka wódka. Łup wojenny.

–Jesteście pijani.

–Ty jesteś piękna – powiedział Stewart – a ja jestem pijany.

Joan zmierzyła go wzrokiem, a potem odwróciła się do Toma.

–Mówiłam ci, że powinniśmy byli zostać dziś wieczorem w domu.

–Biznes to biznes – odpowiedział. – Ile razy mam ci tłumaczyć, skąd się biorą pieniądze?

Usiadła na dachu.

–Na co czekamy?

-Na transport – odpowiedział Sutter. – I na koniec świata.

Spójrz na zachód, młoda damo.

-Z której strony jest zachód? – zapytała Joan.

–Z tamtej – wskazał ręką Sutter.

Joan spojrzała w kierunku zachodniego horyzontu.

–Widać Manhattan. – Spojrzała na Stewarta. – Mogę jeszcze jednego?

–Złamałaś nogę? – zapytał Stewart. – Boja tak. Jeszcze chwilę temu nie mogłem wytrzymać z bólu. – Z niechęcią podał jej butelkę.

–Zgubiłem zegarek – stwierdził Grenville. – Która godzina?

–Zero, zero, zero, pięć – odpowiedział Johnson. Grenville zirytował się.

–Mów po ludzku.

–Pięć minut po pomocy, Tom. – Stewart wyciągnął się na dachu.

–Dlaczegoś od razu tak nie powiedział?

–O której ma nastąpić koniec świata? – zapytała Joan.

–Za minutę i potem już tylko plus minus nieskończoność – odpowiedział Stewart. Joan spojrzała na męża.

–Kocham cię.

–Proszę cię – powiedział cicho Tom, rumieniąc się. Czekali.

Ann odłożyła mikrofon i wyłączyła nadajnik.

–To wszystko, co mogę zrobić. Reszta jest w rękach bogów.

Tony podszedł do okna i wyjrzał przez wybite szyby.

–To była dobra robota. Gdybym to ja był radzieckim premierem, odwołałbym akcję.

–Mówisz poważnie? – spojrzała na niego. – Ty przecież znasz ich lepiej. Ja tylko słyszę ich głosy i odbieram komunikaty. Aż do dzisiejszego wieczora nie spotkałam żadnego Rosjanina. Wiem, co mówią, ale nie wiem, co myślą. Nie wiem, co jest w ich duszach.

–Tego nikt nie wie. A zwłaszcza oni sami. – Odwrócił się od okna. – Nawet nam nie odpowiedzieli.

–Nie mogli tego zrobić. W ten sposób przyznaliby się do czegoś, a oni do niczego się nie przyznają.

–Która godzina na zegarze cyfrowym?

–Dwanaście, zero, pięć i dwadzieścia sekund. Mołnia jest już blisko najniższego punktu swojej trajektorii.

Do pomieszczenia weszła szybko Katherine. Jej twarz była szara jak popiół. Ann spojrzała na nią z troską.

–Pembroke? – zapytał Abrams.

–Nie żyje – odpowiedziała.

Pokiwał głową. Wiedział, że to nie czas, żeby powiedzieć im o O'Brienie.

–No więc? – zapytała Katherine.

Ann wskazała głową zegar. Wskazywał godzinę 12.06.

–Spójrzcie – powiedziała i wyciągnęła rękę. Abrams i Katherine spojrzeli na trzy zielone światelka. Zgasły jedno po drugim.

Na zegarze zapaliła się 12.07, a potem 12.08.

–Już po wszystkim. Mołnia pędzi już w przestrzeń.

Katherine podeszła szybko do okna i stanęła obok Abramsa.

–Jaka piękna noc.

–Tak.

–Czy zamiast kolacji byłabyś skłonna zjeść u mnie śniadanie?

–Tak, z przyjemnością.

Abrams spojrział przez okno na północ. Nad posiadłością Van Doma strzeliły w górę złociste rakiety. Zielone i czerwone światła nawigacyjne helikoptera były coraz bliżej.

–O Boże, jak dobrze – powiedział Abrams.

–Dobrze jest żyć, nieprawdaż? – dodała Ann. Potarła ręką czoło. – Niestety, straciliśmy dziś wielu przyjaciół. A przedtem jeszcze Nicka. – Spojrzała na Katherine i Abramsa. – Będziecie niezłymi partnerami. Przystępujesz do Firmy, Tony?

Zawahał się.

–Tak, tak, przyłączę się. Jest jeszcze dużo do zrobienia. – Ujął dłoń Katherine i jeszcze raz wyjrzał przez okno. – Burza minęła.

–Tak – powiedziała Katherine. – A nam udało się ją przetrwać. Przynajmniej do następnego razu. Musimy mądrze wykorzystać czas, który zyskaliśmy.

